

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM ~~XXXIV.~~ XXXV

ROK IX.

TOM III.—ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,

ulica Królewska, Nr. 23.

—

1884.

SPIS RZECZY.

I. ZYZMA. Część pierwsza. (Ciąg dalszy) Przez *Sewera* . 201
II. SYNTEZA BADAŃ FILOZOFICZNYCH NAD DZIEJAMI LUDZKOŚCI. (Dokończenie). Przez *Napoleona Hirszbanda* 223
III. NOWE SĄDY W KRÓLESTWIE POLSKIEM. (Dokończenie). Przez *Adolfa Suligowskiego* 238
IV. LAUDA POŁĄCZONYCH WOJEWÓDZTW KALISKIEGO I POZNAŃSKIEGO ZA PANOWANIA AUGUSTA II. Przez *Kazimierza Jarochowskiego* . . . 259
V. TEATR W CZECHACH. Przez *Bronisława Grabowskiego* 283
VI. HISTORYA KAPITALIZMU W ROSYI 323
VII. ANDRZEJ PATRYCY NIDECKI. Przez *mp.* . . . 333
VIII. ŻYCIE POŚMIERTNE CZŁOWIEKA, WEDŁUG ŚWIADECTWA GROBÓW I POMNIKÓW PIŚMIENNYCH. Przez *I. Radlińskiego* 342
IX. PRZEMYSŁ CUKROWY W NIEMCZECH 358
X. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE:
1. Oswald Korwin Szymanowski. Beiträge zur Geschichte des Adels in Polen. Ocenił Dr. *Oswald Balzet* . 371
2. Materyały do zoografii Polski. Skrzeki (Amphibia) przez A. Wałeckiego. Materyały do zoografii Polski. Płazy (Reptilia) przez A. Wałeckiego. Ocenił *Michał Wierzbowski* 377
Nekrologia 379
Ogłoszenie 380

Druk ukończono 31 Lipca 1884 r.

ZYZMA.

V.

Agent giełdowy, w którego kantorze Zyzma grał, zaproponował mu spółkę, licząc na jego szczęście i subtelne powonienie.

Młody człowiek propozycyą odrzucił. Bał się ryzykować, gdyż znał źródło swego powodzenia.

W pierwszych tygodniach zwycięztwa na giełdzie zbliżył się do niego jeden ze znanych bankierów. Wziął go za guzik od surduta i z uśmiechem poufałości ofiarował mu miejsce u siebie—tylko do gry na giełdzie.

Zyzma dumny był z tego zaszczytu,— rozmowę z bankierem przedłużał, w zamiarze, aby go cała giełda widziała; lecz nie chciał dać stanowczéj odpowiedzi. Bankier ujął go pod ramię, wyprowadził z sali, posadził przy sobie w powozie i zawiózł do siebie na śniadanie.

Przepych, olśniewająca zastawa, służba, pani bankierowa mrużąca oczy, panna bankierówna roztrzepana, rozgadana i śmiejąca się, onieśmieliły młodzieńca; i gdyby nie pewna doza arogancyi i pewności siebie, jaką posiadał, mógłby się zachwiać. Trzymał się jednak dobrze, powtarzając sobie w myśli.

— Jeżeli potrafiłem olśnić polską hrabiankę, to i z wiedeńską bankierówną dam sobie radę.

Istotnie dawał sobie radę. Znał z opowiadań zakulisowe sprawy teatrów wiedeńskich, czytywał pilnie feiletony wiedeńskich dzienników, umiał na pamięć wiele anegdotek o panach węgierskich..... nareszcie bankierówna mówiła za siebie i za niego.

Godzina przeszła lotem błyskawicy, bankier powstał, Zyzma się zerwał.

— Gdzie pan mieszkasz--spytał go protekcyjnym tonem.

Młody człowiek zarumienił się. Nie śmiał powiedzieć, że na Judenplatz, i nie tracąc przytomności, odparł bez namysłu.

— Hotel Imperial.

Oświadczenie to dobre zrobiło wrażenie na pannie i jéj mamie. Bankier mówił daléj.

— Jutro wydaje wielki bal. Odbierzesz pan zaproszenie.

Młody człowiek skłonił się.

— Jutro dasz mi pan stanowczą odpowiedź co do méj propozycyi. Córka moja tańczy z panem drugiego kadryla.

— Z przyjemnością—odezwała się bankierówna.—Ależ to przystojny żydek—zawołała—gdy za Zyzmą drzwi się zamknęły.

— A jaki ma węch — mówił bankier — to przyszły milioner.

— Więcéj przypomina włocha niż żyda — dodała mama bankierowa.

— Postaraj się moje dziecko, żeby przyjął u mnie służbę. Dużo mi na tém zależy, w ciężkich dla nas dziś czasach.

— Dobrze, bądź spokojny ojcze: przyjmie.

Zyzma był rozpromieniony, upojony, dumny i zły na samego siebie. Wpadł do hotelu Imperial, zamawiając dla siebie mieszkanie. Lecz co daléj?.. Jutro ma tańczyć kadryla, a nigdy go nie tańczył. Zaczął szukać w ogłoszeniach dzienników adresu tancmistrza.

— Pięćdziesiąt guldenów—zawołał, wpadając do mieszkania jednego—jeżeli do jutra wieczór nauczysz mnie tańczyć kadryla, tak jak go tańczą w salonach.

— Jeżeli pan tańczysz inne tańce.

— Tańczę wszystkie.

— A więc zgoda, z warunkiem, że każdéj z dwóch dam dasz po dziesięć blatów i muzyce dziesięć.

— Dobrze.

— Będziemy zatém pracować.

Pracowali noc prawie całą. Gdy zmęczony powrócił do hotelu, na stole pokoju znalazł zaproszenie na jutrzejszy bal. Odczytywał je z rozkoszą i dumą.

— Parę dni temu bankier nie mógł dostrzedz mego ukłonu; dziś jego córka..... Rozśmiał się, był pewny, że się jéj podobał.— Ci ludzie myślą, żem wygrał pół miliona. Jestem dla nich pół milionem. Każdy mój krok półmilionowy, każde słowo półmilionowe.... A gdyby tak milion, prawdziwy milion. Sprobujmy, ale jak?.... iść na ślepo i przegrać.... Gdyby milion—powtórzył—być milionem..... Pieniądze są potęgą, imponują dziewczynom z kawiarni i córkom bankierskim. Nie zaimponowały tylko polce, chociaż ta z dzieckiem na rękach umierała z głodu.

Zaczyna ona być naprawdę dla mnie dobrym interesem! Dla tego, że ją pierwéj poznałem, nie zaimponowała mi córka bankierska. Jest ona dla mnie miarą, łokciem. Podług niéj mierzę inne. Dotąd wszystkie przerasta.

Przyjąć służbę u bankiera, grać i zostać milionem. Lecz cóż, kiedy moje przeczucia, kombinacye, węch—zależały od głupiego węgra! Bez węgra byłbym dziś tém, czém byłem przed tygodniem. Czémże jest mój rozum w obec rozumu i doświadczenia bankiera? Przyjąć posadę i grać na własną rękę nie mam odwagi. Poczciwy Gaspar Kalap sprzedający miliony za sto papierków. Lecz cóż, kiedy i milionowe tajemnice trudno sprzedać Kalapom. Zapomniałem o nim, a możeby się jeszcze co dało przez niego zrobić? Zapomniałem i o ładnéj pokojówce z przeciwka. Rachowała na mnie i pewno w niedzielę wystrojona w nową sukienkę, czekając, płakała. Muszę otrzéć łzy. Złoto najlepiéj je osusza i ociera.

Nazajutrz zatęsknił do swego mieszkania na Judenplatz. Nie widział wczoraj dzień cały Sali, która już dość dawno odsiedziała swoję pokutę.

Pojechał tam. Gospodyni i Sali wybiegły do niego na schody. Radość ich chwyciła za serce młodego człowieka.

— Czekałam tak długo, a jak się nudziłam — skarżyła się dziewczyna.

— Wiesz co Sali, ty się musisz ładnie ubrać.

— Myślałam sobie o tém—odpowiedziała nieśmiało.

— Nie tylko ładnie, ale i elegancko.

Dziewczynka pokraśniała z radości.

— Czy to ja mam za swoje kupić?—szepnęła.

— Nie, za moje.

— Boś ty przecie mój opiekun, przysięgłeś, że mi ojca zastąpisz; prawda?

— Prawda; lecz zanim cię przebiorę, musisz mi zrobić jednę przysługę. Wywołasz lokaja Gaspara Kalapa z pałacu Rodtschilda i przykażesz mu, żeby czekał na mnie wieczorem w piwnicy Esterhazego. Szwajcarowi powiesz, że siostra Kalapa przyjechała z Węgier. Jesteś sprytna.

— Już ja sobie dam radę.

— Z powrotem czekaj na mnie pod Operą. Masz guldena na tramwaj i ciastka.

Wieczorem Sali przebrana od stóp do głowy, wracała do domu uśmiechnięta i szczęśliwa. Posługacz ze sklepu niósł za nią wielkie pudło.

Dziewczynka z pewną dumą spoglądała na rówienniczki ubrane, jak ona była przed godziną, a z pogardą na mijających ją biedaków. Poprawiała rękawiczki, przeglądała się w taflowem szkle każdéj sklepowéj wystawy, ludziom którzy jéj miejsce robili nie raczyła skinąć głową. Była to Sali przebrana i przetworzona. Instynkta jéj i usposobienia, drzemiące na dnie serca, wydobyly się na wierzch, wraz z nową sukienką i eleganckim kapeluszem.

Gospodyni jéj nie poznala.

— Aj - waj, Sali, ty wyglądasz jak hrabskie dziecko—zawolała.

— Czém ja jeszcze mogę być — pomyślała, idąc do swego pokoju. Czuła się za wielką panią, aby dzielić towarzystwo ze starą żydówką, a pociągało ją pudło, w niém rozliczne stroje, które rozkładała i układala, pasąc niemi wzrok.

Wieczorem po schodach do piwnicy Esterhazego schodził przybrany we frak i białą krawatę, wyfryzowany Zyzma. Zebrani goście patrzeli na niego, wytrzeszczając oczy.

W ostatniéj norze stał głupkowato uśmiechnięty Kalap. Na widok wystrojonego Zyzmy, cofnął się, chwytając reką za kapelusz. W piwnicy powstał szmer zdumienia i szacunku. Robiono miejsce dla wielkiego pana i jego lokaja, po którego aż tu przyszedł.

Kalap nie śmiał już tykać Zyzmy po imieniu, ani śmiać się głośno. Trzymał się w pewnéj odległości.

— Widzisz Gaspar—odezwał się młody człowiek, zatrzymując się na ulicy—umiem dotrzymywać słowa.

— Kto mówi inaczéj, niech się odezwie przy mnie.

— To cóż wtedy? — spytał z uśmiechem.

— Co? wtedy mu wszystkie zęby wybiję.

— Jesteś zuch mój stary i oto masz jeszcze dwieście blatów.

— Kalap się uśmiechnął, ściskając w rękach pieniądze.

— Jak ci się zdaje, będziesz mógł mieć jeszcze podobną wiadomość?

— Wątpię—odparł Gaspar.—Drugiego dnia wieczór, po naszém widzeniu się, dyrektor banku patrzał długo w moje oczy i roześmiał się, pewno z samego siebie, jak mógł o cóśkolwiek posądzać takiego głupca, jak ja. Mimo to, mówi zawsze przy mnie z Rodtschildem po hiszpańsku.

Rozstali się. Kalap wrócił do piwnicy opowiadać, jak to jest dobrze mieć głupią minę, a wielki rozum, Zyzma pojechał na Ringstrasse, na bal do pałacu bankiera.

Marmurowe schody wysłane dywanami, krzewy i kwiaty, lustra, wygalonowana służba, przyjemny gwar w salonach, światła, piękne kobiety, ich rozkoszne uśmiechy, powabne tualety, alabastrowe

biusty, omdlewające spójrzenia, mężczyzni śmiali i dowcipni.... wszystko to odurzyło młodego człowieka: zpokorniał i posmutniał, tém więcéj, że go tu nikt nie znał, nikt na niego nie zwracał uwagi. Czuł się obcym w otoczeniu tych ludzi pewnych siebie, stanowiących jakby jednę rodzinę.

Orkiestra zagrała walca; pary w takt skocznéj, rozmarzającéj muzyki, posuwały się z wdziękiem. Zyzma zapatrzony stał nieruchomie.

— Ach! i pan tu jesteś—odezwał się srebrny głosik bankierówny, prowadzonéj do tańca przez młodego oficera od huzarów.

Wzruszony, zarumieniony, skłonił się.

— Nie zapominaj pan o drugim kadrylu, szukaj mnie..... Zniknęła w wirze tańczących.

Przypomnienie drugiego kadryla przejęło go niepokojem, a nawet strachem.

— Zyzma — usłyszał za sobą.

Obejrzał się nerwowo: przed nim stał redaktor *Neue Fr. Presse*, uśmiechnięty jak satyr, ze szkiełkiem w oku.

— Cóż to, pan Zyzma po wygraniu nędznych paru kroć zapomina starych przyjaciół—odezwał się ironicznie.

— Ależ nie—tłómaczył się—przysięgam panu redaktorowi; lecz nie miałem chwili czasu.

— Nie gniewam się, a w każdym razie dziękuję panu za wygrane dziesięć tysięcy guldenów na Lombardach. W porę mnie ostrzegłeś.

Zyzma odetchnął swobodnie; rad był, że choć jednego w tym tłumie znalazł znajomego.

— Panie redaktorze,—odezwał się prosząco—nikogo nie znam a drugiego kadryla tańczę z córką gospodarza.

— Już tak; no to dobrze. Służę ci vis à vis. Jakżeś się tu dostał?

— Bankier mnie zabrał z giełdy, przywiózł do siebie na śniadanie i ofiarował miejsce w swém biurze.

— Aby cię pojutrze wziąść do spółki i ratować się twym kapitałem.

— Podcięty?

— Zrujnowany. Był powiernikiem Bontoux, rozumiesz? Bal ten dla zamaskowania ruiny.

Twoim kapitałem ratowałby się tydzień, dwa, i runąłby, a ty z nim...

Zyzma zbladł.

— Fryc jeszcze jesteś i dla tego nie powinieneś uciekać od starych przyjaciół.

Młody człowiek przejęty wdzięcznością uścisnął go za rękę.

— Dziękuję panu, — szepnął nerwowo, — lecz co mam odpowiedziéć?

— Nic innego, jak tylko, że się namyślisz. Gdyby nie grożąca mu ruina, cóżbyś go obchodził, ze swą garścią pieniędzy. Córka jego pewnoby nie traciła jednego kadryla dla ciebie, tém więcéj, gdy ojciec szuka jéj na męża hrabiego polskiego, lub węgierskiego pana.

— Tak—rzekł przeciągle.

— A tyś myślał, że ciebie. Naiwny jesteś, mój chłopcze, i w głowie ci się przewraca, dla tego żeś trafem na parę godzin naprzód odkrył tajemnicę giełdową i skorzystałeś z niej.

— Ależ nie, daję panu słowo—tłómaczył się zakłopatany.—A że chcę poznać świat, otrzéć się między ludźmi: przecie mam na to.

— Poznawaj i ocieraj się. Im go więcéj poznasz, tém lepiéj będzie dla ciebie i dla twego rozumu. Ale poznając, nie płać frycowego, bo to drogo kosztuje. Zamilkli, gdyż Zyzma nie wiedział, co na razie odpowiedziéć.

Po chwili zwrócił się do niego redaktor.

— Wiesz Zyzma, genialna mi myśl błysnęła w głowie. Przyjdź w tych dniach do redakcyi, gdy już nikogo nie będzie: pogadamy. Rozeszli się.

Zyzma się ośmielił. Zrozumiał, że polowano na niego, to mu dodało odwagi i pewności siebie. Śmiało patrzał ludziom w oczy, nawet wyzywająco, i udawał, że sobie nic z niczego nie robi.

— Dobrze, Zyzma, dobrze—szepnął mu, mijając się z nim redaktor.—Nieźle grasz, masz przyszłość przed sobą.

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Jak na tego,—pomyślał,—co przed kilku laty kośćmi handlował, stare kożuchy chłopom łatał i kochał się w głupiéj wiejskiéj dziewczynie, to nieźle, to wcale nieźle.

Przygrywka zapowiedziała drugiego kadryla. Bankierówna rzuciła do koła wzrokiem swych niebiesko płowych oczu i gdy zobaczyła Zyzmę:

— Z kim mamy vis à vis?

— Z redaktorem „Nowéj Pressy,“—odpowiedział podając jéj ramię.

— Znasz go pan?

— Jest moim szefem.

— Pracujesz pan w „Nowéj Pressie“: to jeden więcéj przymiot.

— Czy mam ich dużo?

— Niezawodnie. Będę je odgadywać.

Zaczęli tańczyć i dobrze się stało, bo Zyzma nie wiedział co odpowiedziéć.

— Może pan jutro opiszesz w kronice dzisiejszy bal.

— Jeśli pani rozkaże.

— Ależ proszę. Którąż z nas ukoronujesz?

— Moją danserkę—odpowiedział.

— Nie rób pan tego. Wobec hrabianki Festeticz, byłoby to zuchwalstwem sięgać po koronę. Jeżeli już pan chcesz koniecznie, zrób mnie pierwszą honorową jéj damą. Późniéj będziemy razem opisywać bale stolicy. Pochlebiam sobie, że będziesz zadowolniony ze spółpracowniczki. Szczególniéj dział tualet zachwyci całe mieszczaństwo, które lubi patrzéć na nasze zabawy i stroje, a o nich tylko z dzienników się dowiaduje.

— Prawda,—poświadczył mechanicznie.

— Będziesz pan miał pokój do pracy ślicznie urządzony, tuż przy gabinecie mego ojca, do którego wpadam co chwila. Będziemy się więc mogli łatwo porozumiéć.

— W czém,—zapytał niezręcznie.

— W kwesyi tualet balowych. Kiedyż pan obejmiesz w posiadanie swe biurko. Wszak prawda, że jutro?

Powiedzeniu temu towarzyszyło wymowne spojrzenie i czarowny uśmiech.

Pod promieniami niebieskich oczu Zyzma zapłonął, pod wpływem czarownego uśmiechu zmięszał się, serce mu biło. Z czarnych źrenic ciskał błyskawice odbijające się od białych ramion dziewczęcia. Była to piąta figura. Należało oddać danserkę redaktorowi: spojrzenia ich skrzyżowały się. Redaktorski uśmiech otrzeźwił go i zmroził.

Nie śmiał się zdobyć na odpowiedź i milczał. Szczęściem dla niego, w szóstéj figurze nie było czasu na rozmowę.

— Odprowadź mnie pan do mamy,—odezwała się po skończonym tańcu, omdlewającym od zmęczenia głosem, wsuwając utoczoną rękę pod ramię młodzieńca.—A więc jutro,—dodała po chwili.

— Proszę panią o parę dni do namysłu,—odparł.

Spoważniała; wysunęła swą rękę, spojrzała na niego jak na rzecz, skinęła mu głową jak lokajowi i odeszła.

Stanął na środku salonu; zdawało mu się, że wszyscy widzieli zniewagę wyrządzoną mu przez córkę gospodarza.

Po chwili dopiero ośmielił się podnieść wzrok. Bankierówna zniknęła w tłumie strojnych pań i rozbawionéj, wesołéj młodzieży, omijającéj nieznanego jéj przybysza, zbyt wyraźnie naznaczonego wschodniemi rysami.

Zrozumiał, że się skończyła jego rola w tym domu. Przeszedł raz jeszcze świetne salony i smutny opuścił je.

Chłód zimnéj nocy dreszczem go przejął. Gniew i oburzenie szarpało serce.

— I za to, żem się nie dał złapać i oszukać, upokarza mnie, gardzi mną. Gdybym jéj ojcu przyrzekł złożyć półmiljona, dziś jeszcze całowałbym jéj usta. Wypędziliby mnie dopiero za tydzień. Rozśmiał się sucho i poszedł prosto do kawiarni. Tam był pewien hołdów, wykrzykników podziwu i gorących zaklęć.

— Jestto to samo: to samo, tylko taniéj wypada,—rzekł w rozgoryczeniu i uczuciu gniewu.

Szampan się lał, kawiarniane piękności dokładały wszelkich starań, aby oczarować młodzieńca. Odurzony pochlebstwami, czując się królem w tém otoczeniu, udawał, że się bawi. Lecz za parę chwil, uśmiech bankierówny, dystynkcya kobiet widzianych na balu, ich spojrzenia, taniec, pełna powabu rozmowa owładnęły nim. Posmutniał. Po za tonami muzyki i przepychem strojów, zobaczył młodą kobietę i dziecko z pochyloną główką na jéj ramieniu. Uczuł niesmak, wstyd i niechęć do samego siebie. I aby nie stracić widzenia a raczéj za popędem uczucia i myśli swych, wyszedł.

Jutrzenka zaróżowiła szczyty wież stolicy i zielone Kahlenbergu wzgórza. Smutny, zamyślony szedł po pustych ulicach, jak po cmętarzysku. Gorycz i rozczarowanie nasuwały mu smutne obrazy. Nie przeczuwał, aby w parę tygodni po zdobyciu majątku stan jego duszy był tak ponury. Nie przypuszczał, aby rozczarowanie przyszło tak prędko.

Słońce rzuciło snopy światła, rosa błyszczała na zielonych trawnikach, wspaniałe gmachy kąpały się w złocie. Na ulicę, do walk z życiem wysypała się robocza ludność Wiednia. Śmiechy dziewcząt, żarty ich towarzyszów, swoboda, piosnki wesoło nucone, zdrowie i siła, przejawiające się na ich twarzach, dobrze podziałały na umysł Zyzmy. Zaczął zazdrościć, jak to zwykle bywa, losu tych biednych ludzi. Cień tęsknoty za Galicyą, a raczéj za minioną wiosną życia i jéj naiwnością, przesunął się lekko po chaotycznie płynących jego myślach, jak cień chmurki na jasném niebie po wzburzonych falach wód.

— Dawniéj, gdy mi się udało zarobić parę papierków, byłem szczęśliwy; dziś jestem w oczach ludzi półmilionowym panem, i gdzież moje szczęście, a przynajmniéj zadowolenie z bogactwa?

Poszedł do hotelu, zapłacił, spakował rzeczy, kazał przywołać dorożkę i odjechał na Judenplatz.

— Zyzma, jakiś ty ładny,—zawołała Sali, witając go.

— Piękny jak graf,—dodała gospodyni, mlaskając ustami.—Widać, że on był stworzony na pana, no i został panem.

— Panem,—powtórzył Zyzma z ironią.—Na pana trzeba mieć miliony, lub wielkie imię.

— W Wiedniu, — dodała, — ale gdzie indziéj to i tysiące wystarczą.

— Na Kazimierzu,—zawołała Sali.

Zyzma się rozśmiał.

— Tybyś pierwsza uciekła z Kazimierza.

— O nie, bo jabym tam była panią, wielką panią: ludzie by mnie znali i szanowali.

— Ona ma racyą,—poparła ją gospodyni.

Zyzma poszedł do siebie. Sali wsunęła się za nim do pokoju.

— Jakże ci w nowéj sukni?

— Ślicznie,—odrzekła.—Ubiorę się, zaczekaj. Tyś mnie jeszcze nigdy taką nie widział. I pełna radości wybiegła. Zyzma z niechęcią a nawet pogardą zrzucił z siebie balowe ubranie, wdziewając zwykły kostium. Zazdrościł jednak w duchu powodzeń młodzieży bawiącéj się na balu, radby ją przewyższyć i upokorzyć.

— Pewno się odsuwali odemnie, poznając we mnie z rysów méj twarzy żyda. No, no, porachujemy się, rzucał pogróżki, nie wierząc w ich spełnienie.

Wbiegła Sali. Zyzma, chcąc jéj zrobić przyjemność, krzyknął, udając podziw. Mała zarumieniła się.

— Chciałabym,—szepnęła,—żeby mnie wszyscy żydzi z Kazimierza widzieli.

— A tymczasem zobaczy cię cały Wiedeń.

Wyszli i Zyzma zaprowadził dziewczynkę na Operring.

— No cóż, nie jest tu ładniéj, jak na Kazimierzu? — mówił wesoło.

— Prawda,—odparła mała z dziecinną powagą,—ale tam mnie znają, a tu nikt. Gdybyś ty te pieniądze wydał na Kazimierzu co tu, byłbyś królem.

Zyzma się uśmiechnął, nie przywiązywał wagi do słów dziewczyny, lecz nie umiał na nie odpowiedzieć.

— Spojrzał na zegarek.

— Spaceruj sama; wieczorem ubierz się w co masz najpiękniejszego: pójdziemy do Opery.

Gdy młoda dziewczyna, pełna zachwytu, opowiadała gospodyni o swéj przechadzce z Zyzmą, młody człowiek dzwonił do redakcyi *Neue F. Presse.*

VI.

— ..... Tak mój drogi;—mówił redaktor rozparty w fotelu—tutaj, aby coś znaczyć, trzeba mieć miliony, wielki rozum, lub wielką sławę. W milionowem mieście zginiesz jak milionowa jego cząstka w tłumie: i cóż z ciebie będzie i cóż po tobie zostanie?

— Nie myślałem, aby coś po sobie zostawiać,—szepnął Zyzma.

— A jednak powinieneś,—zawołał podniesionym głosem kierownik „Nowéj Pressy.“—Powinieneś, jeżeli poczuwasz się do rasowéj spólności z nami. Powinieneś pracować dla idei.

— Dla idei,—powtórzył młody człowiek. Pierwszy raz przemawiano do niego w tym duchu i w tym tonie.—Dla idei?—Nie umiał sobie tego pojęcia jasno określić.

— Nie bój się,—rzekł mu redaktor z odcieniem ironii.—W naszym obozie nie wymaga się dla idei poświęceń. Im prędzéj i lepiéj będziesz ładował kieszenie, tém energiczniéj będziesz pracował dla idei w naszém pojęciu... dla naszéj idei.

— Cóż to jest ta nasza idea?

Redaktor zerwał się oburzony.

— Zyzma, naiwność twoja zaczyna mnie irytować. Nie wiesz co jest naszą, a więc i twoją ideą. A jednak siłą dziedziczności poświęcasz się dla niéj. O Zyzma, jakiś ty komiczny, dziecko jesteś. Co jest naszą ideą? Panowanie nad światem. Pragnienie to, a raczéj prawo, jest we krwi twojéj, w zwojach twego mózgu, w postępkach i myślach twoich, a ty jeszcze tego nie wiesz, nie przeczuwasz, chociaż ciężko na rzecz jego pracujesz.

— My żydzi?... Czuć było powątpiewanie w głosie młodego człowieka.

— Tak, my żydzi,—przerwał mu redaktor,—my żydzi, najstarsza a zatém najrozumniejsza rasa na świecie. My naród najpierwéj i najwyżéj ucywilizowany i dla tego mordowany przez barbarzyńców. Wytrwaliśmy wszelkie prześladowania, aby nareszcie, gdy cywilizacya głupich i podłych ras do tyla dojrzała, że nam zapewniła równość i wolność, loiką faktów objąć nad nimi panowanie. Czujesz ty to, widzisz, — wołał roznamiętniając się, — że gdzie tylko rasa nasza zetknie się z drugą rasą, na podstawie równych praw, nasza bierze górę i skutkiem swéj wyższości cywilizacyjnéj opanowuje rasę niższą. Tak jest wszędzie, tak jest na całym świecie. Jedna rasa anglo-saska dotrzymuje nam kroku.

— A jednak dużo i wśród nas jest ciemnych i ograniczonych.

— Zyzma, Zyzma, jakiś ty głupi. Czyż tego nie widzisz, że naj głupszy, byle czystéj rasy żyd jeszcze jest mądrzejszy, od mądrego węgra, polaka, a nawet i niemca, bo zawsze w walce o byt zwycięży, pokona ich. Masz przykład na Wiedniu. Pałace, wspaniałe domy, banki, fabryki, giełda, handel, prasa,—wszystko w naszych rękach.

Młody człowiek zamyślił się.

— Mój chłopcze, widzę, że nowe te myśli przygniatają cię swym ogromem, lecz czujesz ich wielkość i ważność.

— Jakżeż my nieliczni, pogardzani...

— Nieliczni, pogardzani—powtórzył z szyderstwem.—Zabawny jesteś do idiotyzmu. Nieliczni, dopóki znosimy prześladowanie; lecz tam, gdzie słońce cywilizacyi zaczyna przyświecać, pod wpływem jego promieni rozmnażamy się, obejmując najzyskowniejsze i najdogodniejsze pozycye. Wielu nas było przed pięćdziesięciu laty, a wielu jest nas dziś. Wielu nas,—zawołał, było przed dwudziestu pięciu laty, a wielu jest dziś, a wielu będzie za lat sto, dwieście... Żyd nie boi się miéć dzieci choćby tuzin cały, bo wierzy, że im miejsca na ziemi nie zbraknie. Obfitość ta polecona mu jest przez religią. A co do pogardy,—wstrząsnął głową i patrząc w oczy Zyzmie, uśmiechał się litościwie.

— Gdyś nie miał nic, reporterzy nasi traktowali cię z góry,—ja sam z ciebie żartowałem, nikt się do ciebie nie zbliżał, wielu cię dojrzéć nie mogło. Nareszcie jednego pięknego poranku zdobywasz sobie parę tysięcy stówek, i wieczorem jesteś na balu u jednego z pierwszych bankierów w Wiedniu, w towarzystwie arystokracyi świata. Córka bankiera tańczy z tobą kadryla i umizga się do ciebie. Pojutrze wchodzisz do biura jéj ojca, za parę lat dobijasz się milionów i żenisz się z nią. Oto widzisz, co znaczy pogarda, która jest tylko barbarzyństwem i szowinizmem ras niższych.

— A przecież i oni pracują i cywilizują się.

— Dla nas. Wszystko to dla nas. Sztuka i literatura wysilają się, aby nas bawić i wzruszać, bo my jéj za to płacimy, my ją karmimy złotem naszém... Nauka? Wszystkie jéj zdobycze i odkrycia podnoszą naszą sprawę i nam służą. Nauka odnajduje dziś to, co było złożone w naszéj krwi i w naszych mózgach od tysiąców lat. Walka o byt, prawo rozwoju w naturze i ludzkości—zaledwo dziś uznane, a przez nas odkryte i uprawiane, odkąd ludzkość zapisuje na kartach historyi swe dzieje. Dziedziczność, czyli zdobycze doświadczenia i cywilizacyi przodków, przechodzące z pokolenia na pokolenia jako siła stanowiąca jego rasową, gotową już, bo odziedziczoną potęgę, czyż nie jest najświetniejszém świadectwem nasze-

go rozumu i praw do panowania. Czemże są ludy Europy, których cywilizacya datuje się naprawdę od lat pięciuset a nawet czterystu, bo od reformacyi, w porównaniu z nami, co dźwigamy na swych barkach cywilizacyą dziesięciu tysięcy lat? Czemże są, po udowodnieniu dziedziczności, ludy Europy względem nas? Barbarzyńcami, jak byli Grecy i Rzymianie, względem nas, starych Fenicyan. Ludy i narody kładą się jedne za drugiemi, do mogił,—my tylko, nieśmiertelni od pierwszych brzasków życia ludzkości do dziś dnia, trwamy, wzbogacamy się, potężniejemy.

Wzruszony, roznamiętniony chodził szerokiemi krokami po pokoju. W oczach jego świeciły ognie, na twarz wystąpiły rumieńce, ciężko i głęboko oddychał.

Zyzma również wzruszony, lecz blady, utkwił nieruchomie wzrok, jak ten, którego myśl ciężko pracuje.

— Jeżeli idzie o walkę o byt, to i oni walczą — szepnął nieśmiało.

— Ale my zwyciężamy, rozumiesz. My mamy za sobą wszystko, bo mamy rozum, wytrwałość i nic więcéj. Oni są obciążeni rozlicznemi balastami, które jak kule u nóg, ciągną się za nimi, tamując ich rozwój.

— Kule u nóg, — prawie bezwiednie powtórzył zamyślony Zyzma.

— Tak kule,—zawołał rozentuzjazmowany redaktor.—A temi kulami są ich uprzedzenia rodowe, tradycya, honor, ojczyzna... My nie mamy ojczyzny, nie walczymy za nią, nie cierpimy dla niéj, nie składamy na jéj ołtarzu mienia naszego, czasu i życia. My nie mamy państwa i dla jego idei nie utrzymujemy tysięcy żołdaków, nie napadamy na drugich, nie obdzieramy, i nareszcie nie odbieramy zabranych nam ziem. Nie uznajemy ojczyzny i państwa, bo świat cały do nas należy. My nie mordujemy, ale ssiemy. Wysysamy wszystkie żywotne soki ludzkości na krew i siły naszéj rasy. Naszą tradycyą jest cywilizacya i nic więcéj, naszym honorem panowanie. Przy takich warunkach, kto musi być zwycięzcą i będzie nim w walce o byt? Widzisz więc, że i my mamy swoję politykę... popierania silniejszych, bo ci torują dla nas drogi i robią nam miejsca. Prusacy pobili francuzów i jednocześnie niemców. Pomagaliśmy prusakom. Po dziesięciu latach, patrz jakie nasze stanowisko w Niemczech pod pozorem, że kulturę pruską rozwijamy i propagujemy. Do prusaków mają wstręt w Europie, tak samo jak do nas. A mimo to, prusaków muszą słuchać, a nam służyć.

Wyjął z biurka mapę Niemiec i rzucił ją na stół.

Zyzma się pochylił nad nią.

— Niebieskie punkciki — mówił daléj — to nasze siedziby przed 72-gim, a czerwone po 72-gim roku. Widzisz wiele ich przybyło. I czy jeszcze wątpisz w przyszłość rasy Izraela.

Zyzma się uważnie wpatrywał w sieć niebieskich i czerwonych punkcików, rozsianych najgęściéj po wschodniéj i zachodniéj stronie granic państwa.

— Prusacy na zachodzie podbijają niemców, a na wschodzie wynaradawiają polaków i szlązaków, na żer dla nas.

Rozśmiał się sucho, nerwowo, jak zgrzyt zawias więziennych, zmięszany z odgłosem kamieni padających na trumnę.

Zyzmę przeszedł dreszcz. Podniósł głowę, lecz nie śmiał słowa przemówić.

— Tu w środkowéj Europie,—mówił daléj redaktor przyciszonym głosem,—jesteśmy dziś prusakami. Wprawdzie oni mają naszę żarłoczność i łakomstwo, ale my nie mamy ich siły. Wielki pisarz francuski w świetnéj swéj powieści opisuje noc na pobojowisku w Afryce. Umiem ten ustęp na pamięć: „Lwy leżały na ziemi, patrząc nieruchomo przed siebie, lub zagrzebane w grzywach swych spały zwinięte w kłąb, a wszystkie wydawały się obżarte, zmęczone, znudzone... prusacy. Raptem zwir posypał się z góry, dał się słyszéć szelest przyspieszonych kroków. Od strony wejścia ukazały się śpiczaste mordki, proste uszy i błyszczące źrenice, były to przybywające szakale, na zjedzenie resztek“...

My jesteśmy temi szakalami, z tą tylko różnicą, że już nie schodzimy, nie uciekamy z zajętego stanowiska. Prusacy nam potrzebni, ich bagnety, ich porządek, ich żandarmi, prawa i pruski humanizm. I oni deklamują o wyższości swéj rasy nad innemi... głupcy!... Dla tego to w Austryi przeprowadzamy ich politykę, przyjmując ich zasadę: siła przed prawem. Jesteśmy centralistami niemieckimi. Niemcy nas uwielbiają, a my stoimy na straży i bronimy swych interesów. Prasa od niedawna stała się potężną siłą. Mało stosunkowo kosztuje, a wielkie zyski przynosi; dla tego pochwyciliśmy ją w Niemczech w swoje szpony. A jak ją prowadzimy? Pokaż mi jakie inne pismo w środkowéj Europie, coby miało więcéj od naszego rozgłosu i sławy. A czy ty myślisz, że my stoimy wielkim rozumem, przebiegłością, kombinacyami, przepowiedniami, czystością zasad?... Nic! My stoimy jedynie bezczelnością i sprytem. Zbeszczeszczać ludzi a nawet ludy i narody, które nam stoją na drodze, nic nas nie kosztuje. Inne pisma muszą się liczyć z obowiązkowym honorem, uczciwością, sprawiedliwością: my nie. My najkrótszą dro-

gą idziemy do celu. A jak to dziś popłaca! Patrz, inne pisma mają tyle tysięcy prenumeratorów, ile my dziesiątek tysięcy. Dużo jest takich, którzy o nas mówią: łajdackie to pismo, ale bezczelność jego zachwyca mnie. I chociaż się plwa na naród, do którego należą, a pośrednio i na nich, ocierają ślinę, prenumerują i czytają, zachwycają się... Widzisz, że godność osobista i narodowa, szlachetna ambicya, duma, solidarność, człowieczeństwo w tém lepszém znaczeniu, topnieją. Za pomocą prasy roztaczamy wszędzie swe sieci, trzymamy czucie z całą naszą rasą, mamy tysiące oczu i uszu, wszędzie kładziemy naszą rękę. Denuncyujemy jednych, oskarżamy drugich, spotwarzamy trzecich. Walczymy, ułatwiając zwycięstwo naszéj rasie!.. A teraz powiedz: czy chcesz być z nami, czy chcesz rękę przyłożyć do dzieła odkupienia w imię cywilizacyi i postępu?

Wyciągnął rękę. Zyzma mu podał swoję.

— Tu nic nie zrobisz, a tam wiele, bardzo wiele, wierzaj mi. Nam będzie pochlebiać, jeżeli wyślemy do Lwowa korespondenta przystojnego młodzieńca i półmilionowego pana. To doda uroku naszemu pismu. A i ty będziesz miał za sobą powagę najpierwszego dziennika w środkowéj Europie. Dużo znajdziesz we Lwowie naszych stronników, otwartych i zamaskowanych. Przyjmą cię wszyscy z otwartemi rękami. Potrzebnyś tam, bo i wśród naszego obozu zaczynają nurtować nieprzychylne nam prądy. Ogólna sytuacya zaczyna się chwiać, lewicy wydarto władzę; polacy dobijają się jéj i rządzą, wprawdzie nieszkodliwie, bo są większemi austryakami aniżeli sam cesarz, i tak samo oskubują Galicyą jak to robili niemcy; ale zawsze trzeba krzyczéć gwałtu, wołać, że nas mordują, drą ze skóry, a swoje robić.

— Więc nie jest tak źle, jak piszecie,—zapytał Zyzma.

— Nawet coraz lepiéj. Obdzierani przez swych rodaków, polaczkowie biednieją do reszty i ustępują, a tém łatwiéj my ich stanowiska zajmujemy. Po lwach przychodzą szakale. Niech żyje Flaubert.

Szukał w biurku gorączkowo, nareszcie wydobył mapę Galicyi i rzucił ją na stół.

— Patrz: oto nasza mała Judea, raczéj nasz matecznik. Wszystkie mniejsze miasta i cały handel, kapitały, nawet przemysł w naszych rękach. A teraz spójrzyj na wsie. Galicya wschodnia prawie już w połowie do nas należy. Zachodnia koło Krakowa..... patrz: na pięćdziesięciu właścicieli wielkich obszarów w jednym okręgu wielickim trzydziestu żydów. Trzydzieści naszych ajentów i prenumeratorów. Łatwą jest walka z polską szlachtą, leniwą, ociężałą, bez wy-

kształcenia, a głównie bez wytrwałości. Przy tém fanaberye honoru, szlachectwa, ojczyzny, obywatelskich obowiązków, pyszałkostwa, życia nad stan, zdmuchują ją z powierzchni, jak zwiędłe liście drzew. Miejsce ich zajmuje rasa, która przetrwała zwycięzko wszystkie nieszczęścia ludzkości, a nawet jéj dzikość. Co to będzie za lat pięćdziesiąt—zawołał, zacierając z radości ręce.—Przekonywasz się więc, że jedziesz do obiecanéj ziemi. Każdy z naszych, a dziś już galicyjskich dziedziców, oddałby ci córkę, gdybyś tylko rękę wyciągnął. Każdy cię przyjmie jak swego. Polecające nasze listy będą ci wszędzie roztwierać na oścież drzwi, nie tylko twych braci w Izraelu, ale i panów, wielkich panów, którzy nas potrzebują, bo i oni prowadzą wielkie interesa, wtedy, gdy głupia szlachta ściska ich za kolana, kłania im się i służy im, w imię własnych przesądów, zmuszona do tego siłą dziedziczności. Kłania im się, bo ich dziady i pradziady całowali im kolana. I cóż naturalniejszego, że swe przyzwyczajenia przekazali swym następcom drogą dziedziczności. Wszędzie niecofnięte prawa natury.

Gorąco mu było i duszno. Otworzył okno, chwytając świeże powietrze całemi piersiami. Zyzma również zbliżył się do okna, patrząc melancholijnie na zielone drzewa skweru i pomnik Beethowena, u którego stóp rozkuty Prometeusz odpędza sępa.

— Znasz głęboki myt Prometeusza?

— Znam—odparł młody człowiek—nie chcąc się zdradzić z niewiadomością.

— Są dwie role na świecie. Sępów i skutych Prometeuszów. Nie starajmyż się rozkuwać im kajdan. A to nasza świątynia—wskazał na wznoszący na prawo gmach akademii handlowéj.—Nic nie pomogą nauki innych ras, bo my w handlu jesteśmy geniuszami. Zyzma, twój geniusz rasowy pozwolił ci najprostszym środkiem w jednym dniu zdobyć parękroć stotysięcy guldenów.

Zyzma się uśmiechnął i po chwili odezwał się uroczyście, przejęty ważnością swéj roli.

— A cóż z młodszą naszą bracią? niecywilizowaną, brudną, biedną?

— Zostaw ich samych sobie—zawołał redaktor.— I wśród nich, jak wszędzie, jak na każdym kroku w naturze, odbywa się ta sama walka o byt. Słabsze, głupsze i leniwsze osobniki padają, silniejsze zdobywają sobie miejsce i rozrastają się, idąc wszędzie w górę. Nam silnych potrzeba.

Motłoch jest wszędzie motłochem. W walce z rasami niższemi zwycięża, lecz z samym sobą, tylko zdrowe i mocne organizmy wy-

dobywają się na wierzch. On nam potrzebny, niezbędny. Jest-to sfanatyzmowana masa, na któréj barkach my się wznosimy. Surowy kult religijny jest dla niéj konieczny, zastępuje jéj narodowość, literaturę, sztukę; jest jéj organizacyą, prawem, kontrolą, spójnią, jednolitością. Karność religijna w téj rozzuchwalonéj i chciwéj masie jest wielka. Kult ich również prawem dziedziczności, przechodząc z pokolenia na pokolenia, utrwala się..... Zostaw ich samych sobie. Tak jak są, stają się nam najużyteczniejsi. Ci, którzy się zpośród nich wydobywają na wierzch, przychodzą tylko do nas. A gdyby masa, z któréj wychodzą, była inna, mogliby nas ominąć i iść gdzie indziéj. Rozumiesz?

— Rozumiem—odpowiedział uroczyście młody człowiek.

— A więc do dzieła. W tych dniach odbierzesz listy rekomendacyjne i szczegółowe instrukcye. Pisz, jak umiesz i możesz. Nie zajmuj się ani stylem, ani ortografią, to nasza rzecz. Bylebyś pisał namiętnie, a zamiast pióra używał pazurów i zębów.

— Postaram się, abyście byli ze mnie zadowoleni..... Do widzenia.

— Do widzenia. Na pożegnanie wyprawimy ci pożegnalną kolacyjkę w kółku naszych najbliższych.

Zyzma z uczuciem wdzięczności uścisnął redaktorską prawicę i wzruszony wyszedł.

Drzwi redakcyi zamknęły się. Pan redaktor, dumny ze swojéj wymowy i potężnego wpływu, jaki wywarł na młodym człowieku, rozśmiał się głośno i szczerze, jak aktor, gdy po odegraniu dobrze swéj roli, znajdzie się za kulisami.

— A i ty głupcze—zawołał—gdybyś swym sprytem czy szczęściem nie wygrał paru tysięcy setek, czyżbym się tobą zajmował? Zaledwo raczyłbym patrzéć na ciebie, i to wtedy, gdy nam darmo służyłeś.

Zyzma poważnie kroczył po Ringstrasse. Uśmiechał się dumnie z świetnego stanowiska, jakie miał zająć, spoglądał z pogardą na przechodzących obok niego ludzi; on spadkobierca geniuszu wielkiéj, starożytnéj rasy, przeznaczonéj do panowania nad światem.

Porównywał zasady religii swéj, narodu wybranego od Boga, któremu wszystkie ludy służyć mają i być jego niewolnikami, z zasadami wygłaszanemi przez redaktora. Zgodność ich uderzyła go.

— A więc najnowsze badania naukowe, potwierdzają pojęcia i prawa naszych proroków i prawodawców..... Kult naszéj religii jest wielki—pomyślał—i rasa, która go stworzyła, ma prawo do opanowania ludzkości. Nasi wielcy ludzie przeczuli to, czego po tysiącach

lat, uczeni drogą ścisłego badania dochodzą. W téj chwili pierwszy raz w życiu był zadowolonym, a nawet szczęśliwym, że jest żydem.

Wszedł do dworskiéj cukierni na Kärtnerstrasse, nie zdejmując kapelusza. Panny sklepowe mierzyły go wzrokiem, lecz nie śmiały protestować. Widział wzrok panien sklepowych, lecz się tylko uśmiechnął pogardliwie, wypił kieliszek madery, zjadł ciastko, rzucił guldena i gdy mu oddawano resztę, odpowiedział butnie:

— Za nie zdjęcie kapelusza — i wyszedł.

— Arogancki żyd—szepnęła młoda dziewczyna.

— Zwyczajnie, jak żyd wiedeński—odpowiedziała jéj druga.

Zyzma był pewny, że zrobił wielkie wrażenie w cukierni i rad z siebie szedł daléj. Wyobraźnia jego pracowała. Widział się we Lwowie szanowany i ceniony, otoczony ludźmi znaczenia i rozległych wpływów, którzy jednak słuchali jego rozkazów. Polscy panowie ściskali go za ręce i przyjmowali u siebie.

Na Judenplatz, z okien jego domu przebijało się światło. Szybko pobiegł po schodach, otworzył.

Na środku pokoju stała wystrojona Sali.

— Jedziemy — zawołał.

— Czekam już od godziny—odparła, oglądając swą sukienkę.

— Jedziemy do Galicyi, do Krakowa i Lwowa.

— Dobrze, mój Zyzma, jedźmy, ale dziś bądźmy w operze. Szkoda biletu, przepłaciłeś go.

Zyzma zgodził się na prośbę dziewczynki. Polecił gospodyni, aby kazała zawołać remizę: tymczasem miał się przebrać; lecz duma, która już się u niego zmieniła w arogancyą, podszepnęła mu, że dość będzie dla niemców, gdy go zobaczą w zwykłym stroju. On, potomek i spadkobierca rasy panującéj nad światem, nie potrzebuje zniżać się do głupich form, wynalezionych przez pół dzikie narody.

Nie był to już Zyzma drżący przed wygraną, litujący się nad nieszczęściem biednéj kobiety, wyciągający ręce do jéj dziecka, rozkoszujący się radością starego żyda i jego córki, współczujący niedolę swych braci..... Był to korrespondent *Neue Fr. Presse*, urobiony na jéj modłę: arogant, chciwy władzy i panowania, nie pytając o środki.

— Goj — zawołał sam do siebie i rozśmiał się. — Dawniéj goje byli Filistyńczykami, dziś dla nas są to rasy niższe, których karki przeznaczone są do pracowania na lud wybrany od Boga. Jedno i to samo pojęcie, zmieniają się tylko nazwy, odpowiednio do wymagań czasu. Naród, który stworzył taką religią, i religia, która go wychowała, nie mogą upaść. Nienawidzą nas, bo służyć nam muszą.

— Zajechała remiza, gospodyni posadziła Sali obok Zyzmy, dumnego i milczącego.

Przejeżdżali przez wązką żydowską uliczkę. Gromadami stojący żydzi cofali się, patrząc z szacunkiem i dumą na jednego ze swoich, dziś wielkiego pana. Młody człowiek spoglądał obojętnie na tych biedaków, walczących z nędzą i głodem.

— Prawo natury, walki o byt, dostarczy nam i z téj warstwy dzielnych osobników. Na podstawie tego samego prawa i ja wypłynąłem na wierzch.... Jak ja od paru godzin zmądrzałem — zrobił uwagę. — Praca to dziesięciu tysięcy lat cywilizacyi rasy, któréj jestem potomkiem i spadkobiercą — dodał z uśmiechem.

Konie stanęły przed portykiem Opery. Szwajcar przy wysiadaniu z powozu podał rękę Sali.

Dziewczynka, drżąca ze wzruszenia, szła chwiejnym krokiem, spoglądając na Zyzmę, który stąpał po schodach wysłanych dywanem, jak gdyby po innych nigdy nie chodził.

— Usiedli w obszernéj loży sami. Sali patrzała zdziwionemi oczami dokoła, Zyzma kazał podać wspaniałą lornetę.

Muzyka zagrała, światło z kinkietów rozlało się jasnemi płomieniami. Rozweseliły się twarze.

— Co tu pięknych pań; a jak wystrojone — szepnęła dziewczynka.

Podniesiono kurtynę i oczy wszystkich zwróciły się na scenę, słuchać skarg serca śpiewanych przez królewską niewolnicę, Aidę.

— Jak to piękne — mówiła wzruszona.

Zyzmie było przykro, że to nie żyd był twórcą téj opery, lecz pocieszał się tém, że była napisaną dla dostarczenia duchowych rozkoszy jego rasie, a więc i dla niego.

Spadła kurtyna, światło rozlało się po sali. Młody człowiek ułożywszy się w fotelu niedbale, zaczął rekognoskować po lożach, wpatrując się uparcie w piękności. Lornetki z lóż zwróciły się na niego i Sali. Młode panie uśmiechały się, rozmawiając wesoło o nim i dziewczynce, która wystąpiła z dwoma broszkami i szklannemi perłami na szyi.

— Zyzma—szepnęła Sali—te wielkie panie śmieją się z nas. Nie patrz się tak na nie, bo to nie ładnie.

Widocznie dziewczyna miała wrodzone poczucie dobrego smaku i przyzwoitości. Zyzma czuł, jak krew oblała twarz jego rumieńcami. Nie chcąc ich pokazać, nie odejmował lornety od oczu.

— Nie prawda—rzekł—nie znasz się na tém.

— Ale widzę — odpowiedziała. — Pokazują nas sobie oczami i uśmiechają się. Ja mam dobry wzrok.

Młody człowiek położył lornetę, usta zacisnął, nasunął brwi, i gdyby miał tylko siłę, lub władzę, kazałby wyciąć wszystkie te wielkie damy, za jedno szyderstwo, lub żart ośmieszający go.

Parę dni temu jeszcze na balu u bankiera, za okazywane mu lekceważenie, za jawną pogardę jego córki, nie myślał o zemście, nie pragnął jéj i nie przeklinał jak w téj chwili, co było można poznać po jego drżących wargach.

Po drugim akcie wyszedł ostentacyjnie, prowadząc za sobą Sali. Dziewczyna miała łzy w oczach, oglądała się smutnie, lecz nie śmiała stawiać opozycyi, odgadując gniew swego opiekuna. Gdy jednak znaleźli się na ulicy, zdobyła się na odwagę: stanęła.

— Ja wrócę—zawołała—Zyzma, pozwól mi wrócić. Pocóż tyle pieniędzy wyrzucać; przyjdę do domu sama. Chodź i ty, może się one z kogo innego śmiały, a ja głupia powiedziałam, że z ciebie. Zyzma, ja muszę wrócić.

Nie mógł się oprzeć prośbom dziewczynki i głową skinął, aby poszła. Sali całym pędem wpadła w podwoje portyku opery.

— Idź, idź — myślał w duchu — i ty jesteś córka Izraela i tobie się należy cząstka panowania i uciech. Któż wie, czy jeszcze kiedy zobaczysz operę. Bo przecież i ciebie zabrać muszę. Czwarta część mego majątku powinna-by być twoją, gdyby nie to, że walka o byt jest prawem odkrytém i zastosowaném od tysiąców lat przez nas. Jest ono w naszéj krwi. I biada wam, dzikie narody, coście siłą pięści przyszły do władzy i majątku. Walka nieskończona, cywilizacya jest z nami.

Pod wpływem dzisiejszéj rozmowy i tylko co słyszanych nowych dla siebie rzeczy, czuł potrzebę wygłaszania frazesów. Deklamując na pustéj ulicy, miał na myśli młode damy w lożach, które odważyły się lornetując, śmiać się z niego.

— Gdybym siedział w teatrze z hrabianką polską, nie śmiałybyście się. Ona by wam pokazała co to jest pańskość, elegancya i dobry ton.

— Co ja teraz z nią zrobię?—Przypomnienie szlachetnéj kobiety i polki, zachwiało nim. Poznał, że uczucie sprawiedliwości i litości, które dawniéj w jego pojęciach i czynach wywierało na niego wpływ, wraca, upominając się o swe prawa.

— Nie, nie—wołał idąc żywo—trzeba umieć wszystko poświęcić dla idei, nawet sumienie! O to nie tak trudno: my w ogóle nie mamy go do zbytku—dodał, uśmiechając się.

Myślał, plany układał, a przed oczy jego duszy stawała młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Zdawało mu się, że słyszy jéj głos: Wierzę, że jesteś szlachetnym człowiekiem.

Być może, że pod naciskiem tych myśli, żal mu się zrobiło Sali: bał się, aby jéj się co złego nie stało, gdy sama po pustych ulicach będzie iść w nocy. Zawrócił do opery i cicho wsunął się do swéj loży, stając w głębi.

Kończył się czwarty akt. W świątyni kult egipski przy jasnym dniu południowego słońca odprawiał rytuałowe swe modły, a z otwartych podziemi płynęła pieśń miłości. Cisza była w teatrze. Pieśń wywierała uszlachetniający wpływ. Zyzma słuchał jéj wzruszony. W téj chwili zaledwo zaczął przeczuwać, że są w grze świata tego i w jego prawach, szlachetniejsze wpływy i siły, od wygłaszanych w redakcyi teoryj.

— A to ty, Zyzma; wróciłeś — zawołała Sali po skończeniu.— Prawda, jakie to piękne. Biedna Aida, pogrzebano ją żywcem... No, ale miała przecie pociechę, że z kochankiem—dodała.

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Dobrze, żeś wrócił — mówiła daléj — bo te wielkie panie, to tylko ze mnie się śmiały. I cóż mi to szkodzi, niech się śmieją. Żal ci było samę mnie zostawiać, i wróciłeś. Zyzma, ty jesteś dobry, bardzo dobry. Chodźmy prosto do domu, bo szkoda pieniędzy. U gospodyni pożywimy się.

Roztargniony i zamyślony dał się powodować dziewczynce.

VII.

Upłynęło całe dwa tygodnie. Przez ten czas szczęśliwszy zwycięzca giełdowy, przetrawiał w sobie pojęcia i zasady, rzucone mu przez redaktora „Nowéj Presy“. Entuziazmował się z początku, późniéj zaczął wątpić, uczuwając wstręt do nich. Dopiero uczta redakcyjna, wyprawiona na pożegnanie, tyle wpłynęła na niego, że przyjął powierzoną mu rolę i postanowił pojechać.

— Jesteś pan dziś roztargniony, smutny, zamyślony. Czy cię jakie nieszczęście spotkało — mówiła serdecznie młoda kobieta, gdy syn jéj siedząc na kolanach Zyzmy, oparł smutnie główkę na jego piersiach.

— Nie mam prawa — mówiła daléj — do zwierzań ze strony pana, lecz przyznam się, radabym chociaż dobrą radą odwzajemnić się.

Młody człowiek milczał. Nie mógł powiedzieć: jadę oskarżać, denuncyować i wydziedziczać naród twój, którego i ja synem jestem.

Czuł w najgłębszych tajnikach swego serca i myśli, że jest polakiem. Wstyd i utajona sympatya do ojczyzny walcząc, wydobyły rumieńce na jego twarzy. Pochylił głowę:

— Milczysz pan?—pytała cicho.

— Dziękuję serdecznie pani... dziękuję za współczucie—odpowiedział po chwili.—Nie spotkało mnie żadne nieszczęście... Jakoś mi smutno—rzekł, powtórnie się rumieniąc;—może dla tego—dodał ciszéj—że jechać muszę.

— Na długo?

— Na zawsze.

Nastała cisza; młoda kobieta nie śmiała jéj przerywać, Zyzma nie umiał.

— Prędko?

— Jutro.

Znowu cicho się zrobiło.

— Muszę więc i ja jutro jechać do Wiednia—szepnęła.—Nie znam tam nikogo..... czuć było w jéj głosie smutek, wzruszenie, a może i przestrach.

— Jedźmy dziś — przerwał Zyzma.—Władzia zostawisz pani u gospodyni. Znajdziemy mieszkanie. O stosunki łatwo, szczególniéj pani.

Kobieta z trudnością godziła się na ten projekt. Dobrze jéj tu było wśród ciszy. Walczyć nie umiała, brakło jéj sił i zdolności.

— Albo lepiéj jedź pani ze mną—zawołał.

— Ja?.... wyprostowała się dumnie, marszcząc gładkie czoło.

— Jadę do Lwowa, zawiozę tam panią. Może ci łatwiéj będzie jak w Wiedniu.

Młoda kobieta głową wstrząsnęła.

— Żebrać nie umiem. A tam nawet o pracę żebrać trzeba i jeżeli ją dają, to jako jałmużnę.

— A więc nie będziesz żebrać pracy, bo ja ją pani dam — powtórzył.—Na czém się pani najlepiéj znasz? Na atłasach, koronkach, haftach?... Wyborna idea przychodzi mi do głowy! Zakładam sklep we Lwowie koronek, haftów, guzików, wszelakich drobiazgów dla kobiet. Pani go będziesz prowadzić. Wynagrodzenie czwarta część czystego zysku. Zgoda?

— Nie umiem.

— Nauczę panią w przeciągu trzech dni.

— Rodzina moja, która zjeżdża na zimę do Lwowa....

— Cóż panią rodzina obchodzi. Gdy umierałaś z głodu z dzieckiem, nie odpisali ci nawet. Ani jednego wyrazu pociechy, ani jednego guldena, Lecz cóż—mówił rozgorączkowany—u was ambicya

na pierwszém miejscu. Tu pani z dzieckiem wolisz cierpieć nędzę, jak tam uczciwie pracując na kawałek chleba, wychować i wykształcić syna, a sobie na starość zapewnić byt..... Lecz trudno, kiedy przesądy arystokracyi polskiéj są większe, nad szczęście ich dzieci.

— Pojadę—rzekła stanowczo.

— To co innego—pocałował ją w rękę i oddał jéj dziecko.—Cieszę się. Zobaczysz pani, że damy sobie radę. Będziemy prowadzić nasz interes uczciwie. Uczciwość w handlu dużo znaczy, często więcéj jak szacherstwo..... A więc zgoda. Wyjazd mój opóźniam o pięć dni, a teraz jadę do Wiednia obeznać się z rodzajem tego handlu, porobić układy, zakupić towar i wysłać go. Będzie na nas czekał w pakach we Lwowie.

— Tak prędko—szepnęła.

— Po cóż zwlekać. Ja muszę jechać, pani nie masz tu co robić, a więc w drogę. Jutro przyjadę zabrać panią do Wiednia. Cieszę się, że pani będziesz we Lwowie pracować w moim sklepie. Firmę damy wspaniałą. W Wiedniu będziesz pani pewno robić dużo sprawunków. Mam kuzynkę sprytną dziewczynę, pomoże pani. Dług będziesz mi spłacać ratami. Wszystko się dobrze ułoży. Duma pani nic nie ucierpi, bo i ja robię dobry interes, a muszę mieć uczciwą osobę w mym handlu. Do widzenia. Nie trzeba się tylko bać i nie myśléć o swych krewnych, bo i pani będziesz panią u siebie.

Uścisnął rękę młodéj matki, przyciskając ją do ust, i pewien siebie, wesoły, pojechał do Wiednia.

— Na co ona—powtarzał—może mi być potrzebną we Lwowie i jaką rolę w mém życiu odegra.

Trzeźwa jego i praktyczna natura usiłowała wmówić w niego korzyści, jakie może odnieść z poznania się z młodą kobietą. Szlachetne instynkta, drzemiące na dnie jego serca, żartowały sobie z tych usiłowań. W towarzystwie jéj czuł się lepszym, szlachetniéj myślał, i to go pociągało, budząc w nim sympatyą dla nieszczęśliwéj.

Matka wpatrując się w smutne swe dziecko, milczała. Wzburzone jéj myśli snuły się szybko i gwałtownie. Młodość jéj, pójście zamąż, rozkosze życia w pierwszych miesiącach po ślubie, ruina, rozpacz, śmierć, nędza, podana ręka ratunku przez młodego żyda: wszystko to razem łączyło się chaotycznie w jéj umyśle.

— Zkąd ta dobroć, delikatność i ofiarność u żyda?.... Zarumieniła się, tuląc swą twarz do bladéj buzi dziecka.

— Wszystko to dla ciebie, moja sieroto, wszystko, oprócz upadku!.... O nim nie ma mowy — odpowiedziała saméj sobie, poważnie i spokojnie.— Uczucie ufności i wiary objawia się tylko w szlachetnych naturach.

Sewer.

SYNTEZA BADAŃ FILOZOFICZNYCH

NAD DZIEJAMI LUDZKOŚCI.

(*Dokończenie*).

Wracamy tutaj do zasady postępu. Jakkolwiek wiemy już, że ma ona za jedyny przedmiot samą osobistość człowieka, a nie zaciekawiające go oderwania, to jednakże nie wiemy jeszcze nic, dopóki nie ujrzymy w jasnych kształtach tego postępowego ruchu, dopóki nie zbadamy jego składowych pierwiastków. Owóż w tym sensie głos rozstrzygający w połowie należy do socyologii. Co w społeczeństwie powinno dążyć do ideału, jakie strony życia powinny się ulepszać, boć przecie nie wszystko ma jednakową doniosłość? jakie żywioły zbiorowego bytu mają wyższość, warunkują jego zachowanie, dobrobyt lub zastój, jakie sfery działania są dlań prawdziwie znamiennémi? Przecież, gdy chcemy scharakteryzować stan jakiegoś okresu dziejowego, myślą naszą kierują pewne kategorye, wskazujące główne punkta charakterystyki. Gdy np. podajemy życiorys człowieka, nie wspominamy o wszystkiem, co mu się przytrafiało, nie mówimy np. o rozwoju jego smaku w ubieraniu się, o jego gustach gastronomicznych, bo to na skalę umysłowości i pomyślności nie oddziaływa. Toż samo w życiorysie ucywilizowanego społeczeństwa, w którego programie jedno jest zasadniczém, fundamentalném, drugie ubocznéın, powierzchownem. Kariejewowi za przewodnika w tym razie służy własna jego teorya. Rozdziela on całą sumę nadustrojowego dorobku na dwa wielkie rozgałęzienia: kulturę i społeczne urządzenia; pierwsza jest ogółem tych pojęć, usposobień, dążeń, wierzeń, charakterów, które nagromadzają się przez naśladownictwo mimowiedne i świadome żyjących z sobą osobników i występują najjednoliciej w narodowości; drugie zaś oznaczają tę sumę form społecznych stosunków, na których opierają się rozmaite ciała zbiorowe.

Rozumie się, że instytucye wypływają z pojęć, ideałów, poglądów, bo są często ich wcieleniem, ale właśnie dla tego swojego konkretnego istnienia różnią się od kultury, mają byt odrębny i tylko widziane z teoretycznego stanowiska stanowią część jéj. Zgodnie z tém, cośmy powiedzieli wyżéj, urządzenia społeczne podciągnąć można pod trzy kategorye: czysto państwowych, gospodarczo-współpracowniczych i prawnych; jeśli teraz i pojęcie kultury rozłożymy na składowe pierwiastki, otrzymamy zaokrąglony szemat egzystencyi towarzyskiéj, składający się z kilku punktów zasadniczych; wyprowadźmy z każdego z nich liniją skierowaną ku idealnemu kresowi, a będziemy mieli dokładną tablicę postępu, szemat rozwoju.

Ponieważ układ czynników postępu stanowi punkt ciężkości historyozofii, jako teoryi filozofii dziejów, więc powinien być rozwiniętym szczegółowiéj. Wymaganiu temu, odnośnie do socyalnéj części uczyniliśmy zadosyć, pozostaje jeszcze rozebrać zasadniczy skład kultury. Rozczłonkowywali ją już Rühs, Lotze, Frère, Javary, Bona Meyer i bardzo wielu innych pisarzów, Hermann np. cywilizacyjną treść rozszczepił na dziesięć odnóg: religię, nauki, sztuki, rzemiosła, język, prawo, moralność, poczucie piękna, wojowniczość i handel. Zarówno w téj, jak i wszystkich innych podziałach, są błędy dwojakie: jednostronność, przechylająca się bądź ku umysłowości, bądź ku układowi społecznemu i uwzględnianie takich działalności, które stanowią tylko składowe części innych. K. chce poprzednie próby zastąpić swoją własną, w któréjby wszystko było jednakowo ważném i w sumie wyczerpywało całą zawartość kultury; sprowadziwszy zwyczaje do etyki, jako zależne w znacznym stopniu od niéj, a obyczaje do prawa, którego są nieustaloną resztą, religię w połowie do dziedziny moralności, a w połowie, do poglądów na świat, otrzymuje dwa kamienie węgielne duchowego życia: pojęcia o wszechświecie (filozofia, nauki, mitologia), pojęcia moralne; dodawszy do tego trzy znane już pierwiastki socyalne, otrzymamy razem pięć koryt, pięć kanałów, niosących fale dziejów naszego rodu.

Pierwszy rzut oka przekonywa nas, że metoda rozumowania autora nie wiele się różni od zwykłych; jego klasyfikacya jest również dedukcyjną, jak dotychczasowe; Kar. ze spichrza, nader zresztą bogatego, odnośnych pomysłów, wybrał po prostu te, które mu się wydały najbardziéj zadawalniającemi, przekształcił je odpowiednio, kierując się dewizą, iż należy mieć na względzie ludzkość samę, osobistość człowieka, z krwi i ciała, a nietylko z ducha złożoną, i zczepił w odmienny, racyonalniejszy nieco sposób. Stosuje się to przeważnie do kategoryj umysłowości, albowiem układ pierwiastków czysto spo-

łecznych *wypłynął z ogólnie-socyologicznych poglądów*, nosi cechę pewnej konieczności i jest, zdaniem naszém, nabytkiém dla historyozofii niepospolitym, ogromnym w niéj krokiem naprzód. Tém bardziéj przeto żałować wypada, że autor nie pozostał wiernym swemu godłu bezwarunkowego krytykowania i w sprawie idei nie postarał się, lub przynajmniej nie obejrzał się za jakiemś nowém założeniem. Kto wie, czy pierwiastków duchowych nie udałoby się wysnuć z jakiéjś rozumnéj zasady, jak to szan. autor uczynił z pierwiastkami socyalnemi. Być może także, że jest to niemożebném; ale wprzód należało problemat ten zgłębić i w najgorszym razie dowieść, iż nie ma pewnika, z którego wypływałby taki, a nie inny szemat kultury. Bez tego teorya Kar. pozostaje eklektyczną, wprawdzie rozumnie eklektyczną, ale nie opancerzoną dostatecznie przeciw każdéj na podobnie wolnym wyborze opartéj.

Nasuwa też ona kilka innych wątpliwości. Autor świadomie odrzucił język, technikę i sztukę. Zgadzamy się, że mowa w zupełności na to zasługuje, jako czysto formalna strona duchowego życia, można się także przychylić do odsądzenia sztuki od znaczenia samoistnego czynnika, na mocy utartego twierdzenia, że jest ona tylko odzwierciedleniem panujących w społeczeństwie pojęć, środkiem do wyrażenia i upowszechnienia kiełkujących zamysłów i ideałów, ale prawda to niemająca przekonywającéj siły prawa i niektóre okresy dziejów wyraźnie jéj przeczą, jak epoka odrodzenia, w któréj napływ nowych estetycznych motywów był nietylko biernem odbiciem dokonywającego się przewrotu, ale i sprawcą w znacznéj mierze. Jeśli nadto wziąć pod uwagę, że w literaturze nadobnéj forma jest zarazem istotnym, a niedrugorzędnym pierwiastkiem, i duch jéj, nawet najbardziéj polityczny lub społeczny, ostatecznie bez powabnéj postaci obejść się nie może,—że umysłowy ferment ośmnastego stulecia był nietylko illustracyą opłakanego stanu rzeczy, ale i gwałtownym protestem i hasłem wzywającém do krwawéj walki z średniowieczczyzną,—wypadnie, iż sztuce odmawiać czynnéj roli w cywilizacyjnym pochodzie nie można.

Toż samo z techniką. Prawda, że w ogromnéj większości wypadków zależy ona od stanu naukowéj znajomości przyrody, ale częstokroć od wynalazku lub ulepszenia datuje się dopiero nowa era w umiejętności. Zresztą, gdyby nawet teorya i praktyka kroczyły równolegle i jednocześnie, to pozostaje jeszcze ciekawe pytanie, jakby autor wynalazek druku, zastosowanie pary i elektryczności, ulepszenia agronomiczne, do jakich należą np. zaszczepienie na gruncie europejskim kartofli, — wcielił do działu „poglądu na świat?“

Nie idzie za tém, by je stawiać na równi z czynnikami, zawsze i wszędzie istotnemi, ale rugować ryczałtem nie ma powodu, skoro rzeczywistość stwierdza ich wielką niekiedy doniosłość.

Naszkicowawszy szemat cywilizacyjnego dorobku, stanęliśmy w połowie drogi do celu głównego, którym jest przedstawienie pięciu pomienionych elementów w ruchu postępowym. Chodzi bowiem o znalezienie formuły, w jakąby ująć można prawidłowy, a więc idealny rozwój ludzkości. Do téj to mety zmierzali wszyscy filozofowie dziejów; tych to zabiegów owocem jest jedno ogólne prawo, mające normować bieg postępu i przybierające różną u różnych autorów postać. U Hegla występuje, jako dialektyczny rozwój bezwzględnego ducha, u Comte'a, jako konieczność trzech stadjów w pojęciach o wszechświecie, u Drapera, jako objaśniająca wszystko analogia z życiem pojedynczego człowieka, u prawowiernych synów kościoła, jako objawienie boże itd.; słowem wszyscy szukają jedynego, powszechnego prawa historyi, posiłkując się naciąganiami, sztuczném przekształcaniem faktów, o ile tego wymagała potrzeba do pasowania rzeczywistości, do kunsztownych ram własnego pomysłu. Ale obok nienaukowéj téj dowolności, obok poetyckiéj nieledwie swawoli, obok układania łamigłówki z kawałków historyi — w teoryach powyższych tkwi bogaty skarbiec drogocennéj prawdy: podmiotowość, idealizm, owa pochodnia, bez któréj ludzki ród zbłąkałby się nieraz i płynąłby na oślep, jak łódź bez sternika. Rozumna historyozofia winna porzucić raz na zawsze nietrzeźwą chęć objaśnienia minionych czasów na zasadzie jakiegoś jedynego prawa, ważnego nie tylko dla przeszłości ale i dla przyszłości,— lecz powinna natomiast *przeciwstawić im* postęp normalny, wymarzony, nie troszcząc się o to, czy i o ile faktyczny—odpowiada mu; to znaczy, że może ułożyć formułę postępu ale z *zupełną świadomością jéj oderwanéj natury*.

Tak więc formuła postępu wskazuje: *a*) ideał społeczeństwa. *b*) drogę, którą go urzeczywistnić można i *c*) abstrakcyjną modłę postępowania ludzkości od jednych zasad do innych, niezależnie od form, w które się przyoblekają.

Zanim przystąpimy do bliższego rozwinięcia za Kariejewem tych trzech momentów, cofniemy się jeszcze w dziedzinę nauki o społeczeństwie dla zbadania, czy ona sama nie nastręczy nam na nie odpowiedzi, czy zamiast uciekania się do podmiotowéj twórczości, nie lepiéj byłoby zasięgnąć u niéj rady i spytać o formułę postępu? Wiadomo bowiem, że socyologowie, dochodzący praw rozwoju społeczeństw typowych, mimowoli często stosują je do ogólnych dziejów całego rodzaju ludzkiego. Tak czynią zwłaszcza ci, co zdobycze biologii przenoszą na grunt badań nad społeczeństwem, złudzeni po-

zorami podobieństwa, zachodzącego jakoby między osobnikowemi organizmami, a ciałami społecznemi. Większość wybitniejszych socyologów dała się porwać miłéj perspektywie uproszczenia sobie dociekań przez przeszczepienie metody i plonów nauki bardziéj posuniętéj, na pole umiejętności, pozostającéj jeszcze w kolebce i zrodziła nawskróś błędną wiarę w tożsamość grupy i pojedynczego ustroju. Comte po części, a głównie Spencer, Schäffle, Lilienfeld, Espinas, Fouillé, Lindner zaczęli uważać socyologią za gałąź biologii i przeprowadziwszy drobiazgowo zasadę wrzekoméj między niemi równoległości, doszli do przekonania, że rozwojem w społeczeństwie, jak i w organizmach jest coraz ściślejsze kojarzenie i łączenie się części dla wspólnego celu, kosztem ich własnéj samodzielności. Otóż Kariejew stanowczo mniemanie to zbija, chociaż zbyt mało kładzie nacisku na pogląd Spencera, który zgrzeszył wprawdzie zbyt szerokiém zastosowaniem analogii, ale którego prawo naczelne: stopniowego całkowania i różniczkowania, pozostawia nietykalnemi jednostki z ich indywidualną niezależnością. Kariejewowi chodzi przedewszystkiém o swobodę osobistą i tém tłómaczy się bardzo naturalnie jego wstręt ku propagandzie powszechnéj służby niewolniczéj dla oderwanéj idei całości. Atoli do przeczenia swego zdąża on bardzo długiemi drogami, podjąwszy się bezcelowéj zupełnie pracy wytykania różnic między osobnikiem żyjącego świata, a społeczeństwem, tak, jakgdyby one nie były widoczne na pierwszy rzut oka. Dosyć zresztą znaleźć jeden punkt niezgody—a cała analogia sama przez się upada. Przesadne i nie rzadko śmieszne utożsamianie społeczeństw z ustrojami, wynajdywanie na nich pępków i innych tym podobnych organów, wiara w jakąś duszę zbiorową, wszystko to mogło ostać się tylko wobec dziecięcego niedołęstwa socyologii i gorączkowéj żądzy rozwiązania najzawilszych zagadnień,—ale na systematyczną krytykę mało zasługuje. Kariejew zapomina, że gdyby nawet nie udało się wykryć różnic subtelniejszych, to już ta jedna zasadnicza, że organizm składa się z nieświadomych cząstek, a społeczeństwo z obdarzonych myślą, wolą i uczuciem jednostek, burzy analogią. Zanadto też sobie pochlebia, utrzymując, że wymaga odwagi ta napaść, na uświęcony tradycyą dogmat. W ostatnich latach była to już nie tylko zdobyta, ale i zburzona twierdza.

Daleko więcéj słuszności ma darwinizm w socyologii. Walka o byt istnieje między ludźmi i nikt temu zaprzeczyć nie odważy się, tylko, że prawem dziejów ona nie jest, bo rozwijające się instynkta altruistyczne, w najszerszém tego słowa znaczeniu, równoważą do pewnego stopnia samolubne popędy; drapieżność ma silnego nieprzy-

jaciela w humanitarności naszego wieku. Tém mniéj przeto walka o byt może być formułą idealnego postępu.

Z temi dwoma, śmiało rzec można, przesądami nauki nieprawnie przedostały się do filozofii historyi inne jeszcze uprzedzenia, gwałtem wspinające się na wyżyny naukowych doktryn, chociaż w istocie nie są niczém więcéj, jak prostemi uogólnieniami szczupłéj liczby faktów. Mówimy tu o teoryi różnic rasowych i wierze w konieczność naturalnego wyrodzenia się każdéj cywilizacyi. Zwrócenie uwagi krytycznéj na mało usprawiedliwione roszczenia obu mało usprawiedliwionych doktryn, przynosi zaszczyt autorowi; mnóstwem trafnych spostrzeżeń i wykazaniem tysiąca sprzeczności obala on twierdzenia wszystkich, którzy przypisują rozmaitym szczepom różne powołania, posłannictwa, odrębne zdolności. Porównawcza charakterystyka ras semickiéj i aryjskiéj, sposobem przykładu przytoczona, bezlitośnie zdradza niezgodność wszystkich pisarzów na najważniejszych punktach; z drugiéj strony fakta rzeczywiste zadają im wyraźny kłam, tak, iż w rezultacie wypada zapytać: na czém gruntują Renan, Taine, Carrière i ich sprzymierzeńcy, swoję teoryą odrębności ras, skoro jéj żadnym pewnikiem *a priori* nie popierają, a podstawa indukcyjna za lada dotknięciem rozpryskuje się?

Niewątpliwie zachodzą różnice i to znaczne: w nawyknieniach, skłonnościach, upodobaniach, lecz te zostały nabyte przez pozostawanie dłuższy czas pod jednemi i temi samemi warunkami, w jednym i tym samym zbiegu okoliczności losowych i drogą dziedziczności zostały przekazane najodleglejszym nawet potomkom, ale nie są bynajmniéj cechami wrodzonemi plemienia, ani téż takiéj siły nie posiadają, bo zmiana położenia może je częściowo lub całkowicie usunąć. Uporczywość ich jest tém większą, im młodszą była rasa, gdy zaczęła kształtującym jéj charakter czynnikom podlegać, t. j. im bierniéj w obec nich się zachowywała i im dłużéj ich wpływem nasiąkała. Ogół przyczyn, wyciskających swą pieczęć na charakterze ludu lub plemienia, Kariej dzieli na dwa rodzaje: naturalne, fizyczne, otaczające niemowlęcy wiek—i cywilizacyjne; te drugie są potężniejsze i zazwyczaj radykalnie przeistaczają skutki pierwszych; dopóki grupa ludzka pochłania tylko wpływy zewnętrznego świata, nie umie chodzić o własnych siłach, lecz z chwilą gdy z bezwładnością pierwotną staje do walki myśl krytyczna i inicyatywa dzielniejszych indywiduów, rodzi się samorzutność, zdolna do panowania nad wytworami młodocianémi, do wytępiania szkodliwych nałogów i zapełniania braków.

Nie więcéj warte dla nauki przekonanie dosyć rozpowszechnione, że cywilizacya nosi w sobie saméj ziarna upadku, że musi się ze-

starzéć, skarłowacić i zginąć wreszcie z oblicza ziemi. Na potwierdzenie tego rodzaju fatalizmu wymyślano najrozmaitsze teorye, które autor poszczególe rozebrał i ocenił, skłaniając się najchętniéj ku poglądowi Jacoby'ego. Uczony ten stawia przypuszczenie, że siła twórcza społeczeństwa jest ograniczoną, że nagromadziwszy się w znaczniéjszéj ilości toruje sobie ujście w pewnych rodach, a ponieważ wszelkie koterye, postawione w szczególnie korzystnych warunkach, mają wrodzoną poniekąd dążność do upadlania się, przeto skupiona w nich siła ginie wraz z nimi marnie dla świata, zmniejszając stopniowo ogólny zasób zdolności. Rozumie się, iż prof. K. zgadza się na to jedynie z odpowiedniemi jego sceptycyzmowi zastrzeżeniami i konieczności zgrzybienia przyznaje tylko podstawę czysto faktyczną, stwierdzoną mnóstwem głośnych w dziejach przykładów, ale jako na wiarę, spogląda na nią niedowierzająco.

Dopiero po uprzątnięciu z drogi zawad i przeświadczeniu się, że przyrodnicza socyologia nie nadaje się do roli arbitra w zagadkach historyozofii, twórczość osobista może zająć się nakreśleniem formuły postępu. Cel jego daje się oznaczyć podmiotowo: ludzkość dążyć powinna do jaknajpełniéjszego ziszczenia zasady człowieczeństwa. Tak przemawiał prawdziwy twórca nauki Herder, marzyciel Fourier i wszyscy rzetelni szermierze ogólnego szczęścia. Całą ludzkości pracę ożywia otucha, że przykłada swą cegiełkę do świątyni publicznego dobra i zbliża się choć powoli do ideału, w którym wszystkie indywidualne pragnienia znajdą satysfakcyą, kiedy każdy znajdzie stosowne pole dla swego powołania, kiedy wszyscy swobodnie rozwijać się będą mogli i kosztować słodyczy doczesnego bytu, odpowiednio do swych temperamentów i zdolności.

Ażeby jednak podobny postęp mógł służyć za probierz dziejów, powinien być czémś więcéj trochę, niż zwyczajną mrzonką i dlatego téż Kar. usiłuje dowieść jego możliwości. Głównym czynnikiem, niepozwalającym społeczeństwu stać na jedném miejscu, jest wzajemne duchowe oddziaływanie na siebie jego członków. W liczny i najrozmaitszy sposób objawia się jego potęga. Wymiana myśli i uczuć, dzielenie się nabytém doświadczeniem warunkuje wzbogacanie widnokręgu umysłowego. Bezustanne kojarzenie się interesów zradza i potęguje z jednéj strony sympatyą, a zatém postęp moralny, a z drugiéj uczy sprzęgać siły dla wspólnych celów, rozdzielać pracę i wogóle udoskonalać społeczny ustrój. Gdy człowiek raz uczuje pożyteczność życia towarzyskiego i korzyści umysłowych nabytków, z nieprzepartą mocą dąży ku coraz większemu oświecaniu się; stwarza tym sposobem ruchliwą sferę, która porywa za sobą najbardziéj nawet inercyjne jednostki; każdemu posunięciu się o jeden szczebel wyżéj, towarzyszy

nieodzownie i postęp sprzyjających rozwojowi warunków, postęp, że tak powiemy, predyspozycyi do postępu, wzmaganie się potrzeby duchowych i materyalnych dóbr. Skoro raz żądza sprawiedliwości, wiedzy, swobody przeniknie do świadomości, nic jéj zatamować nie zdoła. Tą właśnie świadomością wyróżniają się ludzie od zwierząt i w niéj mają rękojmię, a przynajmniéj środek udoskonalenia się. Postęp jest procesem ciągle się umacniającym, im wyższym jest, tém mniéjszą ma szansę zawrócenia się wstecz. W dziejach społeczeństw rozróżnić można dwa nie jednaką szybkością obdarzone prądy: ewolucyą powolną, organiczną form i pojęć, jest to pierwiastek ciężki, zastojowy i gdyby tylko on posiadał władzę poruszania się, ludzkość z pewnością nie daleko by uszła. Ale na szczęście, w samych zaczątkach zespolonego bytu, w pierwszych dobach kształtowania się gromad ludzkich, walka o środki egzystencyi wytwarza nierówność klas; nierówność z biegiem czasu zaostrza się na korzyść garstki wybranych, któraześrodkowuje w sobie więcéj niż reszta dzielności umysłowéj i daje początek drugiemu prądowi: krytyce indywidualnéj; ona jest nawskróś niepodległym działaczem. Umysły wyższe, zyskawszy możność sądzenia owiewającéj je atmosfery, robią wyłomy w zastarzałych ideach, burzą strupieszałe organa, są ciągłym fermentem dla nieświadoméj, zadowolonéj z siebie ewolucyi samorodnéj. Gdy więc na tle takiéj ewolucyi zjawi się kamień probierczy krytyki—postęp jest zapewniony, odbywa się siłą nabytego ruchu. Nie dosyć: często i w urobionych przez przeszłość pokładach myśli, w wypadkowéj jednostronnie organicznego rozwoju panuje ożywienie niemałe, może to być ożywienie wstecznictwa, rozgrzanie się żywiołów konserwatywnych; otóż pierwiastek krytyczny ma tę nieprzeczoną wyższość, że nie tylko wlewa w społeczeństwa życie i wprawia je w ruch, ale, co najważniejsza, nadaje mu kierunek właściwy, prawdziwie postępowy, zgodny z ideałem, najrozumniejszym, najszczytniejszym, na jaki zdobyć się może, etyka, filozofia i socyologia. Teraźniejsza cywilizacya niepotrzebuje się już tak obawiać zagłady jak starożytne, albowiem nie stanowi już, jak one małéj oazy na rozległéj pustyni, nie grożą jéj ani hordy barbarzyńców, ani robak własnego zepsucia, bo składa się z olbrzymiego grona ludów, z których każdy żyje życiem mniéj lub więcéj odrębném i niezależném i może kwitnąć i wydawać owoce, wtedy gdy inny gnije w gnuśném lenistwie. Podstawa nowoczesnéj oświaty jest tak szeroką, że nie łatwo straci równowagę; wspiera ją las filarów, i choć kilka z nich runie, reszta mocą swą i liczbą dostatecznie podtrzymywać gmach będzie. A przytém pojedyńcze części téj budowli łączy mnóstwo wspólnych wszystkim, ogólno-ludzkich idei i dążności. Nie miały tego zabezpieczenia oświa-

ty starożytne, otoczone ze wszech stron burzliwemi żywiołami, podźwignięte z nicości mieczem bohatera, utrzymywane w ładzie pięścią despoty, zmuszane do ślepoty szalbierstwem kapłanów.

Niewątpliwa tendencya postępu—to ciągłe jednoczenie wszystkich, na jednym mniéj więcéj poziomie stojących gromad i szerzenie światła oraz téj jedności między niższymi. Kosmopolityczne zachcianki Persów lub Macedończyków, brutalna wszechpaństwowość rzymian były przeciwne naturze, gwałciły swobodę poszczególnych ludów; zbratanie się, jakkolwiek słabe ono jest, współczesnych państw ukształconych powstało samo przez się, nienarzucane przez nikogo. Do tym podobnych rozmyślań pocieszających, którym jednakże zaprzeczyć nie można słuszności, autor przyłącza inne, zanadto różowéj barwy. Zastanawiając się nad ekonomicznymi wrogami długowieczności naszéj kultury, dochodzi do przekonania, iż nie grozi jéj poważne niebezpieczeństwo,—krzepi się w swéj otusze obliczeniami Spencera, według którego, w miarę postępu płodność ludzi zmniejsza się i z czasem ma dojść do tak umiarkowanéj skali, że będzie jedynie wynagradzać poczynione przez śmierć spustoszenia. Również za optymistycznym jest autor w swych przewidywaniach zbyt wielkiego i łacnego postępu braterstwa ludzkiego, w czém idzie śladami Herberta Spencera, który w swych niepospolitych „Danych Etyki“ rozwinął wspaniały, lecz cokolwiek za świetlany obraz przyszłego społeczeństwa. Nam się zdaje nawet, że znakomite to dzieło myśliciela angielskiego, które w ciągu czterech lat swojego istnienia zdołało już wywołać bogatą literaturę, możnaby pojmować zupełnie trzeźwo. Spencer jest przezornym i nie chce tworzyć pewnego określonego ideału postępowania, lecz bada je w ruchu ewolucyjnym, od najpierwotniejszych do najpóźniejszych momentów, przedstawia je na mnóstwie kolejnych szczebli doskonalenia się, i tym sposobem zostawia niejaką swobodę wyboru czytelnikowi; optymista zatrzyma wzrok na ostatnich stopniach i uzna je za możliwe a rozsądny sceptyk będzie je uważał za chimerę, lub przynajmniéj wzruszy ramionami z pewném powątpiewaniem. Kariejew od czasu do czasu sam się nawołuje do takiego sceptycyzmu, ale zbyt często ulega skłonności pocieszania się zamkami na lodzie.

Wykazawszy cel i możliwość postępu i kierując się w pierwszém subjektywizmem swoim i wszystkich pierwszorzędnych myślicieli, autor rozwija szerzéj swój pogląd na środki postępu: mianowicie na wspomniane zapasy jednostronnego krytycyzmu z organicznym a więc często wstecznym rozwojem atmosfery społecznéj. Jest to właściwie drugi punkt formuły postępu. I tutaj podmiotowa myśl

wyrokuje, a dzieje mogą ją tylko potwierdzać. Z osobistego rozumowania, powodowany ogólnemi prawdami, historyozof wywnioskowuje potrzebę krytycznego rozważania spuścizny przekazanéj przez przeszłość; widzi on w niéj jedyną drogę do prawdziwego dobra i sprawiedliwości, jedyną rękojmię harmonijnego pięciu cywilizacyjnych prądów biegu.

Stąd już niedaleko do oderwanéj modły postępu. Doprowadza do niéj rzut oka na przebieg kształtowania się społeczeństw ucywilizowanych, albo, co na jedno wychodzi, ustawienie w hierarchią różnych ludów, stojących na niejednakowym poziomie oświaty, tak by ona przedstawiała jak gdyby kolejne okresy prawidłowego rozwoju jednéj społeczności. Okaże się wtedy, że najdogodniéj przyjąć pięć szczebli:

Pierwszy zajmują dzikie plemiona, u których panuje wszechwładnie gruba siła, bezrząd, partykularyzm, istny chaos.

Drugi—społeczeństwa wyższe, o centralizacyą władzy i zaczątki ustroju kastowego.

Trzeci znamionuje większa łagodność walki o byt, bardziéj świadoma karność i mniejszy despotyzm.

Na czwartym stoją ludy swobodne i świadome, całość nie pochłania jednostek, różnice społeczne znikają.

Piąty wreszcie szczebel reprezentuje społeczeństwa idealne, gdzie panuje równość, niepodległość indywidualna, prawda i sprawiedliwość. Drabinka ta, nadmieniamy, jest wytworem subjektywnym autora i nie odtwarza prawa rzeczywistych dziejów, ale prawo normalnego, a więc idealnego postępu. To téż w istocie nie ziszcza się ono nigdy a w najlepszym razie tylko częściowo. Biada społeczeństwu, jeśli zatrzyma się na drugim stopniu, skołowacieje natenczas i skaże się na wieczną ciemnotę, odda się na pastwę organicznéj nieświadoméj ewolucyi, która może je w końcu przywieść do ostatecznego upadku. Gdy zaś naród dojdzie do trzeciego stadyum, stadyum rodzącéj się samowiedzy i analitycznego ducha, postęp może się już dokonywać: jest wtedy możliwą krytyka nieświadoméj tradycyi, „to co istnieje,“ niekoniecznie uważaném bywa za „rozumne.“ Tak więc, postęp sam z początku wypada na niekorzyść ludzkości, albowiem drugi jego szczebel mniéj może sprzyja dobru niż stan zaczątkowy, ale to jest tylko okres przejściowy i fatalny jedynie tam, gdzie stanowi już metę; w miarę albowiem dalszego urzeczywistniania się, umacnia siebie sam i osłabia niebezpieczeństwo skrystalizowania się w martwe formy. Rozumie się, iż indywidualna krytyka wybranych nie powinna zbyt odbiegać od pojęć mas,

albowiem dwie podobne rozstrzelone siły wzajemnie się unicestwiają.

Autor dla bardziéj obrazowego przedstawienia różnicy między działalnością krytycznéj jednostki i działalnością społecznéj sfery, porównywa pierwszą do postępu geometrycznego a drugą do arytmetycznego, w którym pierwsze „wyrazy“ są jednakże dosyć duże, z uwagi na to, że rozwój organiczny, nieświadomy musi naprzód dostatecznie się wzmocnić, nim wyhoduje osobistość. Różnica obu postępów stanowi szereg liczb, na samym wstępie dodatnich, następnie ujemnych, co wyobraża drugi szczebel drabiny i wreszcie znowu dodatnich, w szybkiém tempie rosnących. Rozumie się, że w téj subjektywnéj formule można zmienić wiele na korzyść ideału, czyli że okres panowania nieświadoméj ewolucyi można sprowadzić do minimum, lecz do zera—nie może on schodzić.

Modła powyższa dla uważnego spostrzegacza nie jest zupełnie nową, a stanie się zupełnie znajomą, gdy ją wraz z Karejewem przełożymy na język Hegla. Pierwszy szczebel będzie wtedy tezą, drugi jéj zaprzeczeniem, czyli antytezą, wreszcie trzeci zaprzeczeniem samego tego przeczenia czyli pogodzeniem, syntezą. Protest krytycznéj jednostki przeciw ewolucyi organicznéj, tradycyjnéj zakończy się jéj porażką lub pokojowym kompromisem. Ale w zastosowaniu formuły Hegel miał co innego na myśli; chciał on tłómaczyć nią istotny pochód dziejowy, autor zaś podaje w niéj zarys normalnego postępu, od którego rzeczywistość zawsze, raz mniéj, drugi raz więcéj uchyla się.

Jeśli prawo rozwoju społeczeństw, w podobny sposób określone, ma zasługiwać na wiarę, to oprócz dedukcyjnéj podstawy winno znajdować téż uzasadnienie indukcyjne przynajmniéj w ogólnych rysach. Analiza postępu pięciu kardynalnych pierwiastków cywilizacyjnego życia w rzeczy saméj nasze oczekiwania ziszcza.

Filozofia ludów pierwotnych zapełnia duchem całą naturę i przypisuje jéj podobną do ludzkiéj samowolę; dualizm odróżnia swobodę ducha i bezwład materyi, nareszcie monizm naszych czasów znosi powszechną niezależność pierwszego okresu i rozdwojenie w drugim, tak iż nawet wolę człowieka, uważa za uległą pewnym przyczynom.

Początkowo uznawano tylko świat zjawisk, z kolei przeciwstawiono mu świat idei, aż w końcu zwyciężyła wiara w jedność substancyi, jako następstwo wiary w niemożność poznania metafizycznéj strony wszechświata.

Tenże sam proces, jakkolwiek nie urzeczywistniony jeszcze, widnieje w rozwoju etyki. Posłuszeństwo instynktom samolubnym przeszło w przymusowe posłuszeństwo wymaganiom nakazu i wreszcie stało się zupełnie autonomiczném, wypływającém z własnego poczucia obowiązku. W drugim okresie wola społeczeństwa hamuje wybryki jednostkowego egoizmu, przeczy mu, w trzecim indywiduum zrzuca z siebie jarzmo przymusu i z własnego popędu dba o dobro innych.

Analogiczny przebieg napotykamy w rozwoju socyalnym. Z początku, niezależność i partykularyzm osobnika, z czasem urządzenia społeczne kładą jéj tamę, aż wreszcie same znajdują zaprzeczenie w dopasowaniu siebie do niezależności obywateli.

Taką jest oderwana formuła postępu według Kar.; stanowi ona najwyższy cel, najdalszą metę, do jakiéj dążyć może historyozof, nie chcąc zadawać gwałtu rzeczywistości. Jaka jest jéj wartość—ocenić nie trudno, bo jakkolwiek zbudowana na nowém rusztowaniu, nie jest ona przecież nową w zasadniczéj swéj myśli. Wypowiada ją w zastosowaniu do praktycznych zagadnień wieku każdy działacz nieufający w zbawienność naturalnego układania się stosunków; wypowiada ją, chociaż może z nienawiścią, każdy piecuch, drżący febrycznie na myśl o dzielnéj krytyce zadawnionych chorób, o najlżejszém zakłóceniu spokojnego swego trawienia. W dziele Kar. gra ona rolę z urzędu teoretyczną, ale i rolę tendencyi, bez któréj w dzisiejszych czasach żadna spokrewniona z socyologią praca liczyć na prawo obywatelstwa nie może. Filozof dziejów, który sądzi ubiegłe losy swych bliźnich według powyższéj miary, nie zapomina i dla przyszłości zrobić z niéj drogowskaz. Wszakże ta strona praktyczna formuły rozwoju wypływa tylko jako konsekwencya z jéj znaczenia czysto-naukowego; gdyby było inaczéj, gdyby ona jako pewna *arrière pensée* służyła za przewodnika autorowi i tendencyjnie całe rozumowanie do jednego wniosku naginała, cała robota, owoc kilkoletnich badań, gruntownych i rozległych, redukowałaby się do znaczenia społecznéj rozprawy o wadze nader przemijającéj; ale tak nie jest: prof. Kariejew jest przedewszystkiém uczonym, wysnuwa swoje wywody z założeń przedmiotowych. Zasługuje przeto, naszém zdaniem, na zupełną wiarę i podejrzewać go o ukryte schlebianie pewnym, choćby najbardziéj popłacającym, młodym prądom byłoby wielką niesprawiedliwośeią.

Oczywista rzecz jednak, że zupełna bezbarwność nawet w historyozofii jest utopią. Dopóki uwaga skierowaną jest na spokrewnianie przemocą filozofii dziejów z metafizyką, teleologią, teologią, i tym podobnemi żywiołami, nie mającemi z nią nic wspólnego, bezwzglę-

dny obiektywizm naukowy jest możebny, ale gdy chodzi o określenie celu i drogi dziejowego pochodu,—jest mrzonką. Każdy tworzy sobie odmienny ideał doskonałości. Jedni widzą go, jak szkoła organiczna w ostateczném oddaniu części na usługi całości, inni w krańcowéj emancypacyi jednostek; występuje tu więc bardzo dosadnie różnica zasadniczych poglądów i autor na gruncie neutralnym stanąć nie mógł. Dlaczego jednakże pozostaje mimo to bezstronnym? Oto dlatego, że zarzuty, czynione socyologom-przyrodnikom popiera historycznemi dowodami, których i my znaleść możemy sporą garstkę, spojrzawszy tylko na dzieje ludów starożytnych, na skamieniałość kultury indyjskiéj, na błotnisty zastój chińszczyzny, na... współczesną odrębność warstw ekonomicznych. Przecież zarówno dzisiejsze rozpanoszenie się kapitalizmu, jak wszechwładztwo braminów są wytworami jednego i tego samego czynnika: zdawania wszystkiego na łaskę naturalnego, organicznego biegu rzeczy, obojętnego przypatrywania się swobodnemu rozwojowi urządzeń i kast. Zresztą wyraz „organiczny“ jest wieloznaczny: co przezeń rozumiéć należy, o tém rozstrzyga indywidualność badacza. Trudno przecież przypuścić, by Spencer nie domyślał się, że z jego teoretycznych analogij wypływają doniosłe wnioski praktyczne, nie wytrzymujące krytyki. Pojęcia różniczkowania i całkowania są tak giętkie, że stosować je do rozwoju społeczeństw staje się rzeczą niepodobną. Czy jest w nich kącik dla niezależnéj krytyki? Jeśli nawet jest, to jéj w nim za ciasno; krytyka jest jedyną i najracyonalniejszą dźwignią postępu; jest ona wyrazem kształcącego się ducha i powinna stanowić prawdziwy, nigdy nie gasnący ogień Westy. Jeśli go nie podtrzymywać, na ciele społeczném wyrosną grzyby...

Jeżeli teraz spytamy, czy autor nadał pierwiastkowi krytycznemu podobnéj stałości cechę, okaże się, że niezupełnie. Dyalektyczny proces w środkowym swym momencie opiera się wprawdzie na stanowczém przeczeniu, ale w trzecim zdradza skłonności pojednawcze, kiedy duch analizy nie powinien spoczywać nigdy. Każdy stan jest zaprzeczeniem swego poprzednika, nie zaś taką jego idealną modyfikacyą, którąby już niepotrzebowała i nie bała się krytyki; mechanizm przeczenia jest w ciągłym ruchu, a epoki organicznego postępu, spokoju zadowolenia należą do rzadkości.

Zresztą swoje prawo postępu normalnego autor przyrzeka szeroko rozwinąć w następnym tomie,—musimy więc od rozbioru samego założenia powstrzymać się; nie jest ono przytém tak jasném i wykończoném, by bez obawy nieporozumienia można je było sądzić. Wszystko, co Kariejew zrobił dotąd, stanowi właściwie część krytyczną z niewielką zaledwie domieszką pozytywnych pomysłów.

Jednakże ten negacyjny podkład jest niezmiernie ważnym. Każda nauka wymaga od czasu do czasu przewietrzenia, wymiecienia naleciałości tamujących jéj wolny rozwój; autor usiłował zrobić to właśnie dla historyozofii a udało mu się to o tyle, że zamiar pisania filozofii dziejów podług wzoru dawniejszego będzie odtąd wymagał poważnego namysłu. Myślicielowi pozostaje jedna alternatywa: albo bujać sobie swobodnie ponad rzeczywistością, marzyć, przepowiadać przyszłość, moralizować, szukać objawienia w dziejach ludzkości, albo śledzić je naukowo, zostawiwszy na uboczu osobiste tkanki myślowe; praca Kariejewa oczyściła w pewnéj części ziarno z plewy; odtąd każdy nowy pomysł łatwiéj będzie odnieść do właściwéj kategoryi. Środki któremi profesor rozporządza są w większej części nowe, stanowią one żniwo zebrane na młodéj jeszcze ale urodzajnéj niwie socyologicznéj; posługując się nią, trudno zejść na manowce. Dewizie zupełnéj niezależności i trzeźwości nie odpowiada jednakże predylekcya dla jedynego prawa postępu, bo kto wie czy nie można by obejść się bez niego.

Autor obrał sobie zadanie nader trudne: obronić filozofią dziejów przed tymi, co jéj odmawiają całkowicie prawa bytu dla jéj podmiotowości, przed Gervinusem, Rombergiem i innymi, a jednocześnie do takiéj miary pierwiastek subjektywny w niéj sprowadzić, iżby mogła oprzéć się wszelkim napaściom jednostronnych empiryków, nie lekceważąc mimo to naukowéj ścisłości; czyli inaczéj, zamierzył dokładnie oznaczyć, z czego ma się składać część podmiotowa oraz dowieść, że jest równoważną z częścią empiryczną. Wszakże przedsięwzięcie nie zupełnie powiodło się autorowi, albowiem skądinąd uzasadnione prawo wzajemnéj zależności tradycyi i jednostkowego krytycyzmu ujął w formułkę Hegla, a ten, jak wiadomo, wymaga od dziejów niewolniczego trzymania się wytkniętéj przez siebie marszruty, podczas gdy protest jednostek działa nieprawidłowo, niejednostajnie i wymyka się z wszelkich karbów. Modła Heglowska ma w swoich szczegółach, o których tu napomykać nie miejsce, jakieś szczególnie arytmetyczne cechy, żywi jakąś szczególną przychylność dla pewnych liczb, jest to dobre w poezyi, w „Nieboskiéj komedyi“ np., ale nie w pomysłach naukowych. Autor sam sobie winę przypisze, jeśli jego prawo postępu zechcą sobie jak najgorzéj dla niego i całego dzieła tłómaczyć.

Nie więcéj udatném jest wprowadzenie do książki wielu wyrażeń właściwych tylko ciężkiéj terminologii niemieckiéj; w interesie saméj historyozofii, obowiązanéj przecież wpływać o tyle o ile na umysły, jest przystępność wykładu: w obecnym wypadku przyduszona zupełnie ogromem sążnistych terminów. Tego rodzaju nowator-

stwo językowe sprzeciwia się wprost wymaganiom stylu, który zawsze walczył i słusznie walczyć będzie z ociężałością germańskich uczonych.

Mimo te i tym podobne wady, mimo zbyt małą wybredność autora w posiłkowaniu się odnośnemi dziełami i nadmiar odsyłaczów, co wynikać zresztą może z specyalnie akademickiego przeznaczenia książki, mimo wreszcie pochopność do przypisywania sobie pewnych odkryć, dawno już poczynionych, nie wahamy się „zasadom filozofii dziejów“ przyznać istotną wartość.

Z przyjemnością też zaznaczymy, że autor w przeglądzie literatury swojego przedmiotu nie pominął piśmiennictwa naszego i poświęcił mu tyle uwagi, na ile zasługiwało.

Napoleon Hirszband.

NOWE SĄDY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

§ 3. Adwokatura.

Ustawy sądowe z r. 1864, uznawszy adwokaturę za organ sądowy nietylko pożyteczny, ale nawet za „konieczny," jak się wyrażają urzędowe motywa (Osnownyja położenia str. X), z wielką troskliwością zajęły się urządzeniem téj instytucyi, zapewniając tym sposobem dla państwa rosyjskiego pożyteczny jéj rozwój.

Z jednéj strony postawiły one surowe wymagania co do kwalifikacyi osób, mogących wstąpić do stanu obrończego, z drugiéj obmyśliły najlepszy system kontroli przez urządzenie rad obrończych z łona saméj adwokatury, które to rady, jako złożone z przedstawicieli stanu, najlepiéj potrafią ponieść sztandar jego czystości i nieskazitelności.

„Ażeby stan adwokatów przysięgłych przyniósł całą zamierzoną i spodziewaną po nim korzyść, zachodzi potrzeba trzymania się surowego wyboru osób na urząd obrończy i ustanowienia nad nimi takiéj kontroli, która, nie pozbawiając ich koniecznéj dla obrony ich mocodawców samodzielności, z jednéj strony dostarczyłaby prędkie i rzeczywiste zabezpieczenie osoby prywatnéj od ich nadużyć, z drugiéj zaś służyłaby za środek do ustalenia i podtrzymania w gronie obrońców zasad prawdy, honoru i poczucia moralnéj odpowiedzialności przed rządem i społeczeństwem" (1). Tak mówią urzędowe motywa.

Reforma sądowa z roku 1876 znalazła w kraju naszym gotowy stan obrończy, którego początek sięgał dawnych czasów, a organi-

(1) Sudiebnyje ustawy Część 3-ia str, 219.

zacya od epoki księztwa warszawskiego była ujętą w pewne hierarchiczne więzy, dzieląc obrońców na różne stopnie podług sądów, do składu których się zaliczali. W dniu wprowadzenia reformy przy jednym sądzie okr. warszawskim zamianowano 109 adwokatów przysięgłych, nie licząc nominacyi dla innych sądów okręgowych, a do obecnéj pory ilość pierwotna znacznie jeszcze wzrosła.

Nie mamy pod ręką szczegółowych cyfr co do wszystkich sądów, lecz posiadamy sprawozdanie sądu okr. warszawskiego, dotyczące specyalnéj działalności tegoż sądu jako rady obrończéj za czas od 1876 do 1882 roku włącznie, które dostarcza poważnego dla kwestyi materyału. Z tego sprawozdania okazuje się, że już w roku 1877 liczba adwokatów przysięgłych przy sądzie warszawskim wynosiła 130, daléj w roku 1878—139, w r. 1879—146, w r. 1880—150 w 1881—170, a w roku 1882—188. Że zaś w tymże roku przy innych sądach okręgowych w kraju było 119 adwokatów przysięgłych, przeto ogólna ich liczba stanowiła 307 osób, co przewyższa odnośną cyfrę w okręgach petersburskim i moskiewskim, a przypuszczać należy, że przy obfitości sił prawniczych kraju i przy ścieśnionéj dla nich karyerze na linii etatowéj, liczba ta daléj wzrastać nie przestanie.

Rad obrończych z mocy art. 65 prawa o zastosowaniu nie wprowadzono, obowiązki zaś rad włożono na odnośne sądy okręgowe. Zbytecznem byłoby dowodzić, że dla sądów okręgowych podobne obowiązki stanowią ciężar obcy ich prawdziwemu powołaniu i stojący po za obrębem rzeczywistego zadania sądowego.

Obok tego, w miejscowościach nie posiadających znacznéj ilości obrońców ciężar ten nie jest wielkim, ale przy rozgałęzionéj adwokaturze naszego kraju łączy się on z wielkim mozołem i trudem, zwłaszcza dla sądu okr. warszawskiego. W istocie, nadzór nad korporacyą złożoną z dwustu kilkudziesięciu członków, dodając do adwokatów przysięgłych ich pomocników, nie stanowi rzeczy tak łatwéj, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Nadzór ten wymaga i pracy i umiejętnego kierunku, i tylko specyalny organ, to jest rada obrończa, zadanie należycie wykonać-by potrafiła.

Zrozumiał tę trudność sąd okr. warszawski i z inicyatywy b. prezesa p. Zakrewskiego starał się w drodze wewnętrznego urządzenia znaleść środki ułatwienia sobie trudu, jaki z mocy powołanego przepisu na nim ciążył..

Za pierwszy krok w téj mierze uważać należy utworzenie w r. 1876 komisyi obrończéj, dla pośredniczenia w stosunkach pomiędzy samym sądem okr. a obrońcami przysięgłymi. Komisya, jako organ pośredniczący, bez samodzielności i inicyatywy, nie przyniosła wy-

datnego pożytku, o czém sam sąd się później przekonał, zawsze jednak stanowiła urządzenie nie bez korzyści, dostarczając sądowi zwłaszcza co do kandydatów na obrońców wiadomości nieraz takich, jakichby sąd sam zebrać nie był wstanie, i ułatwiając mu znoszenie się z obrońcami.

Daléj, sąd okr. warszawski ustanowił w swoim regulaminie szczegółowe przepisy co do zajęć pomocników adwokatów przysięgłych, domagając się od nich rzeczywistéj pracy przy adwokatach przysięgłych i dorocznych relacyj, co istotnie przy ścisłéj kontroli zapewnić by mogło społeczeństwu należycie przygotowanych kandydatów do stanu obrończego.

Szkoda tylko, że w praktyce przepisy te nie znajdują należytego zastosowania.

Bardziéj szczęśliwym jeszcze krokiem na drodze tych dobrych usiłowań przedstawia się urządzenie specyalnego z łona sądu okr. kompletu, złożonego z jednego wydziału przy udziale prezydujących innych wydziałów pod prezydencyą samego prezesa, który to komplet odbywa oddzielne peryodyczne od początku 1880 r. sesye w przedmiocie spraw dotyczących obrońców. Sprowadzenie téj pracy na grunt specyalny rodzi dokładniejsze obeznanie się z przedmiotem i dokładniejsze traktowanie rzeczy.

W sprzeczności znowu z zaznaczonemi usiłowaniami stoi zniesienie wspomnianéj komisyi, które nastąpiło przez postanowienie sądu okręgowego z d. 13 (25) lutego 1882 r. Przy zniesieniu, sąd okr. wyłonił ze swego grona delegacyą dla wygotowania zmiany odnośnéj części wewnętrznego urządzenia obejmującéj przepisy o komisyi obrończéj. W postanowieniu tém kryje się pewna sprzeczność. Jeżeli zmiana była potrzebną, to należało ją przygotować, a dopiero potém zastanowić się nad tém, czy i dla czego komisyą znieść wypada? Zdaje się, że delegacya, o któréj działalności dotąd nic nie słychać, w ostatecznym rezultacie nie zdoła nic lepszego nad poprzednią komisyą obmyśléć.

Wszelkie jednak na drodze wewnętrznego urządzenia zabiegi należą do sfery półśrodków, które nie zdołają zapewnić adwokaturze ani umiejętnéj kontroli wykroczeń i nadużyć, ani rozumnego kierunku dla utrzymania powagi i moralności stanu.

Na szczęście poprzedni starszy prezes izby sądowéj warszawskiéj podniósł tę kwestyę i przed paru jeszcze laty przesłał do ministeryum sprawiedliwości projekt wprowadzenia rady obrończéj, a spodziewać się należy, że przy poparciu dalszém projekt w czyn się zamieni.

Konieczność wprowadzenia rady obrończéj z innych jeszcze wypływa względów.

Przy istnieniu rady obrończéj osiąga się pożądaną jednolitość w nominacyach i kontroli nad obrońcami w całym okręgu sądowym. Dziś jeden sąd okr. odmawia nominacyi dla kandydata, a drugi go przyjmuje, jakby przez ironią dla pierwszego; jeden sąd okręgowy karci pewne przewinienia, drugi pozostawia je bez monitu, różniąc się z poprzednim w poglądzie, co nie może być dobrém dla ustalenia pojęć o obowiązkach obrońców, i granicach ich praw i działalności.

Daléj, jak wiadomo, nominacya na adwokata przysięgłego daje prawo stawania we wszystkich sądach okręgu, nie wyłączając izby sądowéj, otóż dziwném, prawie niewłaściwém wydaje się wybór obrońców dla izby przez sądy, stojące niżéj w hierarchii sądowéj.

Wszystkie te niedogodności znikną z chwilą wprowadzenia rady obrończéj, któréj działalność rozciągnie się na cały okrąg sądowy; rada zrówna wszelkie niejednostajności, pod jednym ogólnym kierunkiem, izby sądowéj, jako wyższéj względem siebie instancyi.

Z kwestyą adwokatury przysięgłéj łączy się kwestya adwokatury nieprzysięgłéj, inaczéj, jak mówią, prywatnéj. Jak wiadomo, w myśl w art. 245 Ustawy postępowania sądowego i stosownie do prawa z r. 1874 do czasu uznania liczby adwokatów przysięgłych za dostateczną sądom służy prawo wydawania osobom prywatnym po złożeniu przez nich stosownego egzaminu świadectw na prowadzenie w tychże sądach spraw sądowych, za uiszczeniem ustanowionéj corocznéj opłaty. Przy rozroście adwokatury przysięgłéj kandydatów na obrońców prywatnych przy sądach ogólnych stawiło się niewiele. Jak obecnie, przy izbie sądowéj i wszystkich sądach okr. kraju takich obrońców znajduje się 19, i to przeważnie z liczby obrońców dawnych sądów, którzy nie posiadali potrzebnéj na adwokata przysięgłego kwalifikacyi. Nadto przy sądzie handlowym w Warszawie jest ich czterech.

Inaczéj rzeczy się mają ze zjazdami.

Wedle cyfr zebranych ze wszystkich części kraju, w r. 1882 zjazdy wydały świadectw 279; najwięcéj obrońców posiadają zjazdy warszawskie, bo miejski 42, a wiejski 30, najmniéj Kieleckie 1-go okręgu, gdyż tylko 3, jak również zjazd włocławski, przy którym spotykamy 6 obrońców; inne obejmują cyfry pośrednie pomiędzy włocławskiemi i warszawskiemi (1). Z liczby ogólnéj 279 potrą-

(1) Przy zjazdach: we Włocławku 6, w Piotrkowie 23, w Częstochowie 8, w Radomiu 10, w Sandomierzu 8, w Kielcach 3, w Miechowie 11, w Lublinie 29, w Zamo-

cić należy 40 pomocników adwokatów przysięgłych, którzy wyjmowali świadectwa ze zjazdów, tak że właściwa cyfra obrońców przy zjazdach wynosiła około 250 na całe Królestwo. Już sama ta liczba może służyć za dowód, że instytucya obrońców przy sądach pokojowych i gminnych ma prawo do bytu. Adwokaci przysięgli prawie wyłącznie mieszkają w miastach gubernialnych i przeważnie prowadzą sprawy w sądach ogólnych, ci zaś drobniejsi obrońcy rozrzuceni są wszędzie, nie wyłączając miast drobniejszych i osad, zajmując się sprawami drobnego mieszczaństwa i ludności wiejskiéj.

Uznając prawo do bytu dla téj kategoryi obrońców, nie możemy przecież pominąć cisnących się pod pióro uwag. W szeregach tych obrońców spotykamy znaczną część ludzi bez wykształcenia i wyrobienia sądowego, wielu pochodzi ze sfery ciemnego żydowskiego tłumu, a zbytnia pochopność zjazdów do wydawania świadectw była przedmiotem niejednokrotnych w prasie peryodycznéj uwag. W istocie, zachodzić może obawa, ażeby stanowiska tych obrońców nie stały się łupem nieuctwa lub wykolejonych ludzi, co pewno nie przyniosłoby pożytku dla ogólnéj moralności i nie zapewniłoby korzyści dla biedniejszéj części ludności, któréj interesa z natury rzeczy w rękach takich orędowników pozostawać by musiały.

Gdyby przepisy w drodze prawodawczéj ustaliły pewną kwalifikacyą, jako konieczną dla takich obrońców, naprzykład ukończenie zakładu naukowego średniego i trzyletnią praktykę sądową, byłoby to z pożytkiem dla kraju i dla całéj klasy tych pełnomocników.

Obok tego, ci obrońcy nie posiadają żadnéj nazwy. Istnieje instytucya, istnieje stanowisko, a nie ma dla niéj urzędowego terminu. W świadectwie pisze się o prawie prowadzenia spraw, jakby o prawie handlowania rybami, ale proceder ten wykonywa się przez ludzi, trzeba więc tych ludzi odróżnić od innych czynników pracy społecznéj przez stanowczą nazwę. Obrońcy ci używają w praktyce nazwy adwokata, nazwy generycznéj, jako mogącéj obejmować ich zajęcia, lecz dla samego odróżnienia ich od adwokatów przysięgłych, dla jasności pojęć i dla powiadomienia publicznego, potrzebują oni nosić specyalne miano. Zdaje się nam, że nazwa obrońcy pokojowego była by najstosowniejszą.

W ostatnich czasach gazety rosyjskie doniosły o zamierzoném ograniczeniu liczby obrońców prywatnych w ogóle, a przy instytucyach pokojowych w szczególności na korzyść pomocników adwokatów przysięgłych i dla zapewnienia tym ostatnim praktyki przy

---

ściu 13, w Siedlcach 8, w Białéj 11, w Płocku 9, w Mławie 13, w Łomży 15, w Pułtusku 8, w Suwałkach 7, w Maryampolu 20, w Kaliszu 7, w Kole 7.

powołanych instytucyach. Mniemamy, że taki środek nie odpowiadał by celowi. Zadania adwokatury przysięgłéj różnią się od zadań, jakie mają przed sobą obrońcy pokojowi, pola do pracy dla jednych i drugich są różne, obie też kategorye współrzędnie istnieć mogą i powinny. Obrońcy prywatni przy sądach ogólnych mogliby być uznani za zbytecznych, ale dla sądów pokojowych oddzielna instytucya obrończa jest konieczną, należy ją tylko ująć w pewne karby.

§ 4. Inne organa pomocnicze.

Najwydatniejsze miejsce zajmuje tutaj rejentura, a właściwiéj mówiąc notaryat, złożony z paruset przedstawicieli, rozrzuconych w różnych miejscach kraju, którzy funkcyonują bądź przy wydziałach hypotecznych sądów okręgowych, bądź przy hypotekach powiatowych. Zarówno obecna ustawa notaryalna, jak i dawniejsza z r. 1808, w zasadzie nie wymaga wykształcenia wyższego prawnego od kandydatów na urząd notaryusza, a przecież w ręku tego organu pozostają wszystkie akta i czynności dobréj woli, regulujące i ustalające wzajemne prawne stosunki obywateli. Że za prawidłowém funkcyonowaniu urzędów notaryalnych społeczeństwo zyskuje bardzo wiele, o tém chyba nikt nie wątpi. Z tego też powodu dawna komisya sprawiedliwości, łagodząc zasadniczy błąd ustawy notaryalnéj w przedmiocie kwalifikacyi osobistéj, starała się zawsze powierzać urzędy notaryuszów, czyli regentów, jak ich wówczas nazywano, ludziom zasłużeńszym, z dostateczném a nieraz bardzo długiém doświadczeniem prawném. Mniemamy, że ta zasada i obecnie zasługuje na uwzględnienie, zwłaszcza, że posiadamy w kraju tak znaczny zapas uzdolnionych prawników; wszelkie też odstąpienia od téj zasady, jakie się przytrafiają. na pochwałę zasługiwać nie mogą.

Z kolei wypada wspomnieć o organie wykonawców wyroków sądowych.

Nigdzie na żadném polu urzędnik sądowy nie napotyka na takie trudności, wybiegi i tentacye ze strony interesowanych, jak tutaj. Dla dobrego wykonania obowiązków komisarza sądowego potrzeba nieraz wyjątkowéj szybkości i energii działania, potrzeba nieraz pilności, która przewyższa miarę obowiązku zwykłego. Urzędnik stały, delegowany do czynności, którego strona zmienić nie może, często nie znajdzie w samém poczuciu obowiązków dostatecznéj pobudki do podobnéj gorliwości; zmusić go zaś do niéj, ani żądać takowéj od niego niepodobna, a tymczasem przez sam brak szczególnie energicznéj pracy urzędnika strony ponoszą szkody. Ztąd systemat

organizacyi francuzkiéj, zaliczający egzekutorów sądowych do ludzi wolnego fachu, wybieranych i zależnych od stron samych, uważać się daje za odpowiedni celowi.

Ustawy sądowe nie podzieliły tego poglądu, nadając komisarzom sądowym charakter pensyonowanych urzędników, których do czynności wyznacza władza zwierzchnia. Już w samej zasadzie możnaby zarzucić temu systematowi pewne niedostatki, którym praktyka dotychczasowa zaradzić nie usiłowała, a raczéj nawet je powiększała.

W istocie, wedle art. 321 i 322 organizacyi komisarze sądowi funkcyonują przy odnośnych sądach, a wedle art. 938 ustawy post. cyw. prezes właściwego sądu wyznacza komisarza sądowego do wykonania wyroku, za zgłoszeniem się o to strony interesowanéj. Ztąd wypływa, że chociaż strona prywatna nie posiada prawa sama dokonywać wyboru, to jednakże prezydujący w sądach przy wyborze niczém krępowani być nie mogą. W praktyce jednak wszystkie sądy podzieliły okręgi sobie podległe na rewiry, osadzając stale w rewirach jednego komisarza sądowego, do którego wszelkie czynności w obrębie rewiru bezwarunkowo należą. Dla mniemanéj wygody stron z posiadania stale wskazywanego jednego urzędnika do pewnych czynności, wprowadzono *sui generis* niezmienialność, która w skutkach sprowadzać musi tyle uciążliwą dla czynności egzekucyjnych ociężałość i apatyą. Dopiero w roku bieżącym przykład odmiennego a pożytecznego stosowania tychże samych zasad prawnych przyszedł od prezesa sądu handlowego warszawskiego, który dopuszcza do zmiany komisarza sądowego, zezwalając nadto na wyznaczanie do czynności tego urzędnika, o którego strona interesowana uprasza. To ustępstwo nie narusza w niczém przepisów obowiązujących, a przynieść może w praktyce pożyteczne skutki.

Podobnąż zasadę rozdziału na rewiry zastosowano i do woźnych sądowych, którzy dopełniają doręczeń aktów. W zasadzie możnaby i tutaj postawić téż same zarzuty; w praktyce wadliwość ta o tyle mniéj się czuć daje, że doręczenia należą do czynności łatwiejszych od wykonywania wyroków.

§ 5. Wydziały hypoteczne.

Dla pełności obrazu należy nam jeszcze zatrzymać się nieco nad wydziałami hypotecznemi. Hypoteki gubernialne istniejące przy sądach okręgowych nie przedstawiają pola do uwag; są one prowadzone poważnie, a niektóre z nich, jak warszawska lub lubelska mo-

gą być uważane za wzór dobréj instytucyi hypotecznéj. Jeden tylko drobny szczegół, wypływający ze skombinowania ustaw hypotecznych z obecną organizacyą sądową razi nas trochę, a mianowicie powierzenie nominacyi i dymisyi konserwatora hypoteki (sekretarza) prezesom odnośnych sądów. Sama ważność urzędu sekretarza hypoteki domagałaby się większéj niezależności, zwłaszcza, że ten sekretarz posiada głos równy sędziemu i samemu prezesowi w czynnościach swego wydziału.

Na bardziéj obszerną wzmiankę zasługują wydziały hypoteczne powiatowe.

Chromająca ta już za dawniejszych czasów instytucya nie rozwinęła się wcale na lepsze. Przepisy ustawy o zastosowaniu w przedmiocie hypotek powiatowych okazały się na tyle niejasnemi, że z chwilą wprowadzenia reformy sądowéj powstały zasadnicze wątpliwości. W przepisach tych nie wskazano wcale, do jakiego sądu przechodzą odwołania się od decyzyi tych hypotek czy do zjazdów, czy do sądów okręgowych. Dopiero izba sądowa na drodze interpretacyi, zresztą bardzo rozumnéj i zgodnéj z duchem prawa wyjaśniła, że sądy okręgowe stanowią wyższą bezpośrednią instancyą dla hypoteki powiatowéj (1), kładąc tamę wtrącaniu się zjazdów do niewłaściwych dla nich czynności. Daléj zrodziła się kwestya, czy sąd okręgowy rozpoznaje apelacye hypoteczne w ostatniéj instancyi, czy też służy jeszcze daléj odwołanie się do izby sądowéj, zwłaszcza, że art. 743 ustawy post. cyw. wyraźnie zastrzega, iż wszelkie wyroki i decyzye sądu okręgowego ulegają zaskarżeniu. Pytanie było tém trudniejszém, że w myśl ogólnych zasad procedury cywilnej prawo dopuszcza tylko dwie instancye dla spraw sądowych. Jakoż w duchu téj ostatniéj zasady izba sądowa kwestyą tę roztrzygnęła, i tym sposobem usunęła dalsze wątpliwości co do porządku instancyi w tym przedmiocie (2).

W skład wydziału wchodzą: sędzia pokoju, sekretarz i notaryusz, a w braku tego ostatniego adwokat przysięgły lub aplikant sądowy, przy czém wedle art. 72 ustawy o zast. sekretarza mianuje prezes zjazdu na przedstawienie sędziego pokoju. Jest to istotnie anomalią, aby wybór sekretarza zależał od urzędu, który z hypoteką niema najmniejszego związku, a w hierarchii sądowéj nie stanowi władzy wyższéj. Rozumie się, że dymisya sekretarza w temże ręku

---

(1) Karpiński. Jurysprudencya izby sądowéj warszawskiéj N. 162 postanowienie z d. 19 (31) grudnia 1877 r.

(2) Tamże N. 348 postanowienie z d. 21 lutego (5 marca) 1879 r.

spoczywa. Jeszcze bardziéj niewłaściwém jest poddanie sekretarzy hypotek pod władzę dyscyplinarną zjazdów, które czynności hypotecznych wcale nie rozpatrują; taka władza dyscyplinarna musi być w rezultacie tylko pozorną, bo żaden urząd nie będzie wstanie wykonywać kontroli nad organem stojącym po za sferą działania władzy kontrolującéj. Oddanie sekretarzy hypoteki powiatowéj pod nadzór sądów okręgowych, jako téż skoncentrowanie nominacyi ich w ręku starszego prezesa izby lub prezesów sądów okręgowych przy stosownéj zmianie redakcyi art. 72 ustawy o zast., jak nam się zdaje, odpowiadałoby celowi.

Gdyby ustawa o zastosowaniu w miejsce powyższych inowacyj wprowadziła przymusową hypotekę powiatową, konieczną dla drobniejszéj własności, a wolną od opłat i stempla możnaby było dojść do pożądanego rozwoju instytucyi, którego ona bardzo potrzebuje.

§ 6. Procedura karna.

Jak wiadomo, kompetencya karna sądów w królestwie zarówno w pierwszéj chwili po wprowadzeniu reformy sądowéj, jak i w obecnym czasie różni się od kompetencyi w cesarstwie.

Ukaz z d. 18 maja 1882 r. rozszerzył atrybucye sędziów pokoju i sądów gminnych, pierwotnie znacznie szczupléj zakreślone, nie doprowadzając ich przecież do granic, jakie ustawy z r. 1864 wskazały w zasadzie. Ukaz ten wprowadził pewną dziwną innowacyą.

Sędziowie pokoju i sądy gminne, jako urzędy współrzędnie funkcyonujące, posiadały jednaką rozległość władzy, z ograniczeniem działania pierwszych do miast, a ostatnich do gmin wiejskich. Obecnie ta zasadnicza podstawa rozdziału uległa zmianie. Przekroczenia przeciwko cudzéj własności, gdy szkoda nie przenosi 30 rubli w gminach wiejskich, należą do sądów gminnych, a gdy szkoda przewyższa tę summę, nie przekraczając jednak rs 300, dochodzenie przestępstwa należy do okolicznego sędziego pokoju, który tym sposobem funkcyonuje i dla gmin wiejskich. Jeżeli akcya o szkodę przechodzi rs. 300, czyny podlegają dochodzeniu sędziów śledczych, a rozpoznaniu sądów okręgowych. Ten system, stosuje się także z art. 102 ustawy o zastosowaniu do przekroczeń w przedmiocie drukowania książek i handlu księgarskiego, przewidzianych w art. 1010, do 1013, 1015, do 1019, 1030 i 1032 kodeksu karnego.

W miastach podobnego rozdziału nie ma, gdyż tu pozostał bez zmiany podział władzy pomiędzy sędziów pokoju i sądy okręgowe, bez wprowadzenia jakiegokolwiek bądź trzeciego czynnika. W związku z ograniczeniem kompetencyi instytucyj pokojowych pozo-

staje zniesienie ust. 3 art. 42 ustawy postępowania karnego, mocą którego sędziowie mają prawo rozwijania dochodzenia sądowego, na podstawie własnego uznania. Wedle art. 79 ustawy o zastosowaniu, powołany ustęp nie otrzymał mocy obowiązującéj u nas, i dla tego ani sędziom pokoju ani sądom gminnym nie wolno spraw karnych z urzędu rozpoczynać, bez uprzedniego doniesienia policyi lub skargi osoby poszkodowanéj.

Drugą cechą wyróżniającą procedurę obowiązującą w królestwie, w porównaniu z cesarstwem, stanowi brak sądów przysięgłych. Cały system procedury nagięty jest mniéj lub więcéj szczęśliwie do potrzeb sądu przysięgłych, wszelako saméj instytucyi nie masz.

Nad tą instytucyą zawisł dla nas istotnie fatalizm. Od lat 76 błąka się projekt, przy różnych okolicznościach wychodzi ciągle na wierzch, liczne głosy przemawiają za nim gorąco, a przecież instytucya nie mogła dotąd wejść w życie. Już w liście z dnia 21 maja r. 1808 do króla saskiego i księcia warszawskiego ówczesny minister sprawiedliwości zaproponował wprowadzenie sądów przysięgłych, łącznie z kodeksem francuzkiéj procedury karnéj, nad którego redakcyą wtedy pracowano. Na sesyą sejmu księztwa Warszawskiego z r. 1811 wniesiono stosowny w téj mierze projekt, lecz z powodu wyczerpania sesyi przez sprawy finansowe odłożono go do następnego roku, a wypadki polityczne z r. 1812 i następnych odwlekły kwestyą na dalszą metę. W kilka lat późniéj, rada stanu królestwa, podnosząc tę samą myśl, w uchwale z d. 19 grudnia 1817 r. postanowiła wprowadzić sądy przysięgłych podług wzoru angielskiego. Stosowny projekt wygotowany przez Ksawerego Potockiego, chociaż aprobowany przez sejm królestwa, na sesyi z d. 24 września 1818 r., nie pozyskał sankcyi ówczesnej władzy wyższéj, co znowu nową sprowadziło przewłokę. W r. 1863 w projekcie nowéj procedury karnéj, jaki z polecenia władzy prof. Holewiński wygotował, sądy przysięgłych znalazły także należyte uwzględnienie, ale wypadki polityczne wstrzymały wprowadzenie projektu w czyn, skutkiem czego kwestya sądów przysięgłych znowu nie otrzymała praktycznego rozwiązania.

W parę lat późniéj utworzona przy komitecie urządzającym komisya prawna królestwa zajęła się na nowo tą sprawą. Sprawozdawca przedmiotu w komisyi p. Szyszkin w gorących słowach przemawiał za wprowadzeniem u nas sądów przysięgłych, obalając umiejętnie wszelkie zarzuty przeciwników, lecz na posiedzeniu komisyi z d. 14 (26) kwietnia 1866 r. zdanie sprawozdawcy pozostało w mniejszości; siedm głosów przeciwko pięciu przeważyło odmienną opinią, która uznawała sądy przysięgłych dla naszego kraju za *przedwczesne*.

Nie ulega kwestyi, że to postanowienie komisyi prawnéj było źródłem art. 92 ustawy o zastosowaniu (1), i dla tego wypada nam nad nim nieco się zastanowić.

Argumenta p. Szyszkina były następujące:

„Udział w sądzie żywiołów ze wszystkich warstw społecznych, nie wyłączając najniższych, jest konieczném następstwem reform uwzględniających potrzeby całego narodu. Organizacya sądów gminnych zadowolni te potrzeby w sprawach mniéj ważnych, sądy przysięgłych w sprawach ważniejszych. Pominięcie sądów przysięgłych pozostawiłoby najważniejsze sprawy sądowe, jak dotąd w rękach klas wyższych, z pominięciem całéj masy narodu.

Jednakowe pod tym względem położenie cesarstwa i królestwa wywołać też powinno jednakowe środki zaradcze, wiadomo zaś, że zbliżenie ludu z klasami wyższemi było jednym z najgłówniejszych motywów zaprowadzenia sądów przysięgłych w Cesarstwie. W chwili, gdy z nową organizacyą gminną, drobne sprawy będą sądzone według sumienia przez sędziów wybranych z całego narodu, pozbawić naród tychże rękojmi w sprawach, dotyczących najdroższych praw człowieka, byłoby takiem przejściem od jednego do drugiego systemu procedury, jakiego nie spotykamy w żadném prawodawstwie. Ustawy sądowe cesarstwa, wprowadzając sędziów z wyboru w sądach niższych, konsekwentnie zaprowadziły sądy przysięgłych dla spraw ważniejszych. Taż sama konsekwencya obowiązuje i przy wprowadzeniu tych ustaw w Królestwie. Wreszcie, skoro zadaniem komisyi prawnéj jest zbliżyć prawodawstwo obowiązujące w królestwie i Cesarstwie, to wprowadzenie sądów przysięgłych będzie jednym z najskuteczniejszych środków spełnienia tego zadania i interesom państwa w zupełności odpowie“ (2). Komisya, wysłuchawszy sprawozdania i po licznych debatach uznała w zasadzie pożyteczność instytucyi sądów przysięgłych dla naszego kraju, wyrzekła jedynie, że do czasu zniesienia stanu wojennego, przeprowadzenia reform administracyjnych i włościańskich, wreszcie wprowadzenia w królestwie nowego kodeksu karnego rosyjskiego, z urządzeniem sądów przysięgłych wstrzymać się należy. Nie można zapominać, że prace komisyi odbywały się świeżo po smutnych wypadkach politycznych, co z natury rzeczy nie pozostawało bez wpływu na uchwały komisyi. Ale dziś, gdy niepokoje wojennéj zawieruchy przeszły,

(1) Artykuł ten mówi, że sądy okręgowe rozpoczynają sprawy karne bez udziału przysięgłych.

(2) *Bem.* Kilka słów o powodach niewprowadzenia do naszego kraju Instytucyi sądów przysięgłych. Gazeta Sądowa, str. 375 i następ. r. 1879.

a ustawy sądowe i kodeks karny wydania r. 1866 zostały wprowadzone, przeszkody dla sądów przysięgłych zgodnie z rozbieraną uchwałą znikły.

Podnoszą i dziś jeszcze przeciwko sądom przysięgłych dwa argumenta, a mianowicie względy polityczne i kwestyą języka, wszelako pierwsze nie wytrzymują krytyki, a i na drugą przy dobréj chęci znaleść można lekarstwo.

Już p. Szyszkin w swojém sprawozdaniu stanowczo odmówił wszelkiéj słuszności obawom ze stanowiska politycznego, zwłaszcza, że przestępstwa polityczne i prasowe są wyjęte z pod jurysdykcyi sądów przysięgłych. Ale, najlepsze objaśnienie w téj mierze znajdujemy w motywach prawodawczych do ustaw sądowych z r. 1864. „Zdanie niektórych teoretyków, mówią motywa, że sąd przysięgłych nosi charakter polityczny, przeszkadzało niemało do wprowadzenia w różnych państwach téj instytucyi. Nie mówiąc o tém, że takie zdanie nie ma należytéj podstawy, nie podobna nie dostrzedz, że od prawodawcy zależy postawienie téj instytucyi w warunkach, przy których ona nie może mieć żadnego politycznego charakteru, jak to zrobiono w innych państwach, które u siebie sąd przysięgłych wprowadziły. Lepiéj dopuścić w pierwszéj chwili do pewnych wyjątków od ogólnéj zasady decydowania przez przysięgłych o winie lub niewinności podsądnego, aniżeli całkiem pozbawiać naród najbardziéj naturalnego i sprawiedliwego sądu“ (1).

W istocie, po wyłączeniu z pod atrybucyi sędziów przysięgłych, niektórych wyżéj wskazanych przestępstw, wszelka kwestya ustaje, i o politycznym charakterze sądu przysięgłych na seryo mówić nie można. Co się tyczy państwowego języka, takowego przysięgli mogliby nie rozumieć, gdyby jednak dopuścić język miejscowy chociaż do śledztwa głównego i rozpraw, jak to ma miejsce w sądach gminnych, gdyby rozciągnąć obowiązującą Najwyżéj zatwierdzoną uchwałę komitetu do spraw królestwa polskiego z dnia 2 (14) lipca 1876 r. do sądu przysięgłych, trudności by upadły, a piękna instytucya, która stanowi najwyższy rozkwit życia prawnego, zapanowałaby w ścianach świątyni sprawiedliwości.

Brak téj instytucyi sprowadził w praktyce znaczne skutki ujemne. Wszystkie sprawy karne sądzone są u nas bez wyjątku przez dwie instytucye, bo art. 854 ustawy postępowania karnego o prawomocności wyroków, wydanych przez przysięgłych, nie ma zastosowania. Izba sądowa sądzi te sprawy na mocy protokółów sądowych, jak to mówią, z bibuły. Napływ apelacyj oczywiście jest wielki,

(1) Sudiebnyje ustawy. Część druga, str. 96,

a kolosalne zaległości w departamencie karnym izby, o czém powyżéj mówiliśmy, nie istniałyby, gdyby sądy przysięgłych w kraju funkcyonowały. Ale, nad kwestyą języka należałoby się zastanowić z innych daleko ważniejszych jeszcze powodów.

Nieporozumienia przy śledztwach sądowych, z powodu języka państwowego stały ciągle i stoją dotąd na porządku dziennym. Na zapytanie „kak wasze imia“? człowiek, zwłaszcza z klasy wiejskiéj, żegna się, mówiąc: w imię ojca i syna i ducha; na zapytanie zaś „kak wasza familia“? odpowiada zwykle, że ma żonę i troje dzieci. W jednéj sprawie chodziło o sprawdzenie, czy fakt pewien miał miejsce przed bożém narodzeniem. Świadek, którego zapytano: „słuczyłoś li eto do Rożdiestwa Christowa“? odpowiada, że późniéj, bo mu się zdawało, że go pytają o epokę, w porównaniu z narodzeniem Chrystusa. Okoliczność ta wyjaśniła się zaraz w sposobie odwrotnym, mianowicie, że dany wypadek zdarzył się przed bożem narodzeniem, wywołując uśmiech na ustach wszystkich obecnych.

W innéj znowu sprawie, niektórzy świadkowie przed sędzią śledczym zapewniali, że pobicie ze strony podsądnego nie miało miejsca, a podczas śledztwa głównego złożyli zeznanie wręcz przeciwne, jednakże, gdy im zarzucano zmianę zeznania z oburzeniem przeciwko temu zaprotestowali. Okazało się, że sędzia śledczy, badający w języku urzędowym, nie mógł się ze świadkami porozumieć i błędnie spisał protokóły. Przyczyną pomyłki było wyrażenie: „prybił li“? Świadkowie zrozumieli to słowo w znaczeniu · czy zabił, skutkiem czego dali odpowiedź przeczącą, gdyż do zabicia niedoszło. Dla znającego języki polski i rosyjski ocenić nie trudno, jak łatwo podobne nieporozumienie może nastąpić.

W sądzie okr. radomskim zdarzyło się, że w zawikłanéj sprawie po siedmiogodzinném śledztwie sądowém potrzeba było rozpocząć badanie świadków na nowo od początku, gdyż cały pochód śledztwa opierał się na nieporozumieniu językowém, które zaledwie w końcu śledztwa zostało dostrzeżoném. A ileż to mogło być wypadków, gdzie pomyłki pozostały w ukryciu, utrudniając przez to sądowi wyświetlenie prawdy?

Wprawdzie posiadamy tłómaczy, którzy mają ułatwiać porozumienie sądu ze stronami, składającemi zeznania lub objaśnienia. Nie należy jednak zapominać, że ciągłe tłómaczenia prowadzą do niepojętego znużenia, i że w nich niknie barwa i ton zeznania, nie mówiąc o stracie czasu i o nieuniknionych przekręceniach; a przytém tłómacze znajdują się przy sądach okręgowych, nie ma ich ani u sędziego śledczego, ani u sędziego pokoju.

„Bolesnym punktem organizacyi, powiada p. Timanowski jeden ze zdolniejszych sędziów (1), jest kwestya języka i tłómaczy; można z przekonaniem powiedzieć, że we wszystkich sądach królestwa polskiego ta strona urządzoną została dosyć słabo, i zachodzi pytanie, czy sądy rosyjskie, rozstrzygając sprawy i ich istotę, mogłyby sumiennie zaręczyć, że rozumiały za każdym razem z całą dokładnością wszystko to, co przed nimi mówili świadkowie i podsądni“.

Zresztą, tłómacze odejmują procedurze rzeczywisty jéj charakter, naruszają jéj cel istotny. System akuzacyjny procedury karnéj polega na tém, aby zapewnić sądowi sądzącemu bezpośrednie porozumienie ze stronami i osobami do sprawy wpływającemi, aby dać mu materyał z pierwszéj ręki, że tak powiem, a tego się nie osięga, gdy materyał śledczy przechodzi przez organ tłómacza, jak by przez alembik, który podać może sądowi już tylko przedystylowaną treść rzeczy.

Faktycznie sądy ratują się w téj trudności, dopuszczając częściowo język polski przy badaniach. „We wszystkich sądach, powiada w tém że miejscu p. Timanowski, przyjęto taki system, że zeznania świadków prawie nigdy nie są tłómaczone, również nie tłómaczą się odpowiedzi na oddzielne pytania, a tłómacz przekłada jedynie pytania, jakie dają świadkowi prokurator i prezydujący, obrońcy zaś pytania robią bezpośrednio w polskim języku“.

U sędziów pokoju, przy koniecznem bezpośredniém zetknięciu z publicznością najczęściéj bez udziału obrońców, trudności jeszcze się podnoszą. W przypadkach, gdzie sędzia nie włada językiem polskim, nieporozumienia są ciągłe, ze szkodą dla wymiaru sprawiedliwości.

Przy zamknięciu przedmiotu powołamy się na słowa p. Karcewa, który w kwestyi języka urzędowego tak mówi:

„O znaczeniu tego środka ze stanowiska polityki państwowéj mówić nie będziemy. Być może, w ogólném dążeniu do zlania Polski z Rosyą ma on znaczenie, my podkreślamy tylko znaczący fakt, że przy debatach nad projektem reformy tak ważna i zasadnicza kwestya, jak zmiana języka w procedurze nie wywołała żadnéj dyskusyi. Ani w samym dzienniku komitetu urządzającego, ani w innych aktach dalszego prawodawczego pochodu projektu reformy nie spotykamy żadnych wskazówek co do tego, aby wyrażono jakąkolwiek wątpliwość pod względem praktycznego zastosowania i właściwości podobnego środka. Taki stosunek do kwestyi tłómaczy się tém, że reforma sądowa była ostatnią w całym rzędzie dokonywa-

(1) Jurydiczeskij Wiestnik, str. 141. Styczeń, 1882 r.

nych reform, i że przy zmianach administracyjnych wprowadzenie języka rosyjskiego było wykonane w zupełności, bez napotkania trudności szczególnych.

Lecz osoby, które rozpatrywały projekt prawodawczy reformy sądowéj, pominęły tę charakterystyczną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy stosunkiem ludności do administracyi i do sądu.

W sferze biurokratyzmu kancelaryjnego, rozumie się, nie było trudności przy wprowadzeniu języka rosyjskiego do biura, wprowadzenie było prostém następstwem obsadzenia urzędów administracyjnych przez osoby pochodzenia rosyjskiego, lecz w sądzie publicznym, który pozostaje w ciągłych bezpośrednich stosunkach z ludnością, wprowadzenie języka rosyjskiego nie tylko do piśmiennych czynności proceduralnych, ale i do ustnego postępowania stanowiło rzecz wcale nie tak prostą i łatwą.

Chociażby siła prawa była jak największą, jeżeli wykonanie spotyka trudności ze strony samego życia i naturalnych warunków społecznego bytu, to żadna siła nie zdoła w całości wprowadzić tego prawa w życie ani dać mu możności bytu“ (Żurnał Graždanskago i Ugałownago prawa 1882. Kwiecień).

Nareszcie, kończąc niniejszy rozdział, niepodobna jeszcze nie powiązać kwestyi procedury z kwestyą etatów sądowych. Co warta procedura, chociażby jéj system był najlepszym, jeżeli sprawy miesiącami i latami oczekują, jak to mówią, zmiłowania bożego, i nie mogą doczekać się rozwiązania? jeżeli sądy przypominają przepaść, z któréj wydobyć się niepodobna? Każdy interes powinien być załatwionym. Stronie przychodzącéj do sądu, nie idzie o metodę proceduralną, lecz o samą rzecz, o wymiar sprawiedliwości prędki i konieczny. Dawne procedury karne: pruska i austryacka, jakie w kraju obowiązywały, były zacofane, ale przy nich nikomu sprawy nie wstrzymywano, ani umarzano. Zawiedzeni przytaczają to, i dziwić się nie można.

§ 7. Procedura cywilna.

Pierwszą wyróżniającą cechą procedury cywilnéj u nas obowiązującéj, w porównaniu z cesarstwem, stanowi również kompetencya sądów. Instytucye pokojowe, obejmując w téj generycznéj nazwie i sądy gminne, z początku sądziły sprawy do rs. 250, a z mocy ukazu z d. 18 maja 1882 r. atrybucye ich podniosły się do rs. 300.

Drugą różnicę stanowi odmienna nieco teorya dowodów, gdyż redaktorowie ustawy o zastosowaniu, godząc teoryą dowodów proceduralną z teoryą, mieszczącą się w kodeksie cywilnym, utrzymali

w swéj mocy pożyteczny dowód z domniemań, któregо ustawa z r. 1864 nie znała wcale.

Daléj, księga czwarta ustawy postępowania cywilnego, traktująca o postępowaniu zabezpieczającém („ochranitelnoje"), nie została do nas zastosowaną, a w jéj miejsce otrzymaliśmy oddzielną ustawę o postępowaniach szczególnych, która stanowi przeróbkę dwóch pierwszych ksiąg części drugiéj kodeksu procedury francuzkiéj. Przepisy procedury rosyjskiéj o postępowaniu zabezpieczającém stoją w takiéj sprzeczności z duchem i zasadami prawa cywilnego u nas obowiązującego, że pogodzone z nim w żaden sposób być nie mogły. Ztąd zrodziła się ustawa o postępowaniach szczególnych.

Ustawa ta, obok przepisów, dotyczących otwarcia spadku i działów, obejmujących jedenaście rozdziałów od ósmego do dziewiętnastego włącznie, dotyka nadto różnorodnych innych przedmiotów, które stanowią konieczne uzupełnienie ustawy postępowania cywilnego, ze względu na obowiązujące prawo cywilne materyalne, jak naprzykład rad familijnych, przysposobienia, upoważnienia kobiet zamężnych do działania bez asystencyi męża itp. Materyał do układu téj ustawy znalazł się gotowy w kodeksie procedury francuzkiéj, pomimo to jednak ustawa grzeszy licznemi niedokładnościami; o ile ściśle trzymano się pierwowzoru, o tyle postanowienia są jasne, w punktach odstąpienia wkradły się dysonanse i wady.

W kwestyi spadków, na samém jéj czele spotykamy nowy dla francuzkiéj procedury przepis o publikacyach (art. 36), z którym praktyka, po wprowadzeniu reformy, przez długi czas rady sobie dać nie mogła. Wedle zasad naszego prawa cywilnego, spadek przechodzi na sukcesorów *ipso jure*, bez potrzeby wprowadzenia ich w posiadanie, a prosta legitymacya przez akty stanu cywilnego w razie sporu wystarcza dla objęcia spadku, za wyjątkiem jednéj hypoteki, która wymaga ogłoszeń i upływu sześciu miesięcy dla zapewnienia sukcesorom swobodnéj dyspozycyi majątkiem. Wbrew téj zasadzie art. 36 mówi o ogłoszeniach po za obrębem hypoteki, nadaje sędziom pokoju i sędziom gminnym prawo rozporządzania ogłoszeń o otwartym spadku, nie wzmiankując zresztą ani jedném słowem, ani o formie ich, ani o sposobie załatwienia. Całe szczęście, że tak stworzony przepis nie otrzymał żadnéj sankcyi, w powołanym bowiem artykule powiedziano, że organa sądowe mogą rozporządzać ogłoszenia, lecz nie wskazano wcale wypadków, w których podobne ogłoszenia były-by konieczne. W przeciwnym razie, przepis ten burzył by ustaloną zasadę przechodzenia spadków mocą samego prawa, która stanowi podstawę naszego systemu spadkowego i wprowadziłby zamęt w rozlicznych stosunkach prawnych. Brak sankcyi

uratował pozycyą, przepis stał się martwą literą, o stosowaniu któréj nikt dziś już nie myśli.

Opieczętowania przy spadkach (art. 42) powierzono komisarzom sądowym przy zjazdach lub wójtom gmin po wsiach, czego ze względu na ważność czynności nie można uważać za właściwe; wedle procedury francuzkiéj należało to do sędziego pokoju, jak w naszym kraju dawniéj do podsędka, przy udziale podpisarza sądu. W konsekwencyi tymże komisarzom lub wójtom powierzono zdejmowanie pieczęci, ustanawianie dozórców nad masami pozostałości (art. 64 i 87), wyszukanie testamentów (art. 46), wydawanie papierów osobom obcym (art. 75) itp., wreszcie sporządzanie spisów inwentarza (art. 78). Szczególniéj ta ostatnia czynność, jako stanowiąca podstawę do działu spadkowego, wymagałaby bardziéj umiejętnéj ręki. Wprawdzie dozwolono polecać tę czynność i notaryuszom, o ile złożą na to swą deklaracyą, lecz delegacya notaryusza do téj czynności zależy od uznania sędziego pokoju lub sędziego gminnego, którego wola nie ulega w téj mierze żadnéj krytyce. Kiedy art. 943 procedury francuzkiéj uważa inwentarz za akt notaryalny, wymagający tylko wyjątkowych formalności i troskliwości, ustawa, o któréj mowa, w art. 82 zaleca sporządzać go na wzór aktu zajęcia egzekucyjnego, do którego inwentarz najmniéj jest podobnym.

Za wadę ustawy poczytujemy odrzucenie przewidzianéj (art. 943) w procedurze francuzkiéj przysięgi na potwierdzenie rzetelnego zadyktowania inwentarza, któréj to przysięgi nie można uważać za zbyteczną, zwłaszcza w wypadkach, gdzie opieczętowanie miejsca nie miało. Tego rodzaju przysięga nie może być brana za jedno z dowodem z przysięgi; ma ona specyalne znaczenie, i teorya dowodów procedury r. 1864 nie przeszkadzała jéj utrzymaniu w swéj mocy.

W kwestyi sprzedaży ruchomości spadkowych nie wskazano całkiem, od czyjéj decyzyi w razie sporu i potrzeby nakazanie sprzedaży zawisło, chociaż art. 946 procedury francuzkiéj obejmował stanowcze w téj mierze orzeczenie, które dosyć było dosłownie powtórzyć. W braku takiego wskazania (art. 122) do téj pory i ciągle powstają w praktyce tysiączne w tym przedmiocie wątpliwości i kwestye.

Ale, prawdziwe *curiosum* stanowi kwestya o dziale spadku i sprzedaży nieruchomości spadkowych, objęta pod tytułem: o podziale spadku w rozdziale siedmnastym téjże ustawy.

Cała materya zawartą została w dziesięciu drobnych artykułach, mających zamykać w sobie nie tylko postępowanie działowe, ale i kwestyą skarg na decyzye i wyroki w tym przedmiocie, oraz kwestyą kompetencyi sądowéj przy działach.

Zbytecznem jest mówić, że w takich ramach podobnie szerokiego materyału objąć nie było można. Jakoż prawodawca rozebrawszy kwestyą kompetencyi i skarg w przedmiocie samego postępowania działowego, ograniczył się do tego, że zalecił stosować przy działach trzy różne procedury, a mianowicie: przepisy kodeksu cywilnego o skardze działowéj (art. 835 do 842), przepisy o sprzedaży nieruchomości w drodze egzekucyi z ustawy z r. 1864 (art. 1094 do 1208), wreszcie przepisy postępowania przy rachunkach z powodu szkód, dochodów i kosztów (art. 896 do 923 ustawy z r. 1864), nie mówiąc o powołanych jeszcze specyalnie dla sądów gminnych przepisach specyalnych co do włościan.

Samo podobne zestawienie różnéj kategoryi przepisów, bez ścisłego określenia, co i kiedy z nich ma obowiązywać, stanowi dziwaczną redakcyą prawną, któréj pochwalić niepodobna. Nie prawodawca dla stron interesowanych, lecz strony interesowane same mają wskazywać przepisy, jakie do nich się odnoszą. Łatwo pojąć, ile ztąd wyrastać może nieporozumień, ile pieniactwa, jeżeli tylko kolizye w interesach stron zachodzą.

Dodawszy do tego, że w zaleconych do stosowania przepisach spotykają się sprzeczności, które z sobą trudno nieraz pogodzić, wynika istny chaos bez wyjścia. Praktyka radzi sobie jak może, bo radzić musi, rozcinając po prostu jakby mieczem węzeł gordyjski, którego niepodobna zasadniczo rozwiązać. Oczywiście, zamiast bezładnego zestawienia różnorodnych regulaminów, należało ułożyć uzupełniające do kodeksu cywilnego przepisy o sporządzeniu działu i sprzedaży nieruchomości dla podziału, tak, jak to miało miejsce w kodeksie procedury francuzkiéj, a wskazówki były do tego gotowe w art. 966 do 985 tegoż kodeksu.

I dopóki zmiana w tym duchu nie zostanie dokonaną, dopóty kwestya się nie załatwi. O przedmiocie tym, nadającym się do obszerniejszego rozbioru, zamierzamy oddzielnie się rozpisać. Inne przedmioty, o jakich rozbierana ustawa traktuje, wyszły szczęśliwiéj z pod pióra redakcyjnego, bo téż bardziéj wiernemi pozostały swemu pierwowzorowi, jakkolwiek wszelkie odstąpienie i tutaj łączyło się z błędem. Za przykład posłużyć może rozdział o upoważnieniu kobiety zamężnéj do działania bez asystencyi męża. Jak wiadomo, podług zasad prawa cywilnego, w kraju obowiązującego, kobieta zamężna do czynności życia cywilnego potrzebuje asystencyi męża, lub upoważnienia sądowego, jeżeli mąż asystencyi odmawia.

Co do sposobu pozyskania tego upoważnienia procedura francuzka przepisała drogę tak zwanego szybkiego zadecydowania, przed prezesem trybunału. Nie akceptując podobnéj drogi ustawa

obecnie obowiązująca nakazuje przychodzenie przed sąd okręgowy, z zachowaniem zwykłych koniecznych terminów i formalności. Mniejsza o to, ale w art. 15 ustawa zastrzega potrzebę pozyskania podobnego upoważnienia nawet wtedy, kiedy żona zamierza wystąpić przeciwko samemu mężowi o odjęciu mu zarządu jéj majątkiem z art. 199 kod. cywil., o czém procedura francuzka wcale nie wspominała. Jakiż tego skutek? Rozumie się, że mąż upoważnienia do sprawy przeciwko sobie samemu nie da, a więc żona przed rozpoczęciem sprawy o odjęcie zarządu mężowi musi prowadzić uprzednio przeciwko niemu sprawę o upoważnienie sądowe do działania bez jego asystencyi, a przecież mąż jest obecnym w sprawie, bierze w niéj udział, skoro do takowéj sam zostaje zapozwanym, po cóż więc to nieznane dotąd naszemu prawu cywilnemu upoważnienie do działania bez męża?

Nareszcie, ustawa, o któréj mowa, pominęła całkiem z procedury francuzkiéj rozdziały o prawach właścicieli nieruchomości i dóbr ziemskich na rzeczach najmobierców, o zajęciu u niemiejscowych dłużników i o zajęciu celem odzyskania. W przepisach tych procedura francuzka zapewniła prezesowi sądu (trybunału) doraźną władzę, zwaną dyskrecyonalną, w wypadkach nagłych i niecierpiących zwłoki, gdzie faktyczne okoliczności dla obrony zagrożonych praw obywateli wymagają wyjątkowego działania po za obrębem zwykłych terminów i formalności. Redaktorowie ustawy w tém pominięciu jakoteż w redakcyi niektórych innych ustępów zdradzili widoczną niechęć do zachowania owéj dyskrecyonalnéj władzy, chociaż procedura francuzka z potrzeb życia prawnegc władzę tę zaczerpnęła. Takie pominięcie niczém nie daje się usprawiedliwić. Wprawdzie podobnéj władzy ustawa postępowania cywilnego z r. 1864 wyraźnie nie ustanowiła, lecz duchowi jéj ta władza nie jest obcą, jak to widać z art. 598 i 1249, gdzie chociaż dla innych wypadków i w innéj postaci, jednakże wyjątkowa prezydyalna władza istnieje z rozporządzeń saméj ustawy. Jeżeli więc tą ustawą redaktorowie rozbieranéj przez nas ustawy się krępowali, to, jak widzimy, krępowali się niesłusznie. Przy stosowaniu z takiemi zmianami wprowadzonéj procedury cywilnéj zdarzają się trudności językowe, podobnie jak już mówiliśmy przy procedurze karnéj. W sprawach prowadzonych w sądach ogólnych, gdzie strony przedstawiane są przez adwokatów przysięgłych znających język urzędowy, trudności tych nie widać, zwłaszcza że najuciążliwsze w téj mierze dla sądów badania świadków rzadziéj się przytrafiają, aniżeli w procesach karnych, natomiast u sędziów pokoju, u których strony najczęściéj same stają, ustępstwa dla miejscowego języka ze strony sędziego wynikają

z konieczności; na téj drodze dopiero sędzia, o ile zna język, ułatwia sobie zadanie, unikając ciągłych nieporozumień i kwestyj. Nie obchodzi się jednak tak u sędziów pokoju jak i w sądach ogólnych bez wypadków, w których strony dla nieznajomości języka urzędowego pozbawione bywają głosu i obrony.

Najgorszą stroną w funkcyonowaniu obecnéj procedury cywilnéj stanowią zaległości w sprawach cywilnych w drugiéj instancyi. Przez pierwszą instancyą to jest przez sąd okr., z wyjątkiem jednego sądu Piotrkowskiego, sprawa przechodzi prędko, ale, gdy się dostanie do drugiéj instancyi, nastaje dla niéj wyczekiwanie, które latami ciągnąć się może. Ten stan rzeczy razić musi zwłaszcza pamiętających szybki bieg spraw przy procedurze francuzkiéj, kiedy w sporach wymagających pośpiechu np. egzekucyjnych, w ciągu trzech miesięcy przechodziła sprawa przez trzy instancye, a nawet w sprawach zwyczajnych przy czujności stron w ciągu roku wyroki trzech instancyi zapadały. W tym bolesnym punkcie organizacyi niepodobna dosyć gorąco nawoływać o poprawę i ratunek.

§ 8. Zakończenie.

Tym sposobem, niedotykając zasadniczych podstaw nowowprowadzonych ustaw, reforma sądowa, jak widzimy, już w zakresie funkcyonowania organów sądowych i procedur otwiera pole do dezyderatów.

Na pierwszym planie postawić należy rozszerzenie etatów sądów okręgowych, a mianowicie dziewięciu prowincyonalnych o dwóch, zaś Warszawskiego o pięciu a raczéj ośmiu członków (w obec zwinięcia w tym roku trzech posad), jak również rozszerzenie etatu izby sądowéj przez otworzenie dwóch nowych departamentów cywilnych i jednego karnego, z dodaniem jakiegoś oddzielnego kompletu czasowego na wysądzenie zaległości w sprawach kryminalnych. Tylko w razie wprowadzenia sądów przysięgłych dzisiejsze siły kryminalnego departamentu izby nie wymagałyby zwiększenia, a nawet z czasem po załatwieniu zaległości mogłyby dozwolić na redukcyą.

Kwestya finansowa, jaka z rozszerzeniem etatów łączyć się koniecznie musi, gra poważną rolę, ale wymiar sprawiedliwości nie może szwankować z tego powodu. Brak należytéj represyi karnéj podkopuje moralność, a powolny bieg spraw cywilnych ujemnie oddziaływa na wymianę ekonomiczną, co wszystko zasługuje na większe uwzględnienie, aniżeli strona finansowa; zresztą można nawet

znaleść i środki bez obciążenia budżetu państwa. Oto przykład. Wedle urządzenia komisarzy sądowych pobierają oni przy sądach okręgowych po rs. 600, co na 55 osób urzędujących przy tych sądach stanowi rocznie 33,000, przy zjazdach znowu mamy komisarzy 44 z pensyą po rs. 400, co czyni rocznie rs. 17,600, razem etat komisarzy sądowych wynosi rs. 48,200. komisarze sądowi, gdzieindziéj nie pobierają pensyi, wybór ich pozostawia się stronom interesowanym, które pokrywają koszta dokonanych czynności, gdyby zasadę tę zastosować do nas, powstałaby co rok oszczędność w powyższéj kwocie, któraby dała się obrócić na inne potrzeby, Po uważném rozpatrzeniu wyszukałyby się zapewne inne jeszcze źródła oszczędności, które dostarczyłyby funduszu na nowe wydatki.

Dla sądów okręgowych prowincyonalnych, oprócz warszawskiego, dałoby się rozszerzyć siły osobiste bez kosztu przez powołanie do spraw handlowych sędziów ze sfery kupiectwa wybieralnych, którzy sądziliby te sprawy pod prezydencyą jednego z członków miejscowego sądu. Wystarczyłoby zaprowadzić w tych sądach oddzielny rejestr do spraw handlowych, aby bez żadnych wewnętrznych zmian pozyskać znakomite ułatwienie, które zmniejszając trud sądu przy tych sprawach pozwoliłoby mu więcéj sił i pracy poświęcić na sprawy innéj kategoryi. Z tak założonego rejestru sąd okręgowy sądziłby sprawy handlowe na wzór sądu handlowego warszawskiego.

W równym stopniu nagłości z rozszerzeniem etatów stoją: reforma instytucyi sędziów pokoju i ustanowienie rady obrończéj. Te dwie zmiany nie łączą się z kwestyą fiskalną, a tém samém niezależne są od téj przeszkody, jaką powyżéj rozbieraliśmy.

W dalszym szeregu przykładowo wymienimy sąd przysięgłych i rewizyą ustawy o postępowaniach szczególnych, pomijając już inne rzeczy.

Adolf Suligowski.

Lauda połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego

ZA PANOWANIA AUGUSTA II.

Na zjeździe Długoszowym w Krakowie odezwali się, pośród innych głosów i wniosków niewątpliwéj naukowéj wagi i pożyteczności, ksiądz Waleryan Kalinka i autor niniejszéj rozprawy, z projektem zbierania i wydawania tak zwanych *laudów* ziem i województw dawnéj Polski, jako jednego z głównych źródeł, późniejszych jéj mianowicie dziejów. Bez wątpienia: jeżeli *zewnętrzne* dzieje Polski są dość dokładnie znane z dzieł pisarzy krajowych i obcych, jeżeli przebieg wypadków wojennych i tajników akcyi politycznéj posiada główny źródłowy zasób w archiwach zagranicznych, mieści się całość dziejowéj prawdy domowéj, miejscowéj, wewnętrznéj w archiwach naszych rodzin i naszych grodów, w tak zwanych *Księgach relacyjnych*, w *laudach* sejmików wojewódzkich. Nie przesądzając ani treści, ani wartości *laudów* innych ziem i województw Rzeczypospolitéj, ograniczamy nasze ocenienie i sprawozdanie na materyale, dotyczącym epoki, która jest specyalnym przedmiotem naszych badań, na *laudach* połączonych województw kaliskiego i poznańskiego w mieście Środzie, z epoki panowania Augusta II.

Nim przystąpimy do rzeczy, obeznajmy się z jéj widownią.

Oba województwa wielkopolskie stanowiły szeroki klin pograniczny, obramieniony Nową Marchią, Pomorzem i Szląskiem. Województwo poznańskie, składające się z powiatów: poznańskiego, kościańskiego, wałeckiego i ziemi wschowskiéj, stanowiło najdaléj ku zachodowi wysunione pogranicze Rzeczypospolitéj, skazane na częste zatargi nadgraniczne ze „złym brandeburskim sąsiadem", lub kamerą szląsko-cesarską we Wrocławiu. Było zamieszkane przez szlachtę, po większéj części średniego mienia, ale liczną; posiadało

na swym obszarze miasta królewskie i prywatne, pośród których jako większe, zamożniejsze i ludniejsze zapisują się urzędowo: Poznań, Wschowa, Kościan, Międzyrzecz. Liczne starostwa, liczniejsze jeszcze dobra kościelne, klasztorne i biskupie. Ludność wiejska zawiera rozmaite kategorye ludzi luźnych, komorników, wyrobników; następnie zagrodników, owczarzy, młynarzy, potażników, sołtysów, kolonistów niemieckich, zwanych „*Olędrami*“. Miasta prywatne nad granicą szląską, jak Leszno, Rawicz, Miejską Górkę, Zaborowo, Bojanowo, widzimy w stanie pewnéj zamożności. Kwitnie w nich, mianowicie, przemysł sukienniczy. Mają miasta owe, królewskie zwłaszcza, swoich prezydentów, swój rząd ławniczy, swoję administracyą i swoje sądownictwo,—wszystko razem jednakże, zależne, w znacznéj części, od generała wielkopolskiego, od postanowień odbywających się sejmików wojewódzkich. Bratnie poznańskiemu województwo kaliskie, tworzyło długi a wązki pas od ziemi wieluńskiéj aż za Noteć, między województwem poznańskiém, a inowrocławskiém, brzesko-kujawskiém, łęczyckiém i sieradzkiém. Składało się ono z powiatów: kaliskiego, konińskiego, pyzdrskiego, gnieznieńskiego, kcyńskiego i nakielskiego. Wskazane wyżéj warunki natury społecznéj stosują się dosłownie niemal i do województwa kaliskiego, z tą może tylko maleńką modyfikacyą, że utrapienia pograniczne, będące ciągłym kłopotem województwa poznańskiego, nie dotykają kaliskiego, a że jako główne jego i zamożniejsze miasta figurują: Kalisz, Konin i Gniezno. Liczne grody, z pisarzami, z regentami, jako instancye zawierania kontraktów, składania skarg i zażaleń, ogłoszeń różnych aktów doniosłości politycznéj, jako miejsca depozytów kosztowności, pieniędzy i dokumentów,—zajmują całą przestrzeń obu województw. Znajdują się, mianowicie, grody w Poznaniu, w Kościanie, w Międzyrzeczu, we Wschowie, w Ostrzeszowie, w Kaliszu, w Koninie, w Pyzdrach, w Gnieznie, w Kcyni, w Nakle, w Wałczu.

Nie potrzeba przypominać, że w obec rozwiniętego i ukształtowanego do najniższych szczebli samorządu gminnego, starożytna Polska stałéj i regularnie funkcyonującéj machiny administracyjnéj nie posiadała, a że pod tym względem wyręczały ją postanowienia zbierających się od czasu do czasu, od kilku dni do kilku tygodni lub miesięcy sejmików ziem i województw. Sejmiki zbierały się w sposób dwojaki, bądź to za uniwersałami króla, prymasa, wojewody, bądź to w skutek własnéj swéj uchwały, z oznaczeniem terminu. Pierwszego rodzaju sejmiki nosiły nazwę sejmików z *uniwersałów* drugie nazwę sejmików z *limity*. Uniwersały, zwołujące sejmik, były oddawane do grodu, następnie rozsełane po powiatach, a termin ich i miejsce ogłaszane z ambon po parafiach, lub przez burmistrzów po

miastach. Takim téż sposobem były ogłaszane sejmiki z limity. Procedura sejmikowych obrad była następna: zgromadzone mniéj lub więcéj liczne w miejscu zwykłych swych obrad tak zwane „Rady duchowne y świeckie, dygnitarze, urzędnicy y całe rycerstwo“ ziemi lub województwa obierały sobie „marszałka rycerskiego koła“, z pośród osobistości możniejszych, popularnych stanu rycerskiego, reprezentujących nadto zawsze zwycięzki chwilowo prąd polityczny. Tak np. są nam wśród zmiennych kolei pierwszéj połowy panowania Augusta II same imiona i osoby wybieranych przez szlachtę marszałków koła rycerskiego najlepszym barometrem powodzenia jednego lub drugiego z wojujących stronnictw. Po wyborze marszałka, jeżeli nań była ogólna zgoda, a sejmik nie zerwany, przystępowała szlachta do obrad i czynności, będących powodem, a następnie przedmiotem zebrania, wybierała bądź to posłów na sejm, bądź delegatów do podskarbiego koronnego, do prymasa, do hetmanów, niekiedy do dowódzców wojsk zagranicznych ku przestrzeganiu dobra wojewódzkiego. Uchwalały nadto sejmiki różnego rodzaju podatki na potrzeby wojewódzkie, szelężne i czopowe, pogłówne i podymne, w różnych czasach i w różnych okolicznościach, różnéj wysokości; uchwalały daléj tak zwane „podnoszenie wojewódzkich chorągwi“, z oznaczeniem ich liczby, terminu służby, płacy. Ustanawiały prócz tego podatki na podniesienie z ruiny kościołów, podupadłych budynków grodowych, fortyfikacyj, niekiedy kamienic prywatnych po miastach, na reparacyą dróg i mostów, na wsparcie instytucyj naukowych, niekiedy prywatnych przemysłowców i kupców, właścicieli drukarni i „bibliopolów“. Całego obszaru rozległéj działalności sejmików nie jesteśmy w stanie i w chęci objąć niniejszą wstępną uwagą; znajdzie się do tego sposobność niżéj, przy szczegółowém sprawozdaniu, ze zbioru znajdujących się w naszym ręku dokumentów, a tymczasem powiedzmy tylko, że treść sejmikowych obrad, wraz z ich rezultatem, z wszelkiemi ich uchwałami, spisana dokładnie przez sekretarza zjazdu, podpisana przez marszałka, stanowiła dokument, noszący techniczną nazwę „*lauda*“ i była następnie oddawana do grodu.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, nie trudno wyciągnąć wniosek, jak nieobliczonéj wagi źródłem do obeznania się z wewnętrznym organizmem Polski są te „*lauda*“, jaką usługę wyświadczyłaby naszemu dziejoznawstwu naukowa instytucya, która by je w jak największym, o ile możności, komplecie zebrała i drukiem ogłosiła. Zadanie, prawda, mozolne, kosztowne, olbrzymie, ale opłacające się sowicie naukowym plonem. Przesuwają nam się w dziejowém kalejdoskopie postacie znanych bohaterów wojen, przedstawiają się jaskra-

we obrazy stoczonych bitew. Otwierające się powoli archiwa różnych państw europejskich, odsłaniają tajniki gry dyplomatyczno-politycznéj. Jakże przecież te wojny, te bitwy, te frymaki dyplomatów, te popisy bohaterów odbiły się na współczesnéj fizyonomii kraju; jak się znalazł w obec nich szlachcic w swym dworku, mieszczanin na bruku ze swym warsztatem czy browarem, chłop w swéj chacie, zakonnik w swym klasztorze; jakie niezatartéj prawdziwości piętno wyryła straszna burza w troistéj swéj postaci pożogi, rabunku i dżumy, na obliczu współczesnéj, przędzącéj nić powszedniego żywota społeczności?—Na to pytanie są nam dać jedynie w stanie wyczerpującą odpowiedź zebrane w całości *lauda*. Przypatrzmy się im w naszéj epoce panowania Augusta II, od chwili, odkąd zwycięztwo Szweda pod Poniecem, w listopadzie roku 1704, daje jaką taką możność utrwalenia się efemerycznéj królewskości Stanisława Leszczyńskiego, a rozpocznijmy znów nasze sprawozdanie, od rozpatrzenia się po klasycznéj widowni wojewódzkich zjazdów i obrad. Polityczną stolicą obu połączonych województw kaliskiego i poznańskiego, było położone o cztery mile od Poznania, miasteczko Środa, o którém dałoby się nieledwie to samo powiedzieć dzisiaj, co Mickiewicz powiada w swym *Popasie w Upicie*.

„Gdzie były rynki ludne, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem",

Szukać by istotnie nadaremno w dzisiejszéj Środzie jakichbądź śladów minionéj, pokaźnéj, przeszłości politycznéj, a jednym jéj pomnikiem piękna i wspaniała, ze ściętą u góry wieżą, obwiedziona dokoła murem kolegiata. Jeżeli tabor bryk, wozów, koni, żywności i służby szlacheckich zalegał podczas odbywających się letnią, zwłaszcza, porą rozległe równiny wsi okolicznych, jak np. w r. 1703 wsi Nadziejowa, to widownią poważnych obrad i uchwał szlacheckich był wspomniany cmentarz około kolegiaty w samém mieście, a nadto wnętrze samegoż kościoła. Ciekawa istotnie widownia, którąby wiele powiedzieć mogła, gdyby mówić umiała. Tutaj to „*stał się huczek*" w maju roku 1670, przeciw niecnemu jurgieltnikowi elektora brandeburskiego Krzysztofowi Grzymułtowskiemu, kasztelanowi poznańskiemu. „Jegomość Pan Trąmpczyński" poczęstował go pierwszy obuchem, szlachta pokiereszowała na dobre szablami. Tutaj to urodziła się z naprawy szwedzkiéj, pod patronatem Jana Sapiehy, starosty bobrujskiego i Stanisława Poniatowskiego, konfederacya średzka, mająca późniéj wyrość na wielkopolską, a jeszcze późniéj na generalną warszawską i posłużyć za narzędzie detronizacyi Augusta. Dalsze czasy i wypadki obrały sobie téż samę widownię.

Według przechowującéj się tradycyi miejscowéj, obradowała szlachta, często naturalnie gwarno i kłótliwie, w głównéj nawie kościelnéj. Sekretarz sejmiku siedział tymczasem w bocznéj kaplicy po za kratą zamkniętą na klucz, aby na spisywany przezeń protokół namiętność stronnicza w czynny sposób wpływać nie mogła.

Na takiéj to widowni, w takim to miasteczku, wśród podobnego otoczenia toczyły się narady, przychodziły do skutku postanowienia, o których niżéj mowa. Rzecz nasza rozpoczyna się z pierwszemi dniami grudnia r. 1704.

W interesie zrozumiałości rzeczy wypadnie nam znów przed zstąpieniem do dziejów wielkopolskiego, zaściankowego wnętrza, rozpatrzéć się pokrótce w ogólném ówczesném położeniu politycznem i wojennem. Jest to chwila zupełnego na widowni polskiéj szwedzkiego tryumfu, najdoszczętniejszego, do pewnego stopnia dobrowolnego pogromu saskiego. Karol XII wygonił Augusta z Polski, przeparł pod Poniecem Schulenburga za granicę szląską, Patkula pod Zbąszyniem za granicę nowo-marchijską i rozłożył się sam główną kwaterą w Rawiczu, tuż w pobliżu bawiącego w Rydzynie Stanisława Leszczyńskiego. Korpus Renskiölda rozłożył się równocześnie między Poznaniem, a granicą brandeburską, maleńkiemi załogami w miasteczkach Kaźmierzu pod Szamotułami, w Obornikach, Wronkach, Międzychodzie, Skwierzynie, Międzyrzeczu. Główna kwatera samego generała znajdowała się w Konarzewie, pięknéj posiadłości Jędrzeja Radomickiego starosty Osieckiego. Poznań sam miał po oswobodzeniu od oblężenia Patkulowego załogę szwedzką pod dowództwem pułkownika Liliehöka. Król August tęskniący w téj chwili namiętnie za pokojem, poszukujący go rozmaitemi godziwemi i mniéj godziwemi środkami, bawił, a raczéj bawił *się* w Dreznie; prymas w odległym Gdańsku; świeżo nawrócony do sprawy Augustowéj, w. hetman koronny Hieronim Lubomirski, wraz z całą rodziną Lubomirskich, wraz z innymi wybitniejszymi zwolennikami Sasa w Krakowie, w Tuknowie, w Wiśniczu na przemian; reszta dygnitarzy, jak np. Andrzej Załuski w. kanclerz, jak Jan Szembek, podkanclerzy koronny przy boku królewskim w Dreźnie. Słowem, rozbicie całego urzędowego organizmu rzeczypospolitéj jak najzupełniejsze, jeden król po za granicami kraju, drugi uznawany tak daleko tylko, jak sięgała opieka szwedzka. Jakże pośród tego ogólnego obrazu smutku i żałoby przedstawiają się oba województwa w swém domowém wnętrzu? W grudniu r. 1704 właśnie zawisł nad niemi, jak widzimy, cały ciężar szwedzkiéj przewagi. O jakiejbądź, po dzisiajszemu powiedziawszy, swobodzie politycznéj kraju nie ma mowy. Interwencya dobroczynnego Stanisława może co najwięcéj temu

i owemu szlachcicowi wyjednać „libertacyą“ od kontrybucyi dla wojska szwedzkiego, okazuje się przecież bezskuteczną w obec sądów wojennych szwedzkich, które skazują na rozstrzelanie mniéj lub więcéj oporną szlachtę. Lata 1703 i 1704 są w obu województwach Wielkopolski datami pewnéj opozycyi, na rzecz Augustowéj sprawy. Jeżeli osobistości mniéj lub więcéj wpływowe, jak Mikołaj Święcicki, biskup poznański, jak Piotr Bronisz, starosta pyzdrski, jak Frańciszek Poniński, starosta kopanicki, jak Adam Poniński, starosta babimojski, jak Władysław Poniński, mąż osobistego zaufania Stanisława Leszczyńskiego, jak Frańciszek Radzewski, starosta wschowski, jak Władysław Bronikowski, podstoli wschowski, świecą w szeregach stronnictwa szwedzkiego i stają się jądrem antiaugustowéj konfederacyi wielkopolskiéj,—występują inni, w Kościanie, z rekonfederacyą na rzecz królewską. Na czele owéj opozycyi, przeciw opozycyi, widzimy rodziny Szółdrskich, Radomickich, Dąbskich, Kołaczkowskich, Zakrzewskich. Rozumie się, że z chwilą zwycięztwa szwedzkiego nad Augustem i Schulenburgiem, cały ów zastęp osób reprezentujących stronnictwo Augusta znika z widowni, by—czy to na sejmikach w Środzie, czy przy boku króla Stanisława, czy w deputacyach wyprawianych do króla szwedzkiego w Rawiczu, lub do prymasa w Gdańsku—ustąpić miejsca wypróbowanym zwolennikom sprawy neoelekta. Najpopularniejszą wtedy, najdostrzegalniejszą w Wielkopolsce postacią jest Frańciszek z Bnina Radzewski, starosta wschowski, mąż pióra i dojrzałéj rady, któryby może wśród innego otoczenia i w innych czasach był wyrósł na istotnego męża stanu, na „statystę“, jak mawiali nasi przodkowie. Współczesny jego, oddrukowany w dziele Nordberga protest przeciw kuryi rzymskiéj, z powodu oddania pod cenzury kościelne prymasa Radziejowskiego i biskupa poznańskiego Święcickiego, za czyny czysto świeckiéj i politycznéj natury, pozostanie dowodem nie mniéj zręczności siły i pióra, jak dokładnéj znajomości praw ojczystych, niezaprzeczalnego, a tak rzadkiego w owéj epoce zapału patryotycznego. Obok niego, ale na niższém o wielu miejscu wspomniéć należy Aleksandra Gurowskiego, miecznika poznańskiego. Zresztą nie zbywa na innych, mniej lub więcéj, głośnych popularnościach i sławach wojewódzkich, o których niżéj będzie mowa. Co natomiast uderza, to zupełna prawie nieobecność *senatorów* wielkopolskich w ówczesnéj wojewódzkiéj radzie. Nie widać ich, mimo powtarzających się za nimi w *laudach* tęsknot szlacheckich nie widać, co dziwniejsza, samegoż Piotra Bronisza marszałka konfederacyi warszawskiéj, który bawi wtedy przy boku prymasowym w Gdańsku. Pozostawałaby jeszcze w ówczesnych stosunkach wojewódzkich jedna do uwzględnienia strona.

Jest nią strona *materyalna*. W ocenieniu jéj, w téj właśnie chwili, trzeba przyznać, że ucisk ciążący nad szlachtą i wieśniactwem, jakkolwiek dokuczliwy, nie był jeszcze naówczas tak strasznym, jak się wyrobił w późniejszych latach, wśród pobytu „wojsk auxyliarnych J. K. Mości saskich i carskich", według oficyalnéj terminologii naszego źródła. Prawda, że wojsku szwedzkiemu trzeba było dostawiać ze wsi zboża, mąki, chleba i furażu; prawda, że trzeba było płacić kontrybucye pieniężne, ale był to przynajmniéj ciężar regularny i nie przedstawiający się w postaci rabunku i gwałtu. Nadto widzimy tu, jak powiedziano już, występującego w charakterze rozjemczéj i opiekuńczéj instancyi, poczciwego króla Stanisława, który co chwila wyrabia szlachcie rozmaite ulgi i „libertacye". Cięższą może była dola miast i miasteczek obsadzonych przez Szweda. Dokładne dość wiadomości mamy, mianowicie z owego czasu, o Poznaniu samym. Prezydent ówczesny jego, Paweł Pothun, blaga nadaremno obecnego przez dni kilka listopadowych r. 1704 w murach poznańskich króla szwedzkiego o ulgę w ciężarach wojennych. Mury miasta poszczerbione w czasie oblężenia: kamienice zniszczone, mianowicie, na ulicy Wrocławskiéj i Wronieckiéj, gdzie się bombardowanie Patkulowe głównie srożyło. Prócz chleba, piwa, wódki, nadzwyczajnych dostaw, opłacało miasto na załogę szwedzką 2000 tynfów tak zwanych tygodniowych pieniędzy: ciężar straszny i srogi, zważywszy zwłaszcza nędzę ówczesnych stosunków handlowych i niewielką, zaledwie 13 — 14000 wynoszącą liczbę mieszkańców miasta. Miały jednakże przyjść gorsze jeszcze czasy i klęski.

A teraz rozpatrzmy się, z *laudami* w ręku, jak się przedstawiała *w skutek* wojny i *wśród* wojny moralna i polityczna fizyonomia kraju, jak się ówczesna społeczność „opędzała biedzie", by mówić pospolitym językiem; jak się wśród nieustającéj zaniewieruchy rządziły oba województwa. Aby podobną mozajkę nieprzeliczonych a różnorodnych przez długie lata szczegółów wprowadzić w pewien ład i system, aby je ugrupować i w zrozumiałém świetle przedstawić, wypadnie nam materyał rozklasyfikować chronologicznie i politycznie na epokę rządów Leszczyńskiego od r. 1704 do 1709, następnie na epokę rządów restaurowanego króla Augusta od r. 1709 do r. 1727. Dalsza klasyfikacya i ugrupowanie nastąpią według różnicy, jaką przedstawia treść sama materyału.

Co się tedy tyczy zewnętrznéj, moralnéj i politycznéj fizyonomii, jaka się wychyla tak w jednéj, jak i w drugiéj epoce, a mianowicie w *pierwszéj* z pod przymusu szwedzkiego i wojennych dolegliwości, — nie należy się w charakterystyce jéj oddawać zbyt optymistycznym złudzeniom o bucie, o oporności, o indywidualizmie szla-

checkim, często może błędnym i zdrożnym, ale umiejącym przecież, nibyto, w danych razach, „pokazać hardą duszę w ubogiém ciele". Otóż *téj* właśnie strony, owéj dumno-szlacheckiéj buty, w obec jakiegobądź najezdnika, nadaremno byśmy szukali w naszych *laudach*. Szlachta wielkopolska, jak widzimy, umie się przez owo pięciolecie panowania szwedzkiego, liczyć z okolicznościami. Mimowolnie szukamy, a chcielibyśmy znaleść, w stosie *laudów* średzkich z epoki przewagi szwedzkiéj i panowania Leszczyńskiego aż do bitwy pułtawskiéj jakiegokolwiekbądź energiczniejszego znaku życia, jakiegobądź objawu samodzielnéj woli na owych sejmikach, w łonie zgromadzeń rycerstwa. Nadaremna to przecież robota. Wszędzie tylko oświadczenia wierności i uległości dla IMci króla Stanisława, wśród rzadkich wycieczek przeciw konfederacyi sandomierskiéj i zwolennikom Sasa. Od czasu do czasu utyskiwania „nad rozdarciem rzeczypospolitéj i nieszczęśliwościami naszéj ojczyzny", wyprawianie deputacyi dla wyjednania zwolnień od ciężarów i kontrybucyj wojennych, wreszcie najdoskonalsza rezygnacya jako zasadniczy akord zbiorowego usposobienia owéj epoki. Jeżeli materyał nasz bardzo obfity w dziedzinie wewnętrznego zarządu, administracyjnego mechanizmu połączonych obu województw, nie przedstawia równéj obfitości zasobu dla *zewnętrznych* dziejów politycznych i wojennych. Przypatrzmy się jednakże nasamprzód *téj* jego stronie w epoce pomiędzy bitwą poniecką, a pułtawską, aby następnie rozpatrzéć się w szczegółach *wewnętrznych* stosunków.

Najpolityczniejszym, jeżeli tak wolno powiedziéć, najwięcéj jeszcze światła na ogólną sytuacyą rzucającym aktem jest odbyty dnia 2 grudnia 1704, wnet po bitwie ponieckiéj i usadowieniu Karola XII na zimowych leżach Rawickich, w Srodzie, pod laską Franciszka Radzewskiego sejmik „za uniwersałami króla Stanisława I". Zgromadzona szlachta wydaje uroczyste oświadczenie, uznające królewskość Leszczyńskiego, poleca marszałkowi koła rycerskiego, aby wydał manifest przeciw konfederacyi Augustowéj w Sandomierzu, „jako radzącéj o nas bez nas", manifest ułożony wspólnie z dwunastu osobno na tenże cel obranymi deputatami. Z protestem tym przeciw konfederacyi sandomierskiéj łączy szlachta drugi protest przeciw misyi podskarbiego koronnego Przebendowskiego, którego król August wyprawił równocześnie do Berlina. „Ponieważ niewiadomo, co pod tém *haeret*", uchwala szlachta przeciw owemu poselstwu protest, który ma być zaniesiony do grodów Kościańskiego i Wschowskiego. Osobne nadto od obu województw deputacye mają wychodzić do króla Stanisława, do króla szwedzkiego, do prymasa i Bronisza marszałka konfederacyi warszawskiéj w Gdańsku. Prymas ów,

znękany naówczas, usuwający się z widowni spraw publicznych prymas ma obmyślać środki „połączenia rzeczypospolitéj", marszałek Bronisz, bawiący przy boku prymasa w Gdańsku, odbierać niezasłużone podziękowania „za podjęte trudy około dobra województw". Szlachta biedna tęskni za pokojem, a prymas uchodzi w jéj oczach zabobonnie niemal za instancyą, która posiadając talizman uspokojenia i połączenia Rzeczypospolitéj, jest zarazem w możności obdarzenia kraju pożądanym pokojem. *Najpolityczniejszym* przecież aktem zjazdu średzkiego jest polecenie, udzielone marszałkowi Radzewskiemu, aby wypracował i wyprawił do ojca św. protest przeciw uwięzieniu i wywiezieniu do Saksonii skompromitowanego przez elekcyą Leszczyńskiego, biskupa poznańskiego, Mikołaja Święcickiego. Z polecenia ostatniego wywiązał się, jak już wspomnieliśmy wyżéj, starosta wschowski, w sposób, czyniący równy zaszczyt jego talentowi pisarskiemu, jak dyalektyce i znajomości ojczystego prawa.

Bawi tak w Gdańsku przez dziewięć pierwszych miesięcy roku 1705 prymas, a jeżeli jest celem licytacyjnego targu między królem szwedzkim a Augustem, jeżeli wchodzi w podejrzane stosunki z dworem berlińskim, usiłuje nie mniéj przez starostę pyzdrskiego Bronisza, przez deputatów sejmikowych Gurowskiego i Bardzkiego utrzymywać wpływ swój w województwach wielkopolskich. Wpływ ten uwydatnia się mianowicie przez powzięte na sejmiku z dnia 15 grudnia 1704 r. postanowienie wsiadania na koń „za uniwersałami księcia prymasa". Gdyby uniwersały te województw z powodu jakichbądź przeszkód nie miały dojść do skutku,— gotowe województwa i bez nich gromadzić się do boku króla Stanisława i przystąpić do organizacyi obronnéj siły domowéj. W tym celu uchwalają według technicznego terminu owéj epoki „podniesienie dwunastu chorągwi", po 122 koni, każdéj z osobno obranym rotmistrzem na czele. Między rotmistrzami spotykamy się z nazwiskami Zebrzydowskiego starosty rogozińskiego, Andrzeja Przyjemskiego, kasztelanica chełmińskiegy, Jana Grudzińskiego, kasztelanica rogozińskiego. Na czele całéj téj siły zbrojnéj obu województw ma jako pułkownik stanąć Władysław Bronikowski podstoli wschowski. Rozkwaterowanie tych nowych chorągwi, rozłożonych późniéj nieco ku niesłychanemu rozdraźnieniu prymasa w dobrach duchownych i biskupich województwa poznańskiego, ma zależéć od rozporządzenia samego „Króla Jegomości", odbywać się z należną dyscypliną, „bez aggrawacyi ubogich ludzi". Osobno wybrana na ten cel, z ośmiu członków składająca się, komisya miała zasiąść w Poznaniu od dnia 1 stycznia 1705 i zająć się dziełem organizacyi chorągwi wojewódzkich. Służba

w nich miała się rozpocząć z dniem 1 lutego 1705, trwać ze strony tych, co wzięli z góry zapłatę, przynajmniéj rok cały. Każdy rotmistrz miał pobierać rocznie 6000 złotych, towarzysz na jednego konia 70 złotych. Uczestnicy organizującéj owe chorągwie komisyi mieli dostawać po 2000 złotych, fundusze zaś na ten cel być opędzane z szelężnego dóbr szlacheckich, duchownych, miast i miasteczek. Prócz tego przeznaczono dziesiąty grosz całego wojewódzkiego szelężnego na potrzeby owéj komisyi. Późniéj nieco, stosownie do uchwały powziętéj na sejmiku średzkim z dnia 9 marca 1705 podwyższono „dla zwiększenia ochoty“ płacę towarzysza z 70 na 100 złotych a nadto postanowiono ku obronie króla Stanisława utworzyć zastęp 1200 piechoty ze służbą liczącą się już od dnia 1 lutego 1705. Naczelne dowództwo téj piechoty oddano pułkownikowi Andrzejowi Skórzewskiemu, organizacyą jéj miała się również zajmować wspomniana komisya, koszta miały być pokrywane z oddawanéj „na komisyą“ *sympli* pogłównego. Żydzi mieli jako osobny na tęż organizacyą podatek płacić „czworo podymnego.“ Jak widzimy jednakże z dalszego ciągu uchwał, nie starczyły te fundusze na utworzenie zakrojonéj na 2664 ludzi siły zbrojnéj wojewódzkiéj.

Już pod koniec marca 1705 uchwaliły województwa drugą „symplę“ pogłównego wraz z dodatkiem po 1500 złotych do płacy rotmistrzów, „aby się kontentowali samym dachem.“ Nowo-zaciężne chorągwie miały być rozłożone w dobrach biskupstwa poznańskiego, przyszły istotnie z wiosną r. 1705 do pewnego ładu i składu a popis ich generalny miał się odbyć dnia 30 czerwca pod klasztorem Ołobockim nad Prosną. Jak popis ten szlacheckich chorągwi i nowo-zaciężnéj piechoty wypadł, nie da się ocenić i wyrozumiéć ze źródła, jakie mamy w ręku. Co natomiast rzeczą niewątpliwą, to że nowo-utworzona siła zbrojna nie była zdolną przeszkodzić bieganinom po kraju i rabunkom tak zwanych „kup swawolnych“ przeciwnéj strony. Adam Śmigielski starosta gnieznieński, naówczas jeszcze zwolennik sprawy Augustowéj, zapuszcza się raz po raz i w strony poznańskie, oddaje odwiedziny Lesznu i Kościanowi, ściąga kontrybucye, daje się dokuczliwie we znaki przeciwnikom Sasa, szarpie małe oddziały szwedzkie, przejmuje transporty żywności i furażu. Nie znajdujemy śladu, aby się z nim nowo-utworzona siła zbrojna była gdziekolwiekbądź zmierzyła. Pierwszy ślad obecności owéj *armii wojewódzkiéj*, jeżeli ją tak wolno nazwać, znajdujemy dopiero w zwycięzkiéj bitwie szwedzkiego generała Renskiölda przeciw Schulenburgowi pod Wschową dnia 13 lutego 1706. Chorągwie wielkopolskie pospolitego ruszenia, traktowane niestety w sprawozdaniach szwedzkich Nordberga i Adlerfelda z pewném lekceważeniem,

znajdują się w tėj bitwie w liczbie trzech, a więc w poczcie niespełna czterechset koni, na lewem skrzydle wojska szwedzkiego pod bezpośrednią komendą generałów Buchwalda i Hummerhielma. Później nie spotykamy się już z ich działalnością. Mianowicie uderza nas ich nieobecność na widowni wojennėj, kiedy krótko przed bitwą kaliską (w październiku 1706) Śmigielski pojawia się w województwie poznańskiém i oddaje zamożnemu miastu Lesznu kontrybucyjną wizytę. Co najwięcėj, zasługują na wzmiankę w owėj porze roku 1706, kiedy napad Schulenburga na Wielkopolskę odparty pod Wschową, kiedy król szwedzki zagrzążł z królem Stanisławem w Pińszczyznie i na Wołyniu a król August wraz z posiłkami carskiemi przebiega przestrzeń między Krakowem, Piotrkowem, Warszawą, Nowogródkiem,—pewne kroki natury politycznėj w postanowieniach wojewódzkich. Tak wśród ciągłych biadań nad nieszczęśliwém położeniem Rzeczypospolitėj, nad rozdarciem „tėj miłėj ojczyzny," nad nieobecnością „Ichmć Panów Senatorów w naszėj radzie," wśród objawów zaufania na rzecz „marszałka konfederacyi generalnėj Bronisza," również nieobecnego w owėj radzie, uchwala szlachta na sejmiku średzkim z dnia 26 kwietnia 1706 „płacę zasług chorągwi pana Jana Grudzińskiego starosty rawskiego," sławnego w owėj epoce szwedzkiego partyzanta, jako „zostającego dotąd na usłudze Rzeczypospolitėj." Późniėj nieco, w *laudum* średzkiem z dnia 14 czerwca t. z. podejmuje po tym pierwszym czynie gotowości wspierania Stanisławowych rządów, szlachta jeszcze wyraźniejsze ku utrwaleniu ich kroki. Po oświadczeniu wierności i gotowych służb na rzecz króla Stanisława, obiera szlachta komisarzy ku odbieraniu od województw przysięgi na wierność dla generalnėj konfederacyi warszawskiėj. W akcie stylowo i politycznie bardzo dobrze zredagowanym, przedstawia zgromadzona szlachta potrzebę owėj zbiorowėj, ogarniającėj cały obszar obu województw przysięgi jako jeden z najskuteczniejszych środków przywrócenia ojczyznie „jedności i pożądanego spokoju."

„Tę przysięgę," mówi *laudum* „wszyscy jako *sacri foederis copulam accipimus*, mając nieomylną nadzieję, że im gorliwiėj sumienia nasze Bogu przy wierze świętey, Panu przy dostojeństwie y prawach obowiążemy, tym większe i stalsze wiary świętey y powszechnego *tam ab intra, quam ab extra* pokoju *stabilietur incrementum.* Uznawszy w ten sposób wykonanie zbiorowej przysięgi na rzecz konfederacyi warszawskiėj za jeden z kardynalnych warunków utrwalenia rządów króla Stanisława, powierzyła szlachta dzieło odebrania jėj bądź to w Poznaniu, bądź w Kaliszu w przeciągu sześciu tygodni (czyli do dnia 27 lipca) jako osobnym komisarzom Franciszkowi Ra-

dzewskiemu staroście, Władysławowi Bronikowskiemu podstolemu, Piotrowi Kozmińskiemu podsędkowi wschowskiemu i Marcinowi z Łaska Słoneckiemu.

Postanowienia szlacheckie, zwykle miękkie, ogólnikowe w dziedzinie politycznéj, wznosiły się na ten raz do pewnego uroczystego nastroju. Od przeszłego już, 1705 roku, znajdowały się oba województwa w stanie pewnego opuszczenia ze strony własnego i Rzeczypospolitéj dygnitarstwa. Nie było prymasa, który bawił w Gdańsku, który wydawał uniwersał na walnę radę warszawską naznaczoną na dzień 11 lipca 1705 i wzywał na nią województwa wielkopolskie, nie przynosząc im aż do chwili zgonu upragnionéj pomocy. Nie było marszałka konfederacyi Bronisza, usunął się na ubocze Maciéj Radomicki generał wielkopolski, wyruszył wreszcie wraz z królem szwedzkim ku Warszawie sam król Stanisław, nie „zdziaławszy zapowiedzianéj ulgi w ciężarach wojennych.“ Wśród takich tedy okoliczności, już po zgonie prymasa, już po bitwie Wschowskiéj, wzięły się województwa same do dzieła swego ratunku, uchwaliły wspomnianą dopiero co przysięgę, postanowiły wzbraniających się i opornych ogłosić „*pro hostibus patriae*,“ oddawały wreszcie jakoby cywilną dyktaturę nad sobą w zastępstwie nieobecnego generała wielkopolskiego Franciszkowi Radzewskiemu staroście wschowskiemu z prawem wydawania uniwersałów i zwoływania szlachty na sejmiki. Jego téż rozkazom poddawały województwa Skórzewskiego pułkownika jazdy i Rozdrażewskiego kasztelanica międzyrzeckiego pułkownika piechoty, jako dowódzców siły zbrojnéj wojewódzkiéj, z poleceniem powściągnienia biegających po kraju „kup swawolnych.“ Nawiasowo powiedzmy jednakże, iż mimo tych marsowych postanowień, które świadczą przynajmniéj o dobréj woli województw w zbudowaniu jakiegobądź trwalszego domowego organizmu pod egidą królewskości Leszczyńskiego,—nie ma zaciętości w sercach szlacheckich przeciw braci innego obozu. Tak np. znajdujemy mimo owych uchwał dekretujących na nieprzyjaciół ojczyzny przeciwników króla Stanisława, instancye sejmikowéj szlachty za „P. Andrzejem Sobeskim znajdującym się niewinnie w niewoli u Imci P. generała Nierotha.“ Wymowniejszemi są pod tym względem inne, późniejsze *laudowe* postanowienia. W Poznaniu znajduje się, jak wiadomo, załoga szwedzka, po bitwie wschowskiéj i po śmierci poległego w niéj pułkownika Liliehöka, pod dowództwem pułkownika Funcka. Pod kluczem plackomendanta szwedzkiego, w więzieniach zamkowych grodu Przemysławowego, znajduje się przez cały czas pobytu Szwedów mniejsza lub większa liczba powięzionéj i posprowadzanéj za różne występki przeciw gospodarowaniu szwedzkiemu szlachty.

Wojują na rzecz króla Augusta czy to Śmigielski, czy pułkownik Mikołaj Świnarski, napadając „swawolnemi kupy i obkładając kontrybucyami miasta y miasteczka.“ Co chwila sprowadzają Szwedzi do Poznania i osadzają w więzieniu zamkowém szlacheckich jeńców. Między innymi spotykamy się tu z nazwiskami Żuromskiego, Naramowskiego, Łąckiego Aleksandra łowczego kaliskiego. Jakże, możnaby zapytać, obchodzą się stronnicy króla Stanisława z tymi, uznanymi za nieprzyjaciół ojczyzny, przeciwnikami swéj sprawy. Posłuchajmy w téj mierze uchwały średzkiego *laudum* z dnia 28 października 1708: „Zaniosą także ciż Ichmć panowie komisarze do imci pana komendanta (szwedzkiego, Funka) za aresztantami Poznańskimi jako Bracią swoią, ażeby uwolnieni być jako krew szlachecka z aresztu mogli. *In quantum* by zaś to *subsequi* nie miało, upraszać będą o wszelki ichmciom respekt, ażeby lepszą mogli mieć, niżeli *ad praesens* wygodę w areszcie.“ Nie dość na tém, uchwala *laudum* z dnia 5 czerwca i 1 lipca 1709 po 1000 złotych wsparcia dla dotkniętych długą niewolą „aresztantów poznańskich.“ „Ichmć panom więźniom poznańskim wyda imci pan marszałek na tysiąc złotych do któregokolwiek asygnacyą miasta, ponieważ z Poznania miasto z dwóch tysięcy na sejmiku deklarowanych, tylko jeden wzięli z szelężnego i czopowego podatku.“ Otóż wśród wszelkich bied i kłopotów, wśród wszelkich instancyj do króla Stanisława i generała Renskiölda „o *commiserationem* dla województw,“ objaw bratniéj życzliwości dla dotkniętych losem wojny ziomków. Zobaczymy niżéj, że pod *tym* względem, późniéj, po ustąpieniu Szwedów, stronnicy Sasa nie ustępują w szlachetności ani na włos stronnikom Leszczyńskiego.

Druga połowa tedy roku 1706, by powrócić po téj wycieczce do rzeczy głównéj, przedstawia w obu województwach jeżeli jeszcze nie stan uspokojenia i trwałości, to przynajmniéj początków jakiego takiego klejącego się organizmu na rzecz rządów Leszczyńskiego. Tymczasem nie pozostaje bez wpływu na losy i wewnętrzne dzieje tego zakątka kraju przebieg rzeczy na wielkim teatrze wojny i dyplomatycznych rokowań. Ostatni raz zbiera się wśród jakiego takiego pokoju jeszcze i normalności domowych stosunków, szlachta wielkopolska za uniwersałami króla Stanisława na dzień 24 września 1706 do Środy pod laską Aleksandra Górzeńskiego i uchwala podatek podwójnego pogłównego na wojsko. Równocześnie nakłada obranym przez się deputatom do trybunału koronnego w Piotrkowie obowiązek złożenia przysięgi wierności dla konfederacyi generalnéj warszawskiéj. Następnie ma odbyć się sejmik dnia 29 listopada 1706, ale nie przychodzi do skutku. Dla czego następnie długa bar-

dzo przerwa w sejmikach obu województw, tłómaczą współczesne wypadki wojenne. Miesiąc wrzesień 1706 stanowi datę pochodu obu królów, Karola XII i Stanisława wskróś Wielkopolski do Saksonii. Obaj pozostają rok blisko w Saksonii, król Stanisław utrzymuje rodzaj dworu w miasteczku Leissnig pod Lipskiem, zbiera po raz pierwszy na ziemi obcéj korzyści i zaszczyty swego efemerycznego królowania. Gromadzą się około niego przejednani dygnitarze polscy, uznają go z kolei cesarz niemiecki, król pruski, nakoniec sam zdetronizowany król August.

Gdy tak jednakże pan na Lesznie, Rydzynie, Raszkowie i Zdunach zbiera królewskie honory w Leissnigu, cóż się tymczasem dzieje w rodzinnych stronach, jakiż je los dotyka? W Poznaniu samym siedzi, jak siedziała po za murami oszańcowana i opalisadowana załoga szwedzka pod dowództwem Funcka, ale kraj za to porzucony na łaskę opatrzności, wystawiony bez wszelkiéj opieki, ochrony i osłony na wszystkie gniewy i próby złości ludzkiéj i Bożego dopuszczenia. Nie miało na nich zbywać biednéj ziemi wielkopolskiéj a pierwsza połowa roku 1707 jest epoką strasznych spadających na nię niemal epidemicznie klęsk, pożóg, mordów i rabunków jakich mimo trwającego już od lat kilku stanu wojennego, województwa wielkopolskie dotąd nie zaznały. Od marca r. 1707 wkraczają do Wielkopolski „wojska auxyliarne carskie“ pod dowództwem generała Bauera i pułkownika Schultza, dziwne zbiorowisko wszelkich narodowości, Rosyanie, Niemcy, Polacy, Kozacy, Kałmucy przerażający bezbronną, wystraszoną ludność niezwykłym widokiem, niezwyklejszemi jeszcze czynami. Mord, rabunek, pożoga, uprowadzanie ludzi w niewolę stają się rzeczą codzienną. Nie ma bezpieczeństwa w domu, nie ma przedewszystkiém dla zwolenników nowéj królewskości bezpieczeństwa i spokojnego wytchnienia, nie ma możności i miejsca dla rady nad dobrém wojewódzkiem. Przy generale Bauerze, przy pułkowniku Schultzu wiesza się czereda złowrogich, podejrzanych postaci, między innemi i polskich. Rozpisują pod obcą zasłoną i opieką, na rachunek wojsk cudzoziemskich ciężkie kontrybucye i dostawy. Mieliśmy w ręku wydawane takie pod zagrożeniem pożogi nakazy do szlachty województwa poznańskiego. Mianowicie stanowią miesiące czerwiec i lipiec roku 1707 epokę istnego gniewu Bożego nad Wielkopolską, scen przypominających szarańczowe pochody Atylli, zgroźliwe wybryki ostatnich lat wojny trzydziestoletniéj. Pułkownik Schultz przeciąga z zastępem Kałmuków i Kozaków przez południowe strony województwa poznańskiego. Z końcem lipca 1707 puszcza z dymem i łupi doszczętnie Stanisławowe miasta Leszno, Rydzynę, wszystkie wsie okoliczne, następnie

Bojanowo, Rawicz, Zduny, Kobylin. Kałmucy niszczą i palą miasta i miasteczka, obładowują swe konie zdobyczą, uprowadzają kobiety i dzieci, kiedy dowodzący nimi pułkownik Schultz, rodem Niemiec, każe sobie składać ciężki pieniężny okup, który mimo to nieszczęsnym mieszkańcom łaskawszego losu wyjednać nie zdolny. Po raz pierwszy to wtedy pokrywa się ziemia wielkopolska ruiną i zgliszczami, po raz pierwszy staje w jéj obliczu cała zgroza wojny, nad któréj „nieszczęśliwościami" szlachta dotąd w swych *laudach* nałogowo i jakoby ze zwyczaju biadała.

We wrześniu roku 1707 nastąpił powrót wojsk szwedzkich z Saksonii do Wielkopolski; wrócił i król Stanisław, by następnie towarzyszyć królowi szwedzkiemu w dalszéj jego przeciw carowi wyprawie. Wtedy téż to nastąpiła w Kaźmierzu straszna egzekucya nieszczęsnego Patkula i województwa wielkopolskie były oswobodzone od najazdu „wojsk auxyliarnych" króla imci Augusta, ale cios wymierzony w cały ich organizm był zbyt silny, aby nie miał stać się powodem przerwy w regularném funkcyonowaniu życia politycznego i zwykłéj administracyjnéj działalności. To téż dopiero znów po dwuletniéj blisko pauzie, widzimy dnia 11 września 1708 zbierający się w Środzie sejmik obu połączonych województw pod laską Macieja Twardowskiego surrogatora kaliskiego. Pierwszy ów wśród świeżych ruin i zgliszczów zjazd szlachty, nosi wyraźny charakter chwili, w któréj się odbywa. Straszne skargi na ucisk i nędzę, nie mniejsze i nie inne żale na gwałty dziejące się w kraju, na włóczące się po nim „swawolne kupy," domagania się sądów grodzkich u generała wielkopolskiego, błagania wreszcie o ulgi w ciężarach wojennych u króla Stanisława, przez wyprawionych do jego boku Stefana Urbanowskiego podwojewodziego poznańskiego i Piotra Koźmińskiego podsędka wschowskiego. Do wszystkich wreszcie klęsk nawiedzających ziemie wielkopolskie, dołącza się nowe dopuszczenie Boże. „Obawiając się," mówi *laudum* ówczesne „*serpentem* w województwach naszych *contagionem* powietrza, dajemy w moc I. P. Generałowi naszemu do upatrzenia" innego miejsca dla sądów. „Powietrze, głód i wojna," wszystkie klęski, o których odwrócenie lud pobożny błaga w pieśni suplikacyjnéj, zbiegają się na tę ponurą chwilę ponownéj restauracyi Stanisławowych rządów w Wielkopolsce. *On* sam wrócił już wtedy ze swéj wyprawy, w któréj towarzyszył królowi szwedzkiemu aż do Radoszkowic na Litwie i przebywa naprzemian w Poznaniu, w dobrach swych dziedzicznych lub w Malborgu. Głównie zwracają się doń wówczas instancye szlacheckie o ewakuacyą miasta Poznania. Obecność załogi szwedzkiéj jest ciężarem pod wielu względami, ciężarem dla miasta niszczonego

kontrybucyami, pustoszonego przez niesforną gospodarkę obcego żołnierza w swych gmachach publicznych i prywatnych kamienicach. Zniszczona i potrzebująca natarczywie reperacyi katedra; zniszczony gród do tego stopnia, że nie może służyć za bezpieczne i pewne schronienie akt grodzkich, których pieczę sejmikowe *lauda* powierzają na przemian bądź to burgrabiemu Tomickiemu, bądź to regentowi ziemskiemu Łebińskiemu; zniszczony ratusz, zniszczone kilka kamienic proboszczowi i innym osobom. Nie mogą się odbywać w Poznaniu sądy wojewódzkie, którym na przemian w Buku i Gnieznie szlachta szuka miejsca, zamknięty jéj poniekąd przez załogę szwedzką wstęp do własnéj wojewódzkiej stolicy. Przez koniec roku 1708 widzimy téż ziemian zwracających się z instancyami do króla Stanisława przedewszystkiém o ewakuacyą miasta Poznania. Nie ograniczając się na królu Stanisławie, wchodzi szlachta co do tego przedmiotu, jako i w sprawie „aresztantów" siedzących na zamku, w układy bądź to z generałem szwedzkim Krassauem zajmującym Wielkopolskę w 9,000 ludzi po wymarszu króla szwedzkiego przeciw carowi i z plackomendantem Poznania Funckiem. „A że Ichmć Panowie Posłowie przeszli", mówi *laudum* z dnia 29 września 1708, „przy uczynionéj relacyi funkcyi swojéj uczynili województwom otuchę w pofolgowaniu paletów y ewakuacyi od Imci pana generała Krassau, *ad interim* póki to *praesidium* Poznańskie nie wynidzie, więc aby Ichmć samiż uczynili Imci Panu komendantowi relacyą, Ichmiów do Imci Pana komendanta uprosiliśmy, prosząc, ażeby póki ordynans nie wynidzie Imci z Poznania wyjścia, chciał się *abstinere ab executionibus* y w wydaniu paletów według ordynansu Króla Imci P. N. M. *In quantum* by zaś Ichmć Panowie zrozumieli, że tak prędko wyniśćby *praesidium* nie miało, dajemy moc Ichmciom *de mediis in rem* województw jako najpomyślniejszych *tractandi* z Imcią Panem komendantem Poznańskim y prosić o kategoryczną y nieodwołalną deklaracyą. Wielką y w tym województwa nasze ponoszą szkodę, gdy przez ten czas, jak tu *praesidium* do Poznania wprowadzone, zamek poznański, ozdoba szczególna województw naszych, w którym *ab antiquo* archiwum fortun naszych województw *conservatur*, *funditus* zrujnowany y teraz *maiorem minatur ruinam*, gdy prowiantami zaprzątniony; ażeby tedy zamek ten do końca nie upadł, upraszać będą Ichmci Pana komendanta o ewakuacyą zamku tego, aby województwa o konserwacyi jego skuteczne przedsięwziąść mogły sposoby."

Naturalnie były wszystkie te instancye i pośby nadaremne, ponieważ dopóki jakakolwiek siła szwedzka w Wielkopolsce się znajdowała, miasto Poznań i zamek poznański były dla niéj zbyt waż-

nym punktem oparcia, aby się go z grzeczności dla szlachty pozbywać. Za to zasługuje na uwagę inny objaw wynikający z treści ówczesnych *laudów*. Epoka owa nie zna wypróbowanéj wierności, żelaznych politycznie charakterów. Jak widzimy z październikowego *laudum* średzkiego r. 1708, należy do przejednanych wówczas na rzecz Stanisławową oporny długo, przed czterma laty jeszcze naczelnik pospolitego ruszenia wielkopolskiego na rzecz Augusta, Maciej Radomicki wojewoda inowrocławski, generał wielkopolski. Wojewoda inowrocławski, uważając sprawę Augusta za straconą, zwraca się do Stanisława, obejmuje swe stanowisko generała wielkopolskiego w radzie i urzędowości obu województw a szlachta darzy go takiemiż samemi dowodami ufności, jakiemi do niedawna darzyła jeszcze Franciszka Radzewskiego. Nasamprzód przeznacza dlań 30,000 złotych „na pokrycie szkód poniesionych.“ Prócz tego wystawia ku powstrzymaniu grasujących po kraju „kup swawolnych“ „trzysta mundurowanéj dragonii wojewódzkiéj“ i oddaje mu ją pod dowództwo do dowolnego w razach potrzeby użycia. Koszta wystawienia téj dragonii, która przez kilka lat następnych odgrywa pewną rolę jako straż publicznego bezpieczeństwa wynosiły 100,000 złotych, które zebrano z szelężnego, czopowego, pogłównego, i podymnego żydowskiego. Nie była zdolną przecież przeszkodzić chwilowo owa dragonia ani rozpustnym wycieczkom załogi szwedzkiéj na okoliczne wsie szlacheckie, jak np. na wieś Czarnotki, posiadłość wówczas pani cześnikowéj wschowskiéj Naramowskiéj, ani łowieniu i zwożeniu szlachty do zamku poznańskiego, ani pożodze stolicy politycznéj obu województw, miasta Środy.

Wśród podobnych utrapień rozpoczyna się dla Wielkopolski pamiętny rok 1709. Król szwedzki, podobnie jak późniéj Napoleon w Moskwie, marnieje wówczas i topnieje wśród mrozów i głodu w ukraińskiém za Dnieprem oddaleniu. Król Stanisław przejeżdża się między Poznaniem, Rydzyną, miastami pruskiemi, pracując zabiegle na wszystkie strony nad przejednaniem opornych jeszcze dygnitarzy, mianowicie w. hetmana koronnego; załoga szwedzka siedzi nie tylko mimo wszelkich próśb i instancyj szlacheckich w Poznaniu, ale w dodatku szerzy się mimo zimy po kraju dżuma a „wojska koronne y litewskie weszły w województwo kaliskie, gdzie paletują.“ Wśród takich okoliczności zbiera się szlachta obu województw po dwa razy w miesiącu styczniu do Środy pod marszałkowską laską p. Macieja Twardowskiego, by „kołatać,“ jak się wyraża *laudum* z 14 stycznia 1709, „do dobrotliwego I. K. Mści serca w nieszczęśliwościach aktualnych naszey oyczyzny.“ Z takiem poleceniem wyprawiły województwa do króla Stanisława, bawiącego w Malborgu, dawnego zna-

jomego naszego Franciszka Radzewskiego, obecnie już chorążego nadwornego koronnego i Aleksandra Gurowskiego miecznika poznańskiego, kiedy do hetmanów wyprawiono równocześnie pp. Tomickiego i Gruszczyńskiego. Tymczasem, jakkolwiek powoli, nawracają się na Stanisławową stronę różni dotychczasowi przeciwnicy, do których zaliczmy między innymi wówczas Zygmunta Gałeckiego wojewodę kaliskiego,—nie sięga zbyt daleko, ani nie zasłania zbyt skutecznie władza Leszczyńskiego. Komendant poznański Funck nie pyta o listy protekcyjne króla Stanisława, ani nawet generała Krassaua i nie myśli się powstrzymywać „od aggrawacyi ubogich ludzi.“ Pojawiają się znów „swawolne kupy“ a dragonia generała wielkopolskiego nie jest w stanie gospodarowaniu ich zapobiedz. Wkraczają nadto wówczas z Pomorza do Wielkopolski „auxyliarne wojska szwedzkie“ pod dowództwem pułkownika Schultza i Ridderhielma a pp. Zygmunt Gałecki wojewoda kaliski i Adam Gruszczyński kasztelan gnieźnieński „mają im zabiedz drogę i uczynić wszystko dla ulżenia województw naszych.“ Takież same instancye zanoszą równocześnie do „pana komendanta poznańskiego“ Stefan Urbanowski sekretarz generalny konfederacyi warszawskiéj i Jan Mielęcki. Wszystko nadaremno, „więźniowie poznańscy“ nawet siedzą, jak siedzieli na zamku poznańskim pod kluczem szwedzkim a powaga biednego króla Stanisława sięga zaledwie tak daleko, aby wyjednać wolność choć jednemu z nich, Aleksandrowi Korzbokowi Łąckiemu łowczemu kaliskiemu. Takie to widowisko przedstawiają województwa wielkopolskie w pierwszéj połowie 1709 roku. Kupy swawolne, wojska auxyliarne wśród straszliwych gwałtów i ciężarów grasują po kraju; niechętna Stanisławowemu panowaniu szlachta pod klauzurą szwedzką, nadto straszniejsza od wszystkiego tego razem, szerząca się coraz srożéj klęska powietrza, zmusza szlachtę odbywać lipcowe swe narady w polu, ponieważ w zamkniętych murach choćby miasteczka, jak Środy, rzecz niebezpieczna.

Wśród takich to ponurych objawów nadchodzi koniec efemerycznego, opłakanego panowania Leszczyńskiego. Biedna, utrapiona szlachta nie przeczuwa bliskiego jego końca, a w tych samych godzinach niemal, kiedy się na polach Pultawy rozstrzygają losy jego protektora, a tém samém i jego własne, odzywa się (1 lipca 1709 r.) *laudum* średzkie w sposób pełen namaszczenia o zbawienności i trwałości Stanisławowych rządów. „Życzymy“, kończy szlachta wstępną swą inwokacyą, „aby J. K. M. Pana naszego Miłościwego panowania Pan Bóg w niezamierzone przedłużywszy lata, wszelkiemi *secundat* szczęśliwościami y gdziekolwiek nas rozkaz J. K. M. P. N. Miłości-

wego, albo *necessitas publica vocaverit*, zdrowia y fortuny nasze *in tutamen* dostoieństwa J. K. M. P. N. Miłościwego ochotnie *immolare*, że powinniśmy, *votiva et unanimi profitemur obligatione*".

Objaw tego rodzaju gotowości i ofiarności na rzecz króla Stanisława mniejsza, że będąc przekreślonym przez nieprzewidziane wyroki Opatrzności, pozostanie dowodem ludzkiego krótkowidztwa, jest w dodatku gorszym jeszcze dowodem zmienności i słabości charakterów ludzkich. Skromniejsza naturalnie, mniéj pokaźna owa zdeptana, zadżumiona, stercząca zgliszczami, wyniszczona i zubożona widownia poznańsko-kaliska z r. 1709, od pierwszorzędnéj sceny europejskiéj, jaką przedstawia Francya w latach 1814 i 1815, ale jakże niestety podobne sobie zawsze i wszędzie złe strony natury ludzkiéj, jakaż żądza wygodnego, co prędszego pomieszczenia się w nowym stanie rzeczy, jak szybkie, jak bezceremonialne nawracanie się z jednego „*kultu*" na drugi, z wiary Leszczyńskiego na wiarę powracającego po klęsce pultawskiéj Augusta! Skromny nasz zaścianek od Rawicza do Kcyni, od Międzyrzecza do Konina czy Koła, nie ma istotnie nic do pozazdroszczenia brukowi Paryża i złoconym salonom księcia Beneventu w dniach kwietniowych r. 1814. Po owych przytoczonych oświadczeniach ofiarności i wierności szlacheckiéj na rzecz Stanisława, możnaby istotnie przypuszczać, że gdy wrogie losy jego królewskość zagrożą, nie zabraknie rąk, któreby się ku obronie jéj ruszyły. Tymczasem prawda, że po katastrofie pułtawskiéj półroczna właśnie pauza w szlacheckiéj radzie obu województw, ale co również prawdą, a co bardzo dobrze wiadomo, to, że jéj nie wypełniają wcale czyny poświęcenia na rzecz Leszczyńskiego. Zaledwie się August w ostatnich dniach sierpniowych r. 1709 pojawi w Wielkopolsce na polach dwóch nieszczęśliwych dla oręża swego bitew, pod Poniecem i Wschową, spieszy go witać i przyjmować ta sama niemal szlachta, która na dwa miesiące przedtém chciała umierać dla Leszczyńskiego. Rolę gospodarza domu jakoby i mistrza ceremonii przyjmuje na siebie Jędrzéj Radomicki, starosta osiecki, kasztelan poznański. Huragan wojenny, który w lecie r. 1707 dał się tak srogo województwom wielkopolskim we znaki, który pokrył je gruzami i zgliszczami, zrównał z ziemią Leszno, spustoszył kałmucką ręką Kościan, zawrzał nad niemi powtórnie z jesienią r. 1709. Król Stanisław w upokorzającym taborze niechętnego sobie generała szwedzkiego Krassaua opuszczał, wraz z załogą szwedzką miasta Poznania, wraz z Adamem Smigielskim wielkopolską, rodzinną dzielnicę na zawsze, by rozpocząć długoletnią tułaczkę od pobytu w Szczecinie. Towarzyszył mu aż do miasteczka Wielenia, aż do krańców Rzeczypospolitéj dzielny Józef Potocki, wojewoda kijowski. Woje-

woda wzywał Leszczyńskiego do powrotu i do obrony swéj królewskości. Ofiara taka przechodziła siłę nerwów Stanisławowych. Potocki wrócił sam od „ściany pomorskiéj“ w kraj wielkopolski, ścigany i szarpany w pochodzie przez wojska carskie i saskie, stoczył z niemi nieszczęśliwą potyczkę pod Odolanowem, mimo najwaleczniejszéj obrony, przeniósł się następnie na Węgry do boku walczącego przeciw domowi rakuskiemu Rakoczego, późniéj jeszcze do Karola XII w Benderze.

Nie ma śladu, aby w krótkiéj jego wielkopolskiéj kampanii była uczestniczyła miejscowa szlachta. Znużona wojną, tęskniąca za pokojem, dziesiątkowana dżumą, zapisuje tylko w późniejszych swych *laudach*, jak owa jesienna wojna r. 1709 zniszczyła kraj, jak sprowadziła pożogę Wielenia, Sulmierzyc i Odolanowa, a tymczasem odbywa się zmiana dekoracyi na małéj widowni województw wielkopolskich, odpowiednio do zmiany, jaka się spełniła równocześnie na większéj—całéj Rzeczypospolitéj. Nasamprzód żadnéj ulgi w kłopotach i ciężarach. Województwa wielkopolskie zmieniły tylko panów, ale nie polepszyły w niczém swego utrapionego losu. Jak dawniéj dręczył Szwed, tak po r. 1709 dręczy Sas i „auxyliarny żołnierz J. Carskiéj Mości“. Dobra Leszczyńskiego wzięte w sekwestr fiskalny, a generalnym ich administratorem, z pokrzywdzeniem wierzycieli, jest generał Kasper Seidlitz, który równocześnie zajmuje załogą saską, utwierdza Poznań, bierze od szlachty w rekwizycyą chłopów do sypania szańców i ciosania palisad. Takie same instancye, jakie niedawno temu wychodziły do pana Krassaua, do pp. Ridderhielma i Schultza, do p. komendanta poznańskiego, zwracają się teraz ze strony utrapionéj szlachty, już to przez stałych, już okolicznościowych delegatów, do saskich generałów Seidlitza i Plötza, nie wyliczając innych. Skompromitowane wyraźniéj w sprawie Leszczyńskiego osobistości, jak Radzewski, Gurowski, Władysław i Frańciszek Ponińscy, ustępują z widowni, by otworzyć na niéj miejsce osobistościom obozu Augustowego, pośród których naczelne stanowisko zajmuje Ludwik Szołdrski, dawniejszy marszałek konfederacyi. „Więźniowie poznańscy“ z czasów szwedzkich wypuszczeni naturalnie na wolność i wynagrodzeni nawet za swe straty z uchwały województwa. Znajdujemy, mianowicie, pomiędzy nimi pp. Świerczyńskiego, Koszutskiego, Trzcińskiego, którzy otrzymują po 1000 złotych wynagrodzenia ze skarbu wojewódzkiego. Nie zamiera jednakże w budżecie tego ubogiego skarbu pozycya „dla więźniów“. Różnica *ta* tylko, że nowi więźniowie nie są trzymani pod kluczem szwedzkim, ale pod kluczem saskim, nadto, że nie są trzymani w Poznaniu, ale w Elblągu, i noszą w *laudach* techniczną nazwę „więźniów elbląg-

skich“, na których utrzymanie dobroczynność braci szlachty przeznacza od czasu do czasu po kilka tysięcy złotych z czopowego i szelężnego różnych miast i miasteczek. Więźniami tymi, nieznanymi dotąd w historyi Augusta II, nie objętymi, rzecz dziwna, aktami licznych amnestyj, uwolnionymi, jak się zdaje, dopiero po sejmie pacyfikacyjnym warszawskim z r. 1717 są: Władysław Bronikowski, podstoli wschowski, jeden z głównych autorów elekcyi Leszczyńskiego, Stefan Urbanowski, sekretarz generalnéj konfederacyi warszawskiéj i Władysław Czarnkowski, blizki krewny i podskarbi koronny z ramienia króla Stanisława.

Otóż to w najgłówniejszych szczegółach i zarysach dzieje pauzy, jaką znajdujemy w obradach wojewódzkich między miesiącem lipcem r. 1709, a miesiącem styczniem r. 1710, między bitwą pułtawską, a spełniającą się powoli na radzie warszawskiéj Augustową restauracyą. Szukajmy w niéj wszystkiego raczéj, aniżeli czynów ofiarności na rzecz Leszczyńskiego.

W *laudach* roku 1710, rozpoczynających się w Środzie z dniem 7 stycznia, odbiją się wiernie zaszła na wielkiéj widowni zmiana. Najprzód przedstawia nam się wtedy jako marszałek zjazdów szlacheckich i osobistość ogólnéj popularności, wypróbowany z dawniejszych czasów stronnik Augustowéj sprawy, wspomniany wyżéj Szółdrski. Daléj nie szczędzą uchwały szlacheckie oświadczeń wierności dla Augusta i jego rządów. Mianowicie postanawia szlachta, wśród protestów przeciw wszelkim aktom odmiennéj treści i usiłowaniom restauracyi Leszczyńskiego, prosty i krótki powrót do uchwał dawniejszéj konfederacyi kościańskiéj (Augustowéj) z r. 1703. „Lauda y uchwały województw naszych“, mówi szlachta d. 7 stycznia, „za dyrekcyą *Wżnego* Imci Pana Ludwika Szółdrskiego, stolnika wschowskiego, marszałka konfederacyi województw y koła naszego rycerskiego, które są stanowione *in antecedenti* przed gwałtowną y bezprawną konfederacyą środzką *in toto et in quavis minima parte* approbujemy y powtórną Jegomości *in quovis occurrenti casu spondemus evictionem*“. Naturalnie, jak już wspomnieliśmy, nie przeszkadza ta uległość *polityczna* szlachty w niczém jéj kłopotom i utrapieniom *ekonomicznym*, a upokorzeniom moralnym. Na porządku dziennym długiego szeregu *laudów* figurują teraz skargi przeciw żołnierzowi saskiemu, podobnie, jak do r. 1709 pojawiały się przeciw Szwedom. Ciągłe deputacye, bądź-to do generała Seidlitza, bądź do generała Plötza z powodu gwałtów i wybryków żołnierza saskiego. Raz upraszają województwa samegoż Plötza o umiarkowane ściąganie podymnego, przeznaczonego na utrzymanie wojska, inny raz skargi na gwałty oficerów saskich Hahna i Wiesenberga, dowodzących „regi-

mentem P. starosty Czorsztyńskiego". Niekiedy nawet pojawiają się w uchwałach szlacheckich groźby rugowania siłą gospodarujących po kraju Sasów. Nie zapominajmy zaś, że wśród tych wszystkich gwałtów i kłopotów wojennych, nie przestaje przez całą ową pierwszą połowę roku 1710 trapić województw wielkopolskich sroga klęska dżumy, wyludniająca kraj, ubezwładniająca bieg wszelkiéj sprawiedliwości i administracyi, na jaką się owa epoka zdobyć mogła, że szlachta sama, z powodu grasującego powietrza, przeniosła naówczas miejsce swych wojewódzkich obrad ze Środy do Miłosławia.

Rozpatrzywszy się w *laudach* owéj epoki, nie powiemy zanadto, twierdząc, że ostatecznym ich sensem *moralno-politycznym* jest wielka, streszczająca w sobie wszystko, skarga na gwałty wojsk saskich, o wiele głośniejsza niż poprzednio na podobne wybryki wojsk szwedzkich. Przedewszystkiém powtarzają się w tych uchwałach sejmikowych zażalenia na generała Plötza, z którym obraduje komisya wojewódzka w Międzyrzeczu nad uregulowaniem ciężarów wojskowych. Nie zbywa jednakże i na skargach przeciw innym, np. przeciw pułkownikowi Grumbkowowi, przeciw generałowi Brausemu. Dokazują sascy janczarowie w dobrach Leszczyńskiego, dokazują przeciw szlachcie, wybierają bezprawne kontrybucye. Szczytem ówczesnego ich łotrowania jest zabójstwo, dokonane na osobie Gębickiego. „Zachodzi w koło nasze", mówi Miłosławskie *laudum* z d. 16 czerwca 1710 r., „zabicia okrutnego od oficerów wojsk J. K. Mości pana Macieja Gębickiego, kasztelanica łęczyckiego kwerymonia, co, że się *malitiose* stało, tedy województwa *hoc laudo* obligują się przez interpozycye swoje applikować J. K. Mości, aby zabójcy sądzeni byli". W tych i wszystkich podobnych sprawach wyprawia szlachta rozmaitych delegatów, bądź-to do samego króla, bądź to do imci pana feldmarszałka Flemminga, ale daremna nadzieja, aby sprawiedliwości stało się zadość, aby wysłańcy uzyskali choćby tylko posłuchanie u króla i jego faworyta. Czekają całemi tygodniami napróżno, wracają, nic nie sprawiwszy, w rodzinne strony. Tymczasem zaś odbija się znów na Wielkopolsce wrażenie wypadków na wielkiéj widowni polityczno-wojennéj. Rok 1710, data rady warszawskiéj, spełniającéj się powoli restauracyi Augustowych rządów, jest zarazem epoką tajnych robót, bawiącego w Szczecinie Leszczyńskiego, z pozostałymi w kraju stronnikami i przygotowań do wyprawy, jaką Smigielski, starosta gnieźnieński, z wiosną r. 1711 przedsięwziął ze schronienia pomorskiego w kraj wielkopolski. W obec podobnych robót i zamachów odzywa się *laudum* z dnia 16 września 1710 r., jak następuje: „Będąc z relacyi Ichmciów P. P. posłów od Ichmciów *informati*, jakoby w województwach naszych znaydować

się miało jeszcze dotąd takowe w ludziach *infectionis virus*, Majestatowi J. K. Mci. P. N. Miłościwego nieposłuszne *subjekta*, tylą *sancitis* przeciwne głowy, które nie kontentując się tak znacznymi w tey Rzeczypospolitéj poczynionymi ruiny, nienasyciwszy się tylą z dyshonorem świątnic Pańskich *cum eversione status nostri*, wylaniem krwi niewinnych krzywd, *majora audent* y w dalsze wprowadzić intrygi niepotrzebnie Rzeplitą *intendunt*, przeciwko niey *machinantur*, w korrespondencye z nieprzyjacielem *in rationibus status* wchodzą, a prócz to *ipso actu* tak Panu iako y dobru pospolitemu pokazują się być *iniurię*, więc *distinguendo sana membra a vitiosis*, takowych wszystkich *pro incapacibus honorum*, *perduellibus et hostibus patriae* mieć chcemy y na takiego któremu by to *authenticis documentis ex inquisitionibus* dowiedziono było, w sądach konfederacyi generalney dekretu *urgere* deklaruiemy się".

Takim to aktem pieczętuje szlachta wielkopolska przeszłoroczne dopiero oświadczenia niezachwianéj wierności na rzecz króla Stanisława. Nie ostatniém uwieńczeniem jego uroczysty do Augusta akces Piotra Bronisza, marszałka generalnéj konfederacyi warszawskiéj, istnego ojca chrzestnego królewskości Stanisławowéj. Nawraca się Bronisz na wiarę polityki Augustowéj w roku 1711, w chwili niemal wyprawy Smigielskiego w nadnoteckie strony.

Nie przypuszczajmy jednakże choćby najodleglej, że kiedy wyniszczony i zadżumiony kraj czuje tylko jedną potrzebę—pokoju, aby kiedy wielka masa wojewódzkiéj szlachty spokojna i uległa w obec dwóch inwazyj partyzantów Stanisławowych, Smigielskiego w r. 1711, Jana Grudzińskiego, starosty rawskiego, w rok późniéj; aby kiedy co wybitniejsze osobistości wyjewódzkie albo stoją na uboczu, albo składają akty submisyjne, a najgorliwsi i nieprzejednani zwolennicy Stanisławowi pod kluczem saskim w Elblągu, czasem w Königsteinie,—aby, mówimy, mimo to wszystko, województwa wielkopolskie w nagrodę spokojnego zachowania się, doznawały istotnego wytchnienia. Broń Boże! Napady owe Stanisłąwowych partyzantów wywołują tylko w swém następstwie „swawolne kupy", z któremi się dragonia generała wielkopolskiego nadaremno uciera; przymnażają tylko zgliszczów i ruin. Płoną przy sposobności napadu Grudzińskiego miasta Pyzdry, Skwierzyna, Międzychód, Wronki, Jutrosin, Krotoszyn, przeciąga kraj szarańcza wojsk saskich i „auxyliarnych", a najgorszą plagą, najcięższém utrapieniem pozostaje pobyt wojsk saskich, różni owi pp. Kyan, Seidlitz, Brause, Plötz, Grumbkow, Hahn. Mniejsza, że szlachta posłuszna i uległa, mniejsza, że marszałkiem zjazdów szlacheckich w Środzie jest odtąd przez lat kilka reprezentant niezachwianego w wierności dla Augusta rodu,

Ludwik Szółdrski. Cały kłopot województw streszcza się przez kilka lat następnych około ściągania podatków na utrzymanie zalegającego je wojska saskiego, następnie około obrony przeciw wybrykom i gwałtom saskiego żołnierza. Pod tym względem przedstawia domowa kronika Wielkopolski, aż do zawiązania konfederacyi tarnogrodzkiéj, dziwnie jednostajne, dziwnie nużące widowisko. Komplementowany przez *lauda* szlacheckie król przenosi 6000 wojska saskiego na tak zwany komput rzeczypospolitéj. Koszt utrzymania tego żołnierza spada wyłącznie prawie na województwa wielkopolskie, dla których obrony nibyto Sasi tamże się znajdują. Konsystencye ma żołnierz ten mieć nibyto w dobrach królewskich i duchownych, ale pp. Plötz, Brause czy Seidlitz nie są pod tym względem skrupulatnymi, rozkładają żołnierza, gdzie im się podoba, dokazują, mianowicie, w dobrach Leszczyńskiego, zaszczuwają gdzie niegdzie na śmierć psami oporną szlachtę. Poznań opalisadowany i oszańcowany zajmuje załogą saską Seidlitz; bierze jak dawniéj, nie pytając szlachty, w rekwizycyą chłopów do robót fortyfikacyjnych. Smutna i rozpaczliwa w obec podobnego położenia rzeczy, ale znów jednostajna, naiwna czasem, powiedzielibyśmy, rola szlachty. Każde niemal owéj epoki *laudum* obejmuje całą litanię skarg na postępowanie żołnierza saskiego, na „auxiliarnego żołnierza carskiego“, na zachowanie się tych i owych chorągwi czy regimentów wojska koronnego. Utrzymuje szlachta stałych rezydentów przy boku pp. generałów Seidlitza i Plötza, nawet przy dowódzcach pułków, układa rozmaite w Gdańsku i Warszawie komplanacye z generalnym sztabem i generalnym komisaryatem saskim, wyprawia osobnych delegatów do króla, do Flemminga, do prymasa, do hetmanów, w celu „allewiacyi ciężarom nieznośnym województw“, domaga się ewakuacyi Poznania. Wszystko to jednak napróżno, wszystko tylko jakby umyślnie na to, aby specyfikacya skarg w jakiém średzkiém *laudum* z dnia 4 stycznia 1711 r., powtórzyła się dosłownie pod laską marszałkowską p. Szółdrskiego w następném *laudum* średzkiém z dnia 5 lutego.

Kazimierz Jarochowski.

TEATR W CZECHACH.

Czesi doczekali się wreszcie spełnienia swych gorących pragnień. Wspaniała świątynia Melpomeny narodowéj, wzniesiona groszem ofiarnym wszystkich warstw społecznych, groszem co płynął ze wszech stron świata, gdziekolwiek czeskie biło serce, pomnik ów wytrwałości, odbudowany ze zgliszczów obecnie otworzył uroczyście swoje podwoje, aby przyjąć godnie potężną pracownicę sprawy ojczystéj, muzę dramatyczną.

W chwili, gdy pobratymcy nasi po obchodzie uroczystym otwarcia nowozbudowanego teatru, cieszą się owocem swego poświęcenia, gdy osobne pociągi przywożą tłumy żądne zobaczenia drogiéj narodowi świątyni, nie od rzeczy snadź będzie przedstawić zarys dziejów sztuki dramatycznéj u Czechów. Mają one w wielu razach znaczne podobieństwo do naszych i pokazują postęp powolny, ku osiągnięciu tego, co gdzieindziéj, na zachodzie rozwinęło się o wiele świetniéj, bo w nieporównanie szczęśliwszych pod wielu względami warunkach. Za źródlo do tego obrazu posłużyła mi w znacznéj części „Kronika teatru w Czechach“ I. J. Stankowskiego i I. L. Turnowskiego, drukowana w „Almanachu Maticy Teatralnéj“ (Praga r. 1881).

Pierwotną formą przedstawień scenicznych w Czechach jak i wszędzie były *misterya* i *moralitates*, wyprawiane przez księży dla celów czysto religijnych. Teatrami naonczas były kościoły, aktorami kapłani, a treść do scenicznych utworów czerpano z historyi świętej głównie z Nowego Testamentu. Najstarszym pomnikiem literatury dramatycznej czeskiej jest ułomek, noszący tytuł „Olejkarz“ (*Masticzkarz*). Przechował się on na oprawie rękopismu łacińskiego w Muzeum czeskiém a odnalazł go znany Wacław Hanka. Sądząc z pisma, odnieść należy „Olejkarza“ do XIII lub XIV wieku, aczkol-

wiek niektórzy sądzą, że jest starszym utworem, inni zawsze podają go w wątpliwość i poczytują wraz z rękopismami Zielogórskim (Sądem Libuszy) i Królodworskim za falsyfikat samego Hanki. Nie możemy wdawać się tutaj w roztrzygnięcie téj nader ślizkiéj kwestyi, która wywołała tyle namiętnych sporów, nie doprowadzając do żadnego rezultatu; wolimy na wiarę poważnych uczonych z ostatnich czasów, jak np. profesora Jana Gebauera, przyjąć autentyczność owego pomnika za fakt pewny. „Masticzkarz“ właściwie stanowi tylko jakiś epizod komiczny, albo może intermedyum sztuki passyjnéj, ktoréj całość zginęła bezpowrotnie w skutek ślepoty wieków, co darły i wyskrobywały drogocenne rękopisma, poświęcając je na okładki lub palimpsety dla tuzinkowych nieraz wyrobów teologicznych i scholastycznych. W „Masticzkarzu“, skreślonym grubémi rysami, z komizmem błazeńskim, częstokroć cynicznie nieprzyzwoitym, ale pełnym życia i charakterystyki, występują: mistrz Seweryn Ipokras, olejkarz wraz z żoną, błazen Rubin z Benatek Wenecyi) i Jerzy Postrpalk, służący mistrza. Rozkładają kram mistrza Rubin z Postrpalkiem, śpiewając do ludu:

> Przyszedł tutaj mistrz Ipokras
> de gratia divina,
> niéma gorszego na ten czas
> in arte medicina;
> gdy niemocą kto trapiony
> zdrowie ma na względzie,
> on z pewnością go uzdrowi,
> że duszy pozbędzie.

Rubin w niezgrabnym rymie zwraca się do ludu, każe babom zaprzestać szeptania i ogadywania i posłuchać, co im prawić będzie o swym panu *lekarzu mądrym*, *chytrym*, *dawnym*, któremu niéma równego ani w Czechach, ani w Morawie, ani w Rakusiech, ani w Węgrzech, ani Bawaryi, ani na Rusi, ani w *Polaniech*; ani w *Korutaniech*, i który cudowne maści przynosi. Po téj reklamie Rubin biegnie między lud, pan nań woła po niemiecku: „Rubinie, wo pystu (wo bist du)?“ Następuje kłótnia między mistrzem i błaznem, po czém pierwszy nakazuje Rubinowi kram cały rozłożyć. Rubin wyciąga z worka puszki z najdziwniejszémi lekami, pomiędzy którémi jest i komarowe sadło; w całéj téj reklamie szarlatańskiéj pełno niesmacznych konceptów, które należy czytać z zatkanym nosem. Znowu Rubin między lud ucieka, a pan ledwo go się dowołać może. Tymczasem nie widać jakoś kupujących i już mistrz Seweryn Ipokras zabiera się do odjazdu, ale Rubin go powstrzymuje. Mistrz przypomina sobie, że słyszał, iż w mieście są trzy panie, potrzebujące maści, i posyła do nich Rubina. Nadchodzą trzy Marye biblijne

pragnące namaścić ciało Chrystusowe, śpiewają po łacinie i po czesku i proszą mistrza o maści. Przychodzi także Abraham z umarłym Izaakiem, którego wskrzesza mistrz *fundens ei feces super culum.* Trzy Marye żądają mirry z tymianem, z kadzidłem i balsamem; mistrz żąda za to trzy grzywny złota, ale spuszcza na dwie. Na to żona jego wpada z interwencyą, że aby przypodobać się młodym kobietkom, mąż drogie maści za bezcen sprzedaje, narzeka na swoję dolę. Mąż zwraca się do niéj jako do opiłéj baby, która gada brednie, każe jéj, aby mu dała pokój i poszła prząść kądziel, bo inaczéj pięścią w twarz ją zamaluje. Żona, rozumié się, nie pozostaje mu dłużną w odpowiedzi, obiecuje rozwieść się z nim i *poruczyć go wszystkim czartom.* Daléj Pustrpalk i Rubin kłócą się z sobą, kto z nich z lepszego rodu pochodzi, bo jednego stryjenki sprzedają grzyby, śliwy, i miotły, a drugiego ciotka była mnicha komandora kochanką. Na tém kończy się cały ułomek, intermedyum grubo komiczne, pełne nieprzyzwoitych słów i wcale nie dwuznacznych aluzyj do mnichów.

Inny pomnik, któremu dano tytuł „Grób Boży“ z końca XIV wieku jest dyalogowaną parafrazą słów ewangelii o uczniach i niewiastach świętych, idących szukać Chrystusa w grobie. Przełożono go na czeski z łaciny, odznacza się dość gładką jak na owe czasy formą.

Z tegoż samego czasu pochodzi ułamek, znaleziony na okładkach pewnego rękopismu w bibliotece kapituły praskiéj przez prof. A. Gindelego. Zawiera on w sobie koniec misteryum o męce Pańskiéj; Jan święty, uprowadza Bogarodzicę z pod krzyża; daléj żołnierze rzucają losy o suknię Chrystusową, Longin przebija bok Ukrzyżowanego. Daléj Szatan i Belzebub z pachołkami swémi biegną po duszę jego i odchodzą ze wstydem, uczniowie zaś proszą Piłata o wydanie ciała; sztukę kończy monolog Józefa z Arymatei pod krzyżem. Do sztuki dołączone są dwa monologi żartobliwe, które służyły widocznie za intermedya, w pierwszym z nich pasterz jakiś wymyśla starym babom, plotkarkom, czarownicom. Na téjże saméj okładce znalazł się i początek drugiéj sztuki, noszącéj napis łaciński „Ludus palmarum.“

Do tych pomników należy zaliczyć jeszcze dramatyzowany „Płacz Maryi Panny.“ W ogóle sztuk takich pasyjnych musiała być znaczna ilość, ale wszystkie poginęły z łaski niedbalstwa ludzkiego. Późniejsze pokolenia ceniły w nich jedynie pergamin, przydatny do podklejania okładek innych rękopismów.

Zdaje się, że w założonym przez Karola IV uniwersytecie praskim *żacy* czyli studenci grywali sztuki łacińskie, starożytne lub późniéj *ad hoc* ułożone, ale pewną i szczegółową wzmiankę mamy do-

piéro z wieku XVI, gdy już na tronie czeskim siedzieli spadkobiercy Jagiellonów, Habsburgowie. Za panowania Ferdynanda I, męża Anny Jagiellonki, r. 1534 czy 1535 w Nowomiejskim ratuszu wyprawiono w mięsopuście widowisko sceniczne i odegrano ucieszną komedyą Plauta: „Miles gloriosus“ ku niesłychanemu zadowoleniu publiczności. Poszło to nie w smak Staremu miastu, zazdrośnemu współzawodnikowi Nowego, senat więc staromiejski wystąpił przeciwko grającym ze skargą, że zebranie przeciwne było zakazówi królewskiemu i odbyło się „na zagubę mieszczan.“ Głównego aktora, bakałarza Mokrego, wsadzono do kozy i dopiéro po trzech dniach wydobyła go z niéj interwencya rektora uniwersytetu.

W r. 1539 w wielkiém kolegium Karolowém grali żacy „Zuzannę“; przy czém naschodziło się tylu widzów, że drewniana podłoga trzeszczéć zaczęła. Wskutek tego, aby nie było jakiego nieszczęścia, mistrzowie postanowili, by więcéj podobnych widowisk w kolegium nie odprawiać. Odtąd przedstawienia odbywały się na podwórzu uniwersyteckiem.

Na dobry pomysł wpadli mistrzowie uniwersytetu, zastępując widowiskami scenicznemi szorstkie i obrzydliwe nieraz obrzędy przy przyjmowaniu nowych uczniów, których starsi uczniowie dręczyli w najróżnorodniejszy sposób, niby ścierając z nich dawne prostactwo i nieuctwo. Taki obrzęd nazywano *beanią*, gdyż nowo wstępujący żak nosił nazwę *beana*; był on w obyczaju we wszystkich uniwersytetach ówczesnych, a zatém i w Pradze i u nas w Krakowie, o czém przekonywa nas dzieło Muczkowskiego o żakach krakowskich. (Podobną scenę odtworzył barwnie Kraszewski w „Zygmuntowskich czasach“). W sierpniu r. 1543 grano przy beanii „Zuzannę“, która dworzanom królewskim tak się podobała, iż musiano ją powtórzyć na zamku w obecności Ferdynanda i Anny, oraz dzieci królewskich i licznego pocztu panów. Bibliografowie czescy wyliczają więcéj takich przedstawień przed *beaniami*; na jedném z nich odegrano komedyą Terencyusza: „Phormio“.

Szczególniejsze powodzenie miała r. 1560 „Comedia Euripi“ odegrana na podwórcu szkolném. Zeszło się na nią podobno do dziesięciu tysięcy widzów. W komedyi, wziętéj z życia, występowały grzechy ludzkie w postaci szpetnych dyabłów, co wielu widzów należycie nastraszyło. Inni wołali: „Ot, straszą nas udanymi dyabłami, a nie wiedzą że sami od prawdziwych dyabłów zostaną pożarci“. Zachwyt publiczności doszedł do tego stopnia, że sztukę musiano powtarzać przez cztery dni z rzędu, a nadto zagrać ją raz jeszcze na zamku praskim w przytomności arcyksięcia Ferdynanda. Po-

wtarzano ją jeszcze i późniéj, a rektor Hoffer przełożył ją na język niemiecki.

Zapał studentów i publiczności do widowisk scenicznych wzrastał coraz bardziéj i doszedł do tego stopnia, iż młódż w mięsopuście jeździła na prowincyą i tam dawała po miastach przedstawienia, zbierając dary od widzów. Jedną z takich sztuk, po czesku już pisanych, jest „Mięsopust wiejski,“ drukowany r. 1589, a wydany na nowo przez Józefa Jireczka (1). W naiwnéj niesłychanie krotochwili owéj młody chłop Walenta zaleca się do Johanki, która niemiłosiernie drwi przez dwa akty ze swego konkurenta, malując obraz jego szczegółowo w nader grubéj karykaturze, budzącéj niemal obrzydzenie, a postępowanie swoje usprawiedliwia tém, że tak kobiety od dawna już czyniły, że kochanki w pole wywodziły „Salomona, Samsona, Holofernesa i Achillesa.“ W akcie trzecim do wieśniaka Kouby idą chłopi na pijatykę za wezwaniem starego Antoszta, „z mokrego pola proboszcza;“ chłopi jedzą, piją, śpiewają—potém idą młodzi w taniec, a w tańcu jeden drugiemu nogę podstawia, z czego, rozumié się, powstaje bójka. Słowem akt ten wygląda niby obraz Teniersa z całym realizmem wiejskiéj zabawy, oddanéj chropawym wierszem z komiczną naiwnością. W epilogu aktorzy studenci dziękują obecnym, za to że nie wzgardzili przyjrzéć się tym sztukom (kunsztom), przyczém zwracają uwagę słuchaczów na niebezpieczeństwa, grożące mężczyznom od niewiast. Przymawiają się oraz o wsparcie i żegnając publiczność, obiecują że znowu za rok z nią się zobaczą.

Jezuici, sprowadzeni r. 1556 do Czech przez Ferdynanda I, założywszy wielkie kolegium z akademią, tak zwane Clementinum, usiłowali zaćmić stary uniwersytet Karolowy, przepychem przedstawień scenicznych. Już w cztery lata po swém przybyciu do Pragi wyprawili na podwórcu w Clementinum alegoryczno-moralny dyalog „O walce ciała z duchem,“ na który zeszło się wielu widzów, niemogących dość napatrzéć się widowiska. W dwa lata późniéj (we wrześniu r. 1562) zagrano z niesłychaną okazałością tragedyą „Upadek Saula i koronowanie Dawida na króla.“ Przepych dekoracyi i ubiorów był niesłychany; obóz króla Saula i Filistynów wydawał się widzom prawdziwym obozem, a bitwę toczono z taką naturalnością, iż przerażeni widzowie narobili krzyku i popłochu. Na dobitkę wydarzył się komiczny epizod, który o mało nie przerwał widowiska. Jakiś żołnierz, który nigdy jeszcze nic podobnego nie oglądał, widząc Saula w przepysznych szatach, sądził, że ma przed sobą istot-

(1) Staroczeské divadelni hry.—Praga 1878.

nego króla, i bez namysłu, skoczywszy na scenę, klęknął przed nim, jął błagać o jałmużnę, odwołując się do zasług i ran swoich. Na taką niespodzianą scenę wpadli dwaj błaznowie, figury naonczas w każdéj sztuce konieczne, i poczęli sobie żarty stroić z nieboraka, który, poznawszy omyłkę swą, ze wstydu uciekł pod scenę i nie pierwéj ztamtąd wyszedł, aż przedstawienie się skończyło i publiczność rozeszła się do domów.

W rok potém arcyksiążę Ferdynand, wielki miłośnik zabaw podobnego rodzaju, dla rozrywki dworzan i szlachty, wezwał studentów na zamek i ci odegrali komedyą „Philopedius.“ Nazajutrz powtórzono widowisko w kolegium na podwórcu i sztuka tak wzruszyła obecnych, że już przy pierwszych scenach łez powstrzymać nie mogli, a gdy w ostatniéj scenie młodzieńcy, za grzeszny żywot do piekielnéj otchłani wtrąceni, poczęli rozpaczliwie lamentować i narzekać, wtedy okropny płacz i jęk widzów rozległ się po obszerném podwórcu.

W roku 1567 zrobiono ważny krok, albowiem ku niesłychanéj uciesze ludności wystawiono sztukę w języku czeskim „Święty Wacław męczennik,“ napisaną przez jezuitę Mikołaja Saliusa. Sztukę tę powtarzano bez liku, podniosła ona jezuitów w oczach Prażan, dotąd wielce zakonowi niechętnych, a lud wracający z teatru wołał głośno: „Teraz dopiero jezuici na nasz czeski chléb zasługują!“ Widowiska podobne powtarzały się niemal co rok, zwłaszcza przy otwieraniu szkół zamiast barbarzyńskich *beanij* dawano przeróżne sztuki, najwięcéj treści biblijnéj. Tendencya jezuicka szczególniéj rażąco wyszła na jaw w sztuce, przedstawionéj r. 1569 „Obraz okrucieństw kacerskich, popełnionych we Francyi.“ O okrucieństwach tych powszechnie w Europie rozpowiadano. Na przedstawieniu obecnym był arcybiskup praski i wielki poczet różnych znakomitych osób i te wielce sztukę chwaliły.

Przedstawiano także utwory dramatyczne i po dworach wielkich panów, zwłaszcza przy sposobności obchodów uroczystych. Grywano teatr u panów Rosenbergów w Czechach i u Boskowiców na Morawie i u innych. Na weselu pana Arkleba z Kunowic z Elżbietą Szternbergówną r. 1581 przedstawiono „Tobiasza,“ sztukę biblijną, którą *ad hoc* napisał Paweł Kyrmezer i poświęcił panu młodemu „na epithalamium ku rozweseleniu pana i wszystkich gości weselnych w bojaźni Bożéj.“ Przeciwko téj zabawie powstał z purytańskim fanatyzmem gość weselny, Hieronim Szlik, gorliwy kalwin, który niejednego z obecnych odwiódł od patrzenia na komedyą, dowodząc, że „nie należy postępować tak z Pismem świętem, aby z tych rzeczy stroić sobie igraszkę.“

Za czasów Rudolfa II Czechy, a przedewszystkiém Praga, nader zajmujący przedstawiały widok. Cesarz, tak jak Karol IV, upodobał sobie „stuwieżate miasto" i pędził w niém żywot huczny, wśród godów i zabaw wszelkiego rodzaju, gromadząc zabytki starożytności i utwory sztuki, oraz popierając uczonych, których ze wszech stron wzywał i zapraszał. Za jego czasów teatr przeszedł w drugą fazę. Duchowne dramaty przeżyły się, coraz mniéj ludu na nie chodziło, aż wreszcie sami profesorowie i mistrzowie przyszli do przekonania, że już czas poszukać innych tematów i sięgnąć do źródeł świeckich. Początek dał tutaj mistrz Kampanus Wodniansky, autor sztuki: „Brzetysław i Jitka czyli porwanie przemocą Judyty, córy cesarza, przez książęcia Brzetysława, Achillesa czeskiego." Miano utwór ten wystawić 14 sierpnia 1604 i robiono w tym celu wielkie przygotowania, z ratusza miejskiego wypożyczono zbroje, tarcze i oręż, poszyto historyczne stroje. Tymczasem wielki kanclerz Wojciech Lobkowic najniespodziewaniéj przedstawienia zakazał, co więcéj zmusił autora, aby rękopism wrzucił w ogień. Zamiast „Brzetysława" zagrano tegoż roku „Deborę" wszelako już od tego czasu studenci prascy rok w rok zazwyczaj 24 sierpnia odgrywali jakąś świecką sztukę. Grywano także i sztuki duchowne, a słynny poeta Szymon Lomnicky z Budcza napisał trzy opery religijne „Tryumf", „Trzy Marye" i „Zmartwychwstanie Pańskie," gdzie „koronowany" przez samego cesarza poeta pozwala sobie wielu naiwnych anachronizmów w tym duchu, jaki kazał staroholenderskim malarzom osoby biblijne stroić w opończe i w kapelusze lub birety z piórami. W „Zmartwychwstaniu Pańskiém" na przykład Chrystus każe Maryi Magdalenie chodzić po miastach czeskich, głosząc, że powstał z martwych, ta zaś obiecuje, że obejdzie z wesołém śpiewaniem wszystkie kościoły w Pradze.

Za czasów Rudolfa lubowano się także w komedyach wesołych, częstokroć swywolnych, jakiemi były naprzykład: Tobiasza Mourzenina „Historya krotochwilna o pewnym parobku wiejskim i zbiegłym żydzie", „Komedya mięsopustna," „Komedya książąt piekielnych," „Komedya o żebrakach godujących i kupcu z którym mieli bójkę," „O kupcu i niewiernéj jego żonie" itp.

Z tych zwrócimy naszę uwagę na „Komedyą o żebrakach i kupcu," albowiem ta, jak epilog opiewa, jest w części tłómaczeniem, a w części przeróbką oryginału polskiego. Wydaną została przez Józefa Jireczka we wspomnionym już zbiorku „Staroczeskie gry teatralne." Wydawca zwracał się do Karola Estreichera z zapytaniem o polski oryginał, ale otrzymał odpowiedź, że nic podobnego bibliografowi naszemu nie jest znaném. Posiadamy wprawdzie w na-

széj literaturze „Peregrynacyą Dziadowską,“ satyrę z r. 1614 w formie dyalogowéj, nader ostro uderzającą na rozwielmożnione u nas zawsze żebractwo; pod względem ducha zgodną jest ona z staroczeską komedyą, ale w szczegółach mało ma z nią styczności. Że ta komedya istotnie z polskiego wypłynęła źródła, dowodzą już same nazwiska żebraków jak Szczidlo (Szczudło), Pudivitr (Pędziwiatr), a nadto obfitość polonizmów w tekście, z któremi widać tłómacz nie mógł sobie dać rady gwoli... rymowaniu. Egzemplarz, który miał pod ręką Jireczek, był mocno zdefektowany, nie posiadał tytułu i karty początkowéj, ale wydawca sądzi z druku, iż komedya wyszła po r. 1573 u Andrzeja Graudenca w Litomyślu. W prologu bez początku jest gorąca filipika przeciwko dziadom, których „bez wyjątku młodych, starych“ autor łgarzami nazywa, lubo zaraz cofa się, zastrzegając, że nie mówi, aby wszyscy takimi byli. Widząc, jak wielu z nich „leży w grzechach bez pokuty“, autor daje sztukę „pod sposobem tragedyi, zamiast kijów, któremi nieprawy ma być karany i przez to napędzony do poprawy.“ Po długiém i nudném moralizowaniu ogólnikami następuje *argument* owéj dziadowskiéj tragedyi, podzielonéj na trzy akty. W akcie pierwszym dziady po odpuście św. Klary zatrzymują się w gospodzie na gody, wybierają z pomiędzy siebie wójta i wyprawiają niby to wesele dziadowi Dyjudejowi i jego babie. Wójt (rychtarz) Parzychosta mianuje swatem, a Szczidlo starostą; dziady zamawiają u gospodarza wszystko piwo i zapraszają go do udziału w hulance. Proszą także, aby mogli być sami w gospodzie, ale na ich nieszczęście przyszedł do niéj jakiś kupiec. W akcie drugim rozpoczyna się orgia, dziady tańczą z babami, umizgają się do nich, grają w kości, karty. Kupiec z pisarzem przypatruje się temu widowisku i nie może powstrzymać się od robienia uwag. Dziady odpowiadają mu, że i oni mieli się dobrze, ale potracili mienie przez różne przygody, a nawet cynicznie przyznaje się jeden z nich do hulaszczego żywota „w niedzielę i w piątek,“ do karetek i strojów żoninych, co wszystko przywiodło go do kija żebraczego. Inny dziad wystawia zalety dziadowskiego stanu, wolnego do podatków, poboru do wojska, zdzierstwa urzędników, swobodnego, byleby tylko był kij w ręku dla obrony od psów i ochrony od upadku. Swoboda stanu żebraczego wynosi dziadów:

> nad króle, książęta, pany
> i wieśniaki i mieszczany.

Na dobitkę chwali ich Pismo święte i sam Chrystus im błogosławi, obiecując królestwo niebieskie.

Na to kupiec odpowiada długo i energicznie; wytyka im szalbierstwa, udane kalectwa, zaprzecza, by Chrystusowa pochwała do nich miała się stosować, a na odwołanie się do Biblii znajduje argument z Dawida, który nigdy nie widział, aby ten, co się bał Boga, potém żebrał chleba, on sam lub potomkowie jego. Powiada daléj, że wielu dzisiejszych żebraków są łotrami, podpalaczami, zdrajcami, że chodzą do *Turek* i służą Turkom za pieniądze (zapewne za szpiegów). Wyrzuca żebrakom, że modlą się na głos, aby ich inni słyszeli i tam daléj. Żebracy nie pozostali w odpowiedzi dłużnymi, z początku zaczynają mu grozić, ale jeden z nich zabiera się do wad i grzechów kupieckich i pali przeciwnikowi długie a dosadne kazanie. Jest tu mowa o kłamliwém zachwalaniu towaru, o fałszywych opowieściach co do rozbitych z towarami okrętów, aby zamorskie korzenie w wysokiéj utrzymywać cenie, o podwójnych miarach i wagach, jednych dla oka urzędów, drugich dla kupującego; a w końcu dziad mówi:

A ty przez to ludzi łupisz,
za co sobie piekło kupisz.

Na to kupiec zniecierpliwiony, chcąc przeciwnikom dogryźć do żywego, powiada, że dobrze ludzie robią, iż ich wypędzają z miast i wsi, wsadzają do więzienia, palą na stosie, że jako czarownicy godni są szubienicy. Obiecuje przytém, że sam się przyłoży do tego, aby którego z nich kat spalił na stosie.

Kwestya na zbyt drażliwe tory weszła, aby mogła być rozwiązaną na drodze ustnéj polemiki, dziady więc wzięli się do kijów szczudeł i dalejże okładać kupca; wmieszały się do tego i baby, jedna z nich zasypała mu oczy piaskiem, a druga za worek z pieniędzmi chwyciła. Zmaltretowany kupiec ratował się ucieczką. Po wiktoryi następuje chwila smutnéj rozwagi; dziadom przychodzi na myśl, że snadź kupiec uda się ze skargą do wójta. Pociesza ich Parzychost i radzi, aby szafarza sprawiedliwości darem jakim sobie pozyskać.

W akcie trzecim sprawa wytacza się przed wójta, jak się zdaje, (bo tu sztuka nie jest dość jasną) nie przed prawdziwego, ale przed obranego sobie przez żebraków. Wójt, rozumié się, bierze ich stronę, kupcowi pali nauczkę, żeby nie pomiatał żebrakami, bo sam nie wié, co go jeszcze czeka, że „król a także książę, nie mówiąc już o niższych stanach, nie mogą być pewni, czy kiedyś żebrać nie będą.“ Kupiec zwiesza głowę, wylicza rozmaite sztuczki żebracze, rozboje, udawanie świętych, rozpustę, zdradzieckie stosunki z Tur-

kami oraz czary babskie. (Ten ostatni ustęp polecamy naszym badaczom mitologii i rzeczy ludowych, gdyż zawiera w sobie ciekawe szczegóły). Dziady drwią sobie z nieboraka, babie Magorze wójt dziadowski zaleca, aby czarami pakowała do piekła tych, co złorzeczą i łają żebrakom, a nie dają im jałmużny. Narzekającemu kupcowi pisarz perswaduje, aby dał pokój sporom z żebrakami, bo to nie daje ani honoru, ani zysku. W epilogu czeski tłómacz czy przerabiacz powiada:

> Zamykając tragedyą,
> przed nikim tego nie kryję,
> żem ją tu z Polski wyłożył,
> w niektórych miejscach rozmnożył,
> na prośbę jednego pana,
> od którego jest posłana.

Opuścił jednak niektóre rzeczy, a zwłaszcza jakąś bajkę o młodym wilku, co chodził za stadem i o jakimś wszeteczniku, o którym rozwodzi się polak, ale czech to opuszcza, gdyż podobne rzeczy kalają myśl i pobudzają złe żądze. Jednakże, jeśli kto kocha się w podobnych rzeczach, niech sobie czyta inne rzeczy, a między niémi Sen majowy (poemat Hynka Podiebradzkiego, syna króla Jerzego).

Mimo całéj swéj niezdarności w formie scenicznéj, w wierszowaniu, powyższa komedya żebracza zasługuje na baczną uwagę już to jako jeden więcéj okaz ubogiéj literatury dramatycznéj polskiéj w XVI wieku, już to jako obraz obyczajowy, nas przedewszystkiém dotyczący. W połączeniu z „Peregrynacyą Dziadowską", może posłużyć do skreślenia ciekawego obrazu żebractwa u nas, które zawsze wywierało wielki wpływ na lud prosty, gdyż ten w dziadach nietylko widział kaleków i ubogich, zasługujących na jałmużnę, ale jeszcze dopatrywał w nich przedstawicieli jakiejś tajemniczéj, nadprzyrodzonej wiedzy i w wielu razach udawał się do nich o modlitwę, radę, lekarstwo i... czary.

Z czasów Rudolfa II pochodzi także komedya o kupcu i niewiernéj jego żonie," którą odegrano niedawno w Pradze na tak zwanych „wieczorach historycznych." Drukowano ją w r. 1608 u Daniela Sedlczanskiego, a powtórnie wyszła w zbiorze Jireczka, który dał jéj tytuł „Schwytane wiarołomstwo" i nazwał bardzo słusznie „dramatyzowaną anegdotą." W komedyi owéj kupiec Jira, wyjeżdżając w podróż, zaleca żonie aby dobrze rządziła w domu, strzegła się kłótni z sąsiadkami i wcześnie dom zamykała, by czasami złodziéj się nie zakradł. Dorota, czuła małżonka, troszczy się, że mąż częstemi wyjazdami naraża się na niebezpieczeństwa po drogach, gdzie pełno ło-

trów plądruje. Kupiec uspakaja płaczącą małżonkę, obiecuje powrót za cztery tygodnie, a przytém piękny gościniec z Norymbergi i wyjeżdża, czule pożegnawszy się z lubą Dorotą. Skoro tylko pani sama w domu pozostaje, wnet posyła po swego kochanka Asota. Kochanek przychodzi, Dorota oświadcza mu, że ma pieczone prosię, kurczę ugotowane z cytryną, pan Asotus ofiaruje się przyprowadzić muzykę do biesiady. Tymczasem zakrada się kupiec, udając chorego, lubo właściwie o wierności swéj żony nie powątpiewa. Puka więc do drzwi, muzykant wraz z gachem kryją się pod nieckami, ale mąż ich znajduje. Gach ucieka, a kupiec rozmyśla nad tém, że niebezpieczno staremu pojmować młodą żonę. Cała *anegdota* jest bardzo niezdarna i tylko ogólnikowemi naszkicowana rysami.

O zewnętrznéj stronie teatru w wieku XVI i XVII tak powiada Jireczek: „Scena od strony widzów była otwartą, bez zasłony spadającéj po każdym akcie. Z tyłu była właśnie jakaś zasłona, niewiadomo czy malowana, czy téż prosta płachta. Miejsce za zasłoną nazywano *sceną*. „Odejść do sceny“ znaczyło to zejść ze sceny w dzisiejszém pojęciu tego słowa. W ogóle gra rozpoczynała się „prologiem“, w którym wypowiadano treść dramatu, a kończyła się „epilogiem“, w którym dawano rozmaite nauki moralne, albo téż przepraszano widzów. W niektórych komedyach „argumenta“ z wykładem fabuły znajdują się nawet przed pojedyńczemi aktami..... W końcu każdego aktu oraz przy zmianie scen zazwyczaj grała muzyka. Niekiedy przerwy zapełniały się tém, że „muzy śpiewały a *pedelowie* błaznowali lub żarty stroili. Rodzaj muzyki zależał od treści. Tak na przykład, gdy stary Tobiasz po odejściu syna swego narzekał, rozpoczynano „załosną muzykę“. W komedyą o Salomonie wstawiono chóry muz (*chorus musarum*), na cztery głosy, z nutami. Aktorowie ubierali się w kostiumy, odpowiednie do ról. Kobiece role, ma się rozumiéć, grywali żacy. Niekiedy na wystawę bardzo wiele wydawano, jak np. na wystawę dramatu Kampana z roku 1604 (1), wtedy umyślnie robiono kostiumy, hełmy, tarcze i zbroje. Broń wypożyczano z ratusza. Publiczność mieszczono na podwyższonych rusztowaniach (*podia*), jak sądzę, na krzesłach i ławach“.

Okrom powyżéj wymienionych przedstawień bywały jeszcze widowiska *sielskie*, *sąsiedzkie*, którym lud dawał także nazwę „tatrum, tratrum“. Składały się one ze sztuk, najczęściéj biblijnéj treści, odgrywanych przez wieśniaków pod gołém niebem — przypominają one gry pasyjne z Ober-Ammergau. Zdaje się, że szerzący się protestantyzm prędko położył im koniec i dopiero wskrzesili je po klę-

(1) Owego niedoszłego przedstawienia dramatu „Brzetysław i Judyta“.

sce narodowéj jezuici. Jeszcze w naszém stuleciu, w piątym lat dziesiątku, w Staréj wsi pod górami Olbrzymiemi odgrywano podobne gry, za podnietą wieśniaka Frańciszka Wocedálka, który sam bywał nieuczonym owych sztuk autorem.

Być może, iż z takich pierwocin, lubo słabych, niedołężnych, a częstokroć do najwyższego stopnia naiwnych, byłaby się wyrobiła u Czechów sztuka dramatyczna w należytém znaczeniu, sztuka, co naonczas kwitnęła we Włoszech, Anglii, Francyi i Hiszpanii; była to bowiem doba Szekspira, Kalderona i Kornela. I w tych krajach nie świetniéj wyglądały były zaczątki dramatu. Wszelako miasto pokojowego rozwoju nadeszły żałosne dla czechów czasy — rewolucya r. 1618 i straszna klęska na Białéj Górze, a za nią dwuwiekowa doba niemocy narodowéj. W tych to czasach upadła literatura, a z nią i dramat. Zostały jedynie łacińskie sztuki, odgrywane przez uczniów jezuickich, nie tylko w saméj Pradze, ale i po całych Czechach. Utwory grywane przez nich miały treść religijną, zazwyczaj z żywotów świętych, pisane były zwykłym jezuickiéj szkole napuszonym stylem, z nader szumnemi tytułami, jak np. „Wszystkie siedem planet, czyli siedm czeskich świętych dziedziców“, lub „Winnica Pana zastępów przez wyrobników żydowskich spustoszona“, albo wreszcie „Potykanie męczeńskie, przez które bracia Gerwazy i Protazy zwycięztwo nad tyraństwem otrzymali, śmierć poniosłszy“. Miały więc owe sztuki takiż sam charakter jako współczesne nasze „dyalogi“ jezuickie. Jednę nowość wprowadzono naonczas, mianowicie to, że „piękne panny“ brały udział w przedstawieniach, wykonywając śpiewy chórowe.

Niezadługo po wojnie trzydziestoletniéj przybyło do Pragi jedno z tych towarzystw dramatycznych angielskich, które naonczas z ojczyzny Szekspira rozjeżdżały się po różnych krajach. Dozwolono anglikom grać na Starém Mieście, ale już po pierwszém przedstawieniu namiestnicy cesarscy dali rozporządzenie policyi, aby rozpatrzyła paszporty komedyantów, którzy „nazywają się anglikami i bez wątpienia są wiary kacerskiéj“. W ogóle jezuici i stronnicy ich wszelkiemi sposobami usiłowali przeszkodzić wkraczaniu świeckich komedyantów na pole, na którém pragnęli wyłączności. Pomimo to w XVIII wieku pojawiały się tutaj kiedy — niekiedy trupy włoskie i niemieckie, grywające opery i krotochwile, pełne scen ślizkich ze stereotypowemi figurami jak Pantalon, Harlekin, Don Pasquale, Trufaldin, Hanswurst itd. Przykład obcych komedyantów oddziałał i na czechów — zapragnęli oni figury owe przenieść na grunt ojczysty, z czego powstały czeskie teatry maryonetek, które zyskały wielką popularność u ludu, szczególniéj tak zwany *Pimperle*, albo *Kaszpa-*

rek. Maryonetki przyczyniły się do upadku po wsiach przedstawień pasyjnych, oraz innych religijnych widowisk. O jakimś teatrze narodowym, jak to było u innych narodów, przy owoczesném pognębieniu ani myśléć nie można było.

Wszelako jezuici nie zasypiali sprawy. Aby przeciwdziałać wpływom świeckim pisywali i wystawiali sztuki religijne już teraz po czesku, z coraz niedorzeczniejszemi tytułami i niedorzeczniejszą treścią. Między innemi była jedna, interesująca nas poniekąd; nosi ona tytuł: „Bellum religionis, czyli rozliczna kłótnia i spór między dwoma stołecznemi miastami Pragą i Gnieznem o ciało i święte relikwie świętego Wojciecha, biskupa Praskiego. Sztukę tę w obecności pewnego magnata polskiego na urodziny pewnego pana czeskiego, imieniem Wojciech, odgrywano w teatrze w Pradze". Lubo nieznamy jéj treści, powątpiewać nie należy, że odnosi się ona do owéj kwestyi, które relikwie św. Wojciecha są autentyczne, czy owe, które znajdują się w Gnieźnie, czy téż te, które miał przywieść do Pragi zwycięzki najezdźca z czasów bezkrólewia po ucieczce Ryksy, Achilles czeski, książe Brzetysław. Zdaniem źródeł polskich oszukano naonczas zaborców, podsunąwszy im zamiast drogiego narodowi Wojciecha, zwłoki brata jego Gaudencyusza czyli Radyma.

Odsiecz Wiednia dała jezuitom podnietę do grywania sztuk alegorycznych, jak „Gedeon zwyciężający Madyanitow", „Tezeusz, pokonywający Minotaura", „Dawid i Goliat", przyczém głównie schlebiano cesarzowi Leopoldowi. Rodak nasz, Stanisław Kostka, dał pochop do utworu dramatycznego p. t. „Święty Stanisław Kostka w uciekaniu zwycięzca, na deskach wyobrażony". Dramat ten odegrała młodzież pierwszéj klasy kolegium św. Ignacego r. 1745 — był on gloryfikacyą zakonu jezuitów. Przedstawienia takie upadały coraz bardziéj, aż nakoniec r. 1768 rząd wydał rozporządzenie, zakazujące wszelkich widowisk teatralnych po szkołach i kolegiach.

Cudzoziemskie towarzystwa dramatyczne, włoscy śpiewacy i niemieccy komedyanci coraz częściéj nawiedzali Pragę. Cesarz Karol VI, rozmiłowany w życiu huczném i wesołém, kazał na zamku wystawić w ogrodzie teatr drewniany, gdzie przedstawiano najwięcéj opery włoskie dla uciechy monarchy i dworu. Budowę tę zniszczyły bomby pruskie w czasie oblążenia Pragi w r. 1757.

W dobie owego zaniedbania języka czeskiego, piśmiennictwo upadło na najniższy stopień, od wielu lat nie zadowolniając najskromniejszych potrzeb duchowych narodu, nic dziwnego, że w klasach wyższych szerzył się język niemiecki, język zwycięzkiego Wiednia, język, który mógł pochlubić się w połowie XVIII wieku nowym rozwojem literatury, dzięki mężom takim jak Klopstock, Wieland, Les-

sing, a potém Herder, Goethe i Schiller. Naród sam zaniedbywał mowę ojców swoich, dopiero brutalny cios, który wymierzył jéj Józef II, wprowadzając r. 1774 język niemiecki do szkół i urzędów, wstrząsnął naród z uśpienia i pobudził cały szereg mężów do pracy nad jego odrodzeniem w duchu i języku ojczystym. Działalność tych mężów odrodzenia zjawiała się kolejno na rozmaitych polach, a z czasem przyszła koléj i na scenę narodową.

Że duch czeski tlił ciągle w głębinach ludu, między innemi służy za dowód próba stworzenia narodowéj operety. Pokusili się o to dwaj morawianie, nauczyciel Schreyer i ksiądz Maurycy z zakonu Norbertanów. Operety Schreyera ułożone były w narzeczu hanackiém, jakiém mówi lud w środkowéj Morawie; grywano je, głównie w klasztorach morawskich, a nawet jedna zawędrowała do Wiednia do domu księcia Rittsberga.

Coraz częstsze odwiedziny w Pradze trup wędrownych nakłoniły miasto do założenia stałéj budowy teatralnéj, a magistrat przeznaczył na nią dom w ulicy, zwanéj „*v Kotcich*“. Budowa ta świetną bynajmniéj nie była, nadto leżała w ciasnéj uliczce staromiejskiéj, zawsze jednak od r. 1743 Melpomena i Talia miały już stały punkt oparcia. Pierwszym przedsiębiercą i dyrektorem teatralnym był Józef Kurz czyli Bernardon. W teatrze „Koteckim“ grywano tylko opery włoskie i krotochwile niemieckie, z nieodzownym Hanswurstem, dopiero za dyrekcyi Buriana udało się z wielkim trudem urządzić kilka czeskich przedstawień. Brakowało aktorów, repertoaru — należało co żywo przełożyć coś z niemieckiego, a grać musieli członkowie trupy Buriana, przeważnie niemcy, jak zwykle ludzie tego narodu haniebnie wymawiający słowiańskie wyrazy, to téż pierwsze czeskie przedstawienie, na którém dano, przełożoną z niemieckiego, sztukę Krugera „Herzog Michel“, przyniosło jedynie najzupełniejsze *fiasco*. Dopiero po kilku latach udało się dać inną sztukę czeską, mianowicie operetkę „*Stróż nocny*, albo *czeska Anusia*“, z większém poniekąd powodzeniem.

Tymczasem teatr niemiecki rozwijał się, dzięki poparciu klas wyższych, szczególniéj wyrodzonéj haniebnie szlachty czeskiéj, która już Burianowi wygrażała za pierwszą próbę czeskiego spektaklu. Sprowadzono r. 1779 z Presburga Karola Wahra z trupą niemiecką, a powodzenie jéj nakłoniło do zbudowania teatru lepszego, godniejszego muz i sztuki. Inicyatywa wyszła od wielkiego burgrabiego, hrabiego Nostica Rieneka, potomka starożytnéj rodziny czeskiéj, i w r. 1781 położono kamień węgielny budowy, tuż obok starodawnéj wszechnicy Karola IV. W r. 1784 stanął wreszcie gmach, który do dziś, nosząc predykat królewsko-krajowego, służy za przybytek

sztuce niemieckiéj, a ma na froncie niby na szyderstwo napis „Patriae et musis“. Niezwłocznie do nowéj budowy wniosła się trupa Wahra, rozpocząwszy przedstawienia słynną tragedyą Lessinga „Emilia Galotti“.

Tymczasem Praga na krótki czas zyskała drugi teatr po za Wełtawą w części miasta, zwanéj „Małą Stroną“, w pałacu hr. Thunów. Wniósł się do niego r. 1782 *impressario* Bondini z trupą niemiecko-włoską. Za następcy jego Sekondy r. 1794 teatr spalił się do szczętu; nieszczęśliwy dyrektor miał według kontraktu zapłacić szkodę, ale hrabia Thun okazał się wspaniałomyślnym i własnoręcznie kontrakt rozerwał.

W nowym teatrze, poświęconym „ojczyźnie i muzom“, Wahr niedługo ze swą lichą trupą popasał; hr. Nostic powierzył r. 1785 dyrekcyą rodowitemu czechowi, Bullowi. Nowy dyrektor zapragnął, obok zwykłych niemieckich, dać kilka czeskich przedstawień i dopiął tego. 20 stycznia 1785 przedstawiono dramat przełożony z niemieckiego „Zbieg z miłości synowskiéj“. Radość patryotów była ogromna, dano jeszcze kilka czeskich przedstawień, to w teatrze Nostica, to u Thunów, ale powstał taki krzyk przeciwko tym próbom, iż nie pozostawało nic innego patryotom, tylko postarać się o założenie nowego teatru, w którym istniałoby równouprawnienie muzy czeskiéj. Powstało stowarzyszenie teatralne i wyrobiono koncesyą u cesarza Józefa II.

Nowy teatr, zwany „patryotycznym“ stanął na placu, zwanym „Końskim Targiem“, a dziś „Wacławskim Placem“—był zbudowany z desek i dla tego otrzymał od ludu nazwę „Budy“ (*Bouda*). Duszą *konsorcyum* byli dwaj bracia Karol i Wacław Thamowie, którzy sami naonczas jako autorowie czescy zaszczytne pozyskali byli imię.

Niema zgody pomiędzy Czechami na to, kiedy patryotyczna Buda otwartą została, zdaje się wszelako, że nie wcześniéj, jak w czerwcu r. 1786. Zapewne pierwszém przedstawieniem było to, na którém odegrano sztukę przełożoną z Ifflanda, p. t. „Wdzięczność i miłość ojczyzny“. Na przedstawienie zeszło się mnóstwo ludzi nawet z wyższego stanu, chciwych usłyszenia języka ojczystego ze sceny. Spektakl uzupełniła komedya niemiecka, p. t. „Peruki“, oraz pantomimiczny balet „Praskie kucharki, czyli Pogorzeli wieśniacy“. Przedstawienia w Budzie wywoływały niesłychany entuzyazm w ludzie czeskim, w patryotach, a samorodni poeci wystawiali je w niezdarnych wierszydłach, jak np. samouk poeta Wacław Melezynek. Budę nawiedził także sam cesarz Józef II w towarzystwie generałów Laudona i Lascego, objawił swoje najwyższe zadowolenie i podarował aktorom 28 dukatów.

Wszelako *prawi* patryoci nie zadowoleni byli z niemieckich sztuk w Budzie i nalegali, aby te pozostawiono teatrowi Nostica. Głównie nalegali o wyłączność autorowie owcześni, a jeden z nich Wacław Kramerius zorganizował nową, czysto czeską trupę, która pod dyrekcyą Jirzika grywała za bramą miejską. Nowy ów teatr upadł po dwóch latach 1790 r., a tegoż roku zniesiono i Budę, jako przeszkadzającą targom na placu odbywanym. Merkury nielitośnie spędził siostry Apollinowe z Końskiego Targu.

Oba towarzystwa czeskie, pozbawione schronienia, połączyły się z sobą i przeniosły się do zniesionego klasztoru w ulicy Hibernackiéj, gdzie w byłym refektarzu urządziły sobie scenę. Grywano tu na przemian sztuki niemieckie z czeskiemi, a te zaniedbano do tego stopnia, że z czasem przedstawienia czeskie ograniczono do niedziel i świąt o czwartéj godzinie po południu. W teatrze Hibernackim zapanował duch spekulacyjny, a szczególniéj działalność dyrektora Gramsa wielce przypomina naszych ogródkowych prezesów i dyrektorów. Grams, z powołania handlarz muzykaliów, za główny, a raczéj jedyny cel wziął sobie nabicie kieszeni, nie dbając ani o dobór sztuk, ani o ich przyzwoite wystawienie. Farsy najgrubszego kalibru bez myśli i sensu *robiły mu kasę*, a w kasie siadywał on sam lub jego połowica, obchodząc się niegrzecznie z kupującymi; teatr oświecano ladajako, a wystawa była tak niedbałą, iż nie raz w chatce wieśniaczéj publiczność widywała krzesła wyściełane. Oba teatra, Nosticowy i Hibernackii, konkurowały ze sobą, pierwszy wszelako więcéj dbał o szlachetniejszy kierunek repertuaru.

Roku 1798 hrabia Nostic sprzedał teatr swój Stanom królestwa czeskiego, które w sześć lat potém kupiły prawo teatru od jedynego przedstawiciela byłego *konsorcyum* Budy, Zappego i odtąd Stany zostały właścicielami monopolu teatralnego w Pradze. Jedynym teatrem był więc gmach poświęcony „patriae et musis“, gdzie tylko w niedziele i święta po południu dawano czeskie przedstawienia, pomimo, że te hojnie napełniały kasę. Repertuar ówczesny był nader bogaty..... ilościowo, szło bowiem o to, aby dawać jak najwięcéj nowości, tak, że według Thama w okresie lat piętnastu (od r. 1780 do 1795) wydano około *tysiąca* sztuk czeskich, po większéj części tłómaczeń. Wartość ich wewnętrzna była zazwyczaj bardzo mała, ale stanowiły one dowód ofiarności Czechów dla sprawy narodowéj, gdyż autor lub tłómacz musiał poprzestawać na jałowym zaszczycie wystawienia sztuki, nie marząc nawet o najmniejszém honoraryum. Najpilniejszym pracownikiem na téj niwie był Wacław Tham, który przełożył 45 sztuk niemieckich, a nadto napisał 8 dramatów oryginalnych. Brat jego Karol Ignacy, zasłużony lingwista, przełożył

Szekspirowego „Makbeta“, „Zbójców“ Schillera i inne — a Tandler wygotował dramat oryginalny „Wódz Taborytów“, którego bohaterem był Jan Żiżka z Trocnowa. Głównie cieszyły się łaską publiczności dramata rycerskie, oraz płaskie krotochwile.

Tak więc od r. 1806 teatr Stanów czeskich był jedynym w Pradze przybytkiem sztuki czeskiéj i niemieckiéj. Ta ostatnia zakwitła i pokryła się niezwykłym blaskiem za dyrekcyi Liebicha, którego na polu operowém dzielnie popierał genialny twórca „Wolnego Strzelca“, Karol Marya Weber, dyrektor opery. Dramat doszedł także do wysokiego stopnia doskonałości, dzięki wybornemu repertuarowi i talentom artystów. Liebich, człowiek sprawiedliwy i tolerancyjny, sprzyjał i czeskim widowiskom, tém więcéj, że te nie zły dochód przynosiły, ale Stany czeskie wymówiły sobie w nowym kontrakcie, by przedstawień czeskich w wielkim teatrze nie dawano więcéj, gdyż teatru nie można było między czeskiém a niemieckiém przedstawieniem przewietrzyć należycie. Liebich próbował dawać przedstawienia narodowe w teatrzyku na Małéj Stronie, ale, nie doznawszy tam poparcia, od r. 1809 widowisk tych zaniechał. Odtąd aż do r. 1812 Praga czeskiego języka ze sceny nie słyszała.

Za to po prowincyi potworzyły się stowarzyszenia amatorów i te grywały sztuki w języku ojczystym na cele dobroczynne, głównie na wspieranie ubogich. Po miasteczkach i wsiach wędrował słynny maryonetkarz Maciej Kopecky, postać nader oryginalna, patryota, który nigdy nie chciał do swych produkcyj używać języka niemieckiego, a lalkami swemi odgrywał sztuki przez siebie napisane. Był to maryonetkowy Scribe, napisał 63 sztuki w duchu patryotycznym — robiły one ogromne na lud wrażenie, a nawet ogłoszono je potém drukiem (w Pradze r. 1862). W Staréj Wsi u stóp gór Olbrzymich wspomniony już Franciszek Wocedalek, krawiec z rzemiosła, urządził teatr ludowy, w którym odgrywano sztuki jego, treści biblijnéj, a nawet jedną świecką o Libuszy. Teatr ów istniał od r. 1811 do r. 1845, to jest do śmierci Wocedalka, zmarłego w nader podeszłym wieku.

W r. 1812 grono patryotów - amatorów wyjednało sobie pozwolenie grywania w pewne dni w teatrze Nostica sztuk czeskich na cele dobroczynne. Działalność amatorów trwała przez lat trzy, aż do wyjścia zakazu przedstawień czeskich w r. 1815; przez ten czas urządzono 28 przedstawień, przy czém wiele dopomagał sam Liebich, pożyczając garderoby, rekwizytów, służąc radą, wskazówkami. Repertoaru dostarczał Jan Nepomucen Sztiepanek, autor wielu utworów z dziejów czeskich, którym brak ducha poetyckiego, należytego pojmowania historyi, oraz kreślenia charakterów, ale mimo

to podobały się one publiczności i wywarły niemały wpływ na rozwój dramatu czeskiego.

Wszelako literacką i to względną zasługę Sztiepanka zaćmiły jego grzechy względem zdolniejszych od siebie pracowników, Klicpery i Tyla, którzy oprócz zwykłéj walki z okolicznościami, z przemożnemi wpływami, wrogiemi sprawie narodowéj, musieli borykać się z niesłychanym wysiłkiem z zazdrośnym, samolubnym i chciwym sławy współzawodnikiem. Zazdrość i samolubstwo to wady nie obce bardzo wielu dramaturgom, nawet o wiele zdolniejszym od Sztiepanka; współzawodnictwo wszelako na tak ograniczonéj przestrzeni, jaką była owoczesna cząstka sceny, miłościwie przez niemców czechom ustąpionéj, musiało ciężko dolegać młodocianéj i wśród niesłychanych przeszkód rozwijającéj się literaturze. Sztiepanek był autorem bardzo płodnym, napisał, przerobił i przełożył cóś około 160 sztuk, a gust jego ani trochę nie wybiegał po nad poziom galeryowéj publiczności. Dla niego wyborną sztuką była ta, na któréj publiczność pękała od śmiechu, lub na któréj kobiety mdlały, a mężczyznom włosy się jeżyły ze zbytku wrażeń. Sztiepanek cieszył się niesłychaną popularnością nawet u Niemców, a jedno czasopismo niemieckie nadało mu przydomek Arystofanesa czeskiego. Na domiar złego, doszedł on wkrótce do nader wpływowego stanowiska. Za Hollbeina, następcy Liebicha, został sekretarzem teatru, a gdy roku 1824 zniechęcony Hollbein zrzekł się dyrekcyi, na czele teatru stanęła trójca, były basista Kainz, dobry aktor Polawsky i sam.... Sztiepanek.

Po roku 1815, mimo starań Sztiepanka, o przywrócenie przedstawień czeskich, grano w teatrze Stanów zaledwie kilkakrotnie po czesku, jak np. za bytności arcyksięcia, a późniejszego cesarza Ferdynanda, na jego osobiste żądanie. Miłośnicy języka ojczystego i amatorowie, widząc płonność próśb i starań w celu przywrócenia choć dawnego stanu rzeczy, w r. 1821 założyli nowy teatr prywatny w domu zacnego mieszczanina, a gorliwego patryoty Teisingra. Właściciel domu urządził scenę własnym kosztem, nawet w późniejszym czasie, gdy widzów coraz więcéj przybywało, kazał rozwalić tylny mur domu, aby scenę i salę powiększyć. Nie dość na tém, ponosił on jeszcze wydatki bieżące, gdyż za wstęp do sali opłaty nie pobierano. Na scenie grywali amatorowie, ludzie nader chętni, a duszą towarzystwa był Wacław Klicpera, znakomity na swe czasy autor dramatyczny.

Klicpery utworów nie należy mierzyć miarą dzisiejszych wymagań, ale musimy mu przyznać niepospolite zalety, bogatą obserwacyą, dowcip jędrny, bujną wyobraźnią i szczęśliwy wybór przed-

miotów z dziejów ojczystych i z życia ludowego i trafną charakterystykę. Nadewszystko podziwiać wypada jego zamiłowanie teatru i pilność, nie dającą się zrazić żadnemi przeszkodami. Mając nie odpowiednich wykonawców dla swoich utworów, pole nadzwyczaj zacieśnione, przeszkody od wrogów, zazdrośnych i obojętnych, Klicpera pisał sztukę za sztuką, aby tylko wypełnić żądny ciągłych nowości repertoar małego teatrzyku czeskiego. Pośpiech, konieczny w takich okolicznościach, nie dozwalał mu doprowadzać utworów do należytego wykończenia i rozwinąć swego oryginalnego i bogatego talentu. Z dramatów jego celuje „Sobiesław“, a między komedyami odznaczają się „Cudotwórczy kapelusz“, „Rohowin czterorogi“, „Kłamca i ród jego“, oraz zabawna jednoaktówka „Komedya na moście“.

Trójca dyrektorów, Polawsky, Kainz i Sztiepanek, objąwszy stały teatr, doprowadziła istotnie repertoar i scenę niemiecką do upadku. Dyrektorom szło przedewszystkiém o zyski kasowe, schlebiali więc złemu gustowi mas, aby tylko ściągać je do teatru. Rozumiejący rzeczy sarkali na taki kierunek, żartowano sobie z inicyałów dyrektorskich P. K. S., zdobiących afisze, i tłómaczono je jako „Prager Komödien - Spekulanten“. Snadź była cząsteczka patryotyzmu w staraniach Sztiepanka o wznowienie przedstawień czeskich, ale grały tu także niemałą rolę względy kasowe, oraz chęć produkowania utworów samego dyrektora. Istotnie w przedstawieniach tych, dawanych po południu co niedziela i święto, z wyjątkiem karnawału, grywano sztuki Sztiepanka w tak przeważnéj liczbie, że w przeciągu lat dziesięciu na repertoarze czeskim Sztiepanek figuruje 165, a dwudziestu trzech innych autorów tylko 137 razy.

A jednak już wtedy okrom Klicpery zjawiło się kilka niepowszednich talentów dramatycznych. Szymona Machaczka komedya „Narzeczeni“ zrobiła *furore* i dotąd jeszcze utrzymuje się na repertoarze; wielkiém powodzeniem cieszyła się także tragedya „Zawisz z Falkensztajnu“. Franciszek Turinsky poprzestał jedynie na dwóch próbach, tragedyach „Angielinie“ i „Wirginii“, w których znajdujemy piękną formę, ale zarazem wielką przewagę liryzmu nad dramatycznością.

Do téjże doby należą pierwsze kroki nowego pracownika literatury i sceny, którego imię zapisane zostało złotemi głoskami w dziejach odrodzenia czeskiego, Jana Kajetana Tyla. Żywot Tyla, to martyrologium czeskiego patryotyzmu na polu dramatyczném. Urodzony w Kutnéj Horze r. 1808, od dzieciństwa umiłował teatr i poezyą i skoro tylko dostał się w r. 1821 do Pragi do szkół, wnet począł próbować pióra, a do teatru na czeskie przedstawienia uczęsz-

czał pilnie, ujmując sobie zaspokojenia koniecznych potrzeb, byleby tylko mieć pieniądze na kupno biletu na galeryą. Dziecku ubogich rodziców przyszłość nie uśmiechała się. Rodzice marzyli, że ich syn zostanie kiedyś księdzem i na téj drodze dorobi się dobrobytu, którego rodzinie téj tyle brakowało, tymczasem młodzieńca niepokonanym czarem ciągnęła ku sobie ciernista droga czeskiego dramatu. O niéj marzył przez całą młodość, ona mu nie pozwoliła dokończyć studyów filozoficznych w uniwersytecie praskim. Poznawszy się z drugim marzycielem w tymże rodzaju, Prokopem, Tyl przemyśliwał o założeniu osobnego towarzystwa czeskiego, ale na to nie było ani środków materyalnych, ani pozwolenia rządowego.

Tymczasem zjawił się w Pradze niejaki hrabia Lanius, który pod pseudonimem Hilmera miał trupę wędrowną niemiecką. Hrabia-dyrektor, lubo niemiec, pojmował dobrze, że przedstawienia czeskie na prowincyi mogą niezgorzéj zasilać kasę, przeto porozumiał się z Tylem i ten, wraz z trójką, dzielącą jego przekonania, Prokopem, Bilem i panną Magdaleną Forchheim, córką niemca i czeszki, a zdolną śpiewaczką i aktorką, udał się za Laniusem na prowincyą.

Trupa wędrowała po południowych Czechach, gdzie miała świetne powodzenie, zwłaszcza pociągały publiczność czeskie przedstawienia. Czwórka wspomniona wyżéj, rozumie się, nie wystarczała, niektóre role musieli grywać niemieccy aktorzy, ucząc się, bez rozumienia rzeczy na pamięć ról, które Tyl skracał do możliwego *minimum.* W Strakonicach hrabia Lanius - Hilmer wykonał, jak Niemcy powiadają „Geniestreich“ i w dniu płacenia półmiesięcznéj gaży ulotnił się z kasą, biblioteką i garderobą, co wszystko razem w jednéj mieściło się skrzyni, zostawiwszy żonę swą z dzieckiem na łasce oszukanych aktorów. Tyl powrócił do Pragi i znalazł przytułek w domu koleżanki Forchheimowéj, z którą późniéj (r. 1839) zawarł związek małżeński. Stary Forchheim wyrobił mu miejsce w kancelaryi pułkowéj, ale Tyla literatura i scena nieustannie pociągały do siebie. W czasopiśmie „Niegdyś i teraz“ (*Jindy a Nyní*) prowadził sprawozdania teatralne, a w nich żwawo nacierał na teatr Sztiepanka, którego znowu bronił i wysławiał Chmelensky, uznana naonczas powaga krytyczna. Trójca dyrektorska tak wielce się wszystkim uprzykrzyła, że gdy skończyło się jéj kontraktem zawarowane dziesięciolecie, teatr oddały Stany r. 1834 nowemu dyrektorowi Stögrowi.

W tymże czasie kólko patryotów założyło nowe towarzystwo dramatyczne czeskie, rozumié się, z amatorów i dyrekcyą oddało Tylowi. Grywać poczęto w domu, zwanym Kajetanowskim na Małéj Stronie, gdzie już przedtém istniał mały niemiecko-czeski teatrzyk.

Nowe towarzystwo popierał doświadczony już aktor Kaszka, brali w nim udział jako amatorowie Kolar, Filipek, śpiewak poematu „Maj“ Macha i Eugeniusz Tupy, późniejszy proboszcz na Zwierzyńcu, znany jako poeta pod pseudonimem Bolesława Jabłońskiego. Przez dwa lata z górą grywano w dość znacznych odstępach w domu Kajetanowskim, aż wreszcie, pomimo, że dawano przedstawienia przeważnie na ubogich, władza teatrzyk zamknęła. Stało się to głównie w skutek intrygi zazdrosnego Sztiepanka, który naonczas był przy dyrektorze Stögrze sekretarzem.

I za Stögra grywano w teatrze Stanów po czesku. Dyrektor ten, zręczny spekulant, pojmował dobrze korzyści kasowe z takich widowisk i dla tego założył osobny gustowny teatrzyk dla czeskich przedstawień na ulicy Różowéj. Wszelako powodzenie nie zaspakajało chciwego Stögra, wprowadził więc do tego teatrzyku bomby i feerye, tak zwane „Ausstattungsstücke“: gdyż takowych dawać mu we właściwym teatrze nie dozwalano. Ludek cisnął się na te mamiące zmysły spektakle, powodzenie ich wypierało coraz bardziéj muzę czeską z jéj przybytku, aż w końcu musiała znowu wynieść się na popołudniowe przedstawienia do większego teatru. Tymczasem stało się to, czego Stöger nie spodziewał się wcale, a co było przyrodzonym takiego kierunku skutkiem, jak to okazało się nieraz i gdzieindziéj. Publiczność przesyciła się efektowemi bredniami, Stöger nie mógł sobie z teatrem na Różowéj ulicy dać rady, aż wreszcie w roku 1846 teatr ów zamknięto. Niebawem i Stöger złożył dyrekcyą. Na dwa lata przedtém zakończył żywot Sztiepanek, przeżywszy niemal swoję sławę.

Następca Stögra Hoffman, rozumiejąc dobrze materyalne korzyści czeskiego teatru, angażował Tyla na dramaturga, czyli kierownika repertoaru i zobowiązał go kontraktem do dostarczania rocznie dwóch sztuk oryginalnych, a sześciu tłómaczonych. Tyl żwawo zabrał się do pracy. Z zapałem wziął się do dramatów i komedyi i między innemi w r. 1847 napisał znakomitą swą dramatyzowaną baśń „Strakonicky dudák“, utwór wielce lubiony do dnia dzisiejszego.

Podrzędne stanowisko muzy czeskiéj w teatrze pobudziło patryotów do zajęcia się myślą ustanowienia teatru narodowego. Głównie myśl tę popierali Tyl i Rieger. Podano prośbę do Stanów królestwa o ustąpienie owéj koncesyi, którą niegdyś sprzedał był im Zappe. Stany zgodziły się na to, wtedy zeszło się osiemdziesiąt przedniejszych osób, pod przewodnictwem Mateusza hrabiego Thuna i uradziło założyć teatr narodowy na akcyach. Podano prośbę do rządu o pozwolenie, ale rząd odpowiedzi nie udzielił.

Nastał rok 1848. Powiał duch inny, z Wiednia uciekł książe Metternich, a z nim „ojcowski“ despotyzm, który narodom austryackim tyle dał się we znaki. Z zakątków prywatnego żywota poczęli wychodzić ludzie czynu, patryoci ożywieni miłością ojczyzny i Tyl stanął w ich szeregu. Brał on udział we wszelkich naradach patryotycznych, w Zjeździe słowiańskim, w dniach Zielonych świątek, prawie mimowoli znalazł się na barykadzie. Skoro zarządzono wybory do rady państwa w Wiedniu, Tyla wybrano posłem z okręgu Unhosckiego—mimo pobytu w Wiedniu nie zaniedbywał swego autorskiego obowiązku i zasyłał Hoffmanowi zawarowane kontraktem sztuki. W końcu r. 1848 wystawiono jego dramat „Jan Hus“, przyjęty z niesłychanym, patryotycznym zapałem i dotąd jeszcze w dni pamiątkowe z powodzeniem grywany. W Kromerzyżu, gdzie zebrano posłów, zmuszonych uciekać z Wiednia przez rozszalałą hałastrę, napisał dramat „Krwawy chrzest, czyli Drahomira i jéj synowie“, oparty na męczeństwie św. Wacława. Siódmego marca 1849 r. rozpuszczono sejm Kromierzyski i Tyl, wraz z innymi posłami wrócił do Pragi. Czeski teatr całkowicie zreformowano—głównym reżyserem i dramaturgiem był Tyl, drugim reżyserem Chauer. Trupa dramatyczna czeska składała się z 15 mężczyzn i 4 kobiet, w operze brało udział 5 mężczyzn i 5 kobiet. W składzie tym znajdował się J. J. Kolar, autor dramatyczny i tragik, zasłużony pracownik Kaszka, Szimanovsky, pani Hynkowa z mężem; długoletnia artystka, w rodzaju naszéj pani Kurcyuszowéj, panna Rajska, właściwie Forchheim, siostra żony Tyla. Wkrótce potém wystąpiła panna Peszkówna, uczennica Tyla, przez lat wiele pierwszorzędna artystka sceny praskiéj. Referent teatralny Paweł Szwanda, z Szemczic, ożenił się, w rok późniéj, z młodą a powabną artystką.

Hoffmann, człowiek praktyczny i przedsiębierczy wystawił na przedmieściu teatr letni, który otwarto w połowie r. 1849 fantastyczną sztuką Tyla „Widzenie Jerzego“. Od wypadków r. 1848 grywano bez cenzury, to téż udało się wystawić tragedyą Kolara, p. t. „Śmierć Żyżki“, w któréj zdolny aktor okazał się także niepospolitym dramaturgiem. Skoro tylko cenzura po dawnemu działać poczęła, tragedyą Kolara wykluczono ze sceny. Po czesku grywano w niedzielę i czwartki, a wydział krajowy, chcąc poprzéć te widowiska, przeznaczył w r. 1850 Hoffmanowi subwencyą.

Wszelako po tych świetnych początkach nowego rozkwitu, nagle przyszły ciężkie czasy dla sceny czeskiéj. Niemcy wypierali sztuki czeskie, a w końcu r. 1851 wydział krajowy odebrał Hoffmanowi subwencyą, w skutek czego znaczna część aktorów czeskich dostała uwolnienie. Tyla Hoffmann chciał utrzymać, ale przeciwko

niemu powstało zbyt wielu wrogów i zazdrośników. Niemcy nienawidzili go jako patryotę, ultramontanie nie chcieli przebaczyć mu „Jana Husa”, własni rodacy, mianowicie zazdrośnicy i intryganci, używali nieszlachetnéj broni, bezimiennych artykułów, które pojawiały się w niektórych czasopismach. Między wrogami nieszczęśliwego Tyla znaleźli się nawet autorowie dramatyczni, jak J. J. Kolar i Ferdynand Mikowec, autor „Zaguby rodu Przemysłowców”, redaktor „Lumira”, mimo, że ten ostatni wprowadzenie swe w świat literacki zawdzięczał Tylowi. Na dobitkę okoliczności zewnętrzne nie dozwalały napastowanemu bronić się należycie. Nakoniec gdy dawano dymisye aktorom czeskim, w teatrze i po za teatrem uknuto formalny spisek przeciwko Tylowi, zwłaszcza zawzięcie kopał pod nim dołki Mikowec. Charakter nieszczęśliwego pracownika był miękki, nastrojony na ton elegiczny, nie pochopny do mężnéj walki, Tyl więc postanowił ustąpić wrogom z drogi.

Radzono mu, aby założył towarzystwo na własną rękę na prowincyi, obiecywano nawet pomoc materyalną, ale w oczach rządowych figur był on osobistością podejrzaną i dwukrotnie prośbie jego odmówiono. Prześladowany przez obcych i swoich, z goryczą w duszy na niewdzięczność i złość ludzką, Tyl opuścił Pragę i przyjął reżyseryą w towarzystwie niemieckiém Kulasa, przy którém zorganizował oddział czeski. Właściwie ten oddział stanowił samodzielną trupę Tyla, ale w oczach władzy Kulas był jedynym dyrektorem. Tyl udał się do południowych Czech, gdzie wiodło mu się początkowo wcale dobrze, lubo musiał znosić szykany urzędowe, a w końcu w skutek denuncyacyi któregoś z *przyjaciół* w r. 1853, namiestnictwo zakazało przedstawień czeskich w trupie Kulasa. Ostatek utrapionego żywota spędził Tyl w trupie Józefa Sztandery i umarł w Pilznie 11 lipca 1856 r. w 48 roku życia. Pochowano go przy ogromném zbiegowisku ludu; po śmierci nie szczędzono mu wieńców w takiéj mierze, w jakiéj za życia kolców i utrapień, pamiątka zaś jego, jako pilnego pracownika na niwie powieści i dramatu, jako twórcy hymnu narodowego „Kde domov mój?“ pozostanie na wieczne czasy w literaturze.

Tymczasem w Pradze r. 1852 Hoffmann ustąpił z dyrektorstwa, a na miejsce jego powrócił znowu Stöger. Chauer, przez wrogów Tyla wyniesiony nad zasługę, a potém z kolei nielitośnie smagany i szarpany, miał wszelako tę zaletę, że pragnął podniesienia sceny czeskiéj i w tym duchu na Stögra nalegał. Stöger, brudny spekulant. dobrze wiedział, że przedstawienia czeskie, lubo tylko raz na tydzień w niedzielę dawane, ściągają publiczność do teatru, a pieniądze do kasy, wziął się więc do rzeczy, ale z przyrodzoném sobie wyracho-

waniem na korzyść własnéj kieszeni. Ustanowił dla Czechów gaże po 20 do 30 reńskich na miesiąc, a żeby honoraryów za oryginalne sztuki nie płacić, kazał, za liche wynagrodzenie, przekładać sztuki niemieckie. Przy takim stanie rzeczy teatr czeski ledwie mógł wegetować, tém więcéj, że to była doba reakcyi Bachowéj, czasy germanizacyjnego biurokratyzmu, kiedy Hawliczka wywieziono do Brixenu, Sacher-Masoch ojciec rządził, jak szara gęś, w muzeum czeskim, po nim dyrektor policyi Paumann, niemiec, rodem z Galicyi, prześladował patryotów w Pradze, a hałastrę *beamterów* rozsyłano po Galicyi, Węgrzech i Chorwacyi, aby tam imię czeskie w ogromną podali ohydę. Literatura i sztuka czeska wiodły smutny żywot, niemiec Stöger nie mógł myśléć o ich popieraniu na scenie, zresztą jemu szło o dochód jedynie. Kiedy niekiedy zjawiała się jakaś sztuka oryginalna czeska i to czasem najmniejszéj nie mająca wartości, jak np. dramat oberżysty Wlacha „Męczarnie zazdrosnych", lub obraz z czasów patryarchalnych „Ajajka i Nathanael", płód talentu Józefa Walaucha, piekarza z profesyi. Przez ciąg siedmiolecia powtórnych rządów Stögra, wystawiono zaledwie kilka dobrych utworów oryginalnych, jak „Magielona" i „Zazdrośni bracia" J. J. Kolara, oraz Mikowca „Dymitr Iwanowicz", mający być uzupełnieniem „Demetriusa" Szyllerowego. Stary Klicpera dał publiczności kilka nowych utworów, na których znać już starość ducha i osłabienie talentu zasłużonego pisarza. W końcu wystąpił młody autor Józef Wacław Fricz ze swémi historycznemi dramatami „Taras Bulba" i „Świętopełk i Rościsław". Od r. 1853 wprowadzono na scenę czeską Szekspira, którego starannie przekładał ks. Franciszek Doucha, ztąd okres ten aż do r. 1858 nazywają często peryodem Szekspirowskim. Chauer wystawiał arcydzieła nieśmiertelnego mistrza angielskiego trochę w sposób jaskrawy, krzykliwy, przypominający rycerskie dramata, ale był to zawsze krok wielce postępowy. Dostał się także na scenę czeską i „Faust" Goethego, w znakomitym przekładzie Kolara.

Rok 1859, który w Austryi rządowi przyniósł klęski wojenne, a ludom tyle upragniony upadek Bacha i systemu biurokratycznego, i teatrowi czeskiemu ucieszniejszą przyszłość zgotował. Już po Wielkiéj nocy spekulant Stöger ustąpił miejsca nowemu dyrektorowi Thomemu, który obu scenom niemieckiéj i czeskiéj nadał lepszy kierunek. W téj brzemiennéj przyszłością dobie zakończył żywot stary Chauer, pełen dobréj woli, ale słaby i po części nie umiejętny reżyser. Miejsce jego zajął J. J. Kolar, który już pozyskał był sobie głośne imię jako autor i aktor. W tymże roku śmierć zabrała Wacława Klemensa Klicperę; umarł on w 67 roku żywota, pozostawiwszy po sobie nie zatartą pamiątkę w literaturze, jako płodny pisarz,

pełen talentu i ożywiony duchem prawdziwie narodowym. Po téj stracie wystąpił cały szereg nowych pisarzy dramatycznych, jak Halek, Jerzabek, Pfleger-Moravsky, Neruda i inni. Podnietę do nowéj twórczości dały, podobnie jak u nas, konkursa dramatyczne, na które pieniądze ofiarował patryota, piwowar Ferdynand Naprstek. Pierwszy konkurs ogłoszono r. 1857 na dramata historyczne—z niego wyszły premiowane dwie prace „Jarosław", Hausmanna i „Świętopełk", Jerzabka. W roku następnym tryumfatorem był Halek aż z dwiema tragedyami „Zawisz z Falkensztajnu" i „Król Rudolf". W późniejszym czasie szczęście posłużyło Wacławowi Vlczkowi z jego tragedyą „Eliszka Przemysłowna", z czasów króla Jana ślepego, w któréj występuje córa naszego Przemysława, Elżbieta, zwana inaczéj Ryksą. W innym znowu konkursie na jednoaktówki wyszli zwycięzcami: Stankovsky z sztuką „Mały król" i Lier z „Florą" i ktoś jeszcze trzeci; „Mały król", wszelako przez rzeszoto cenzuralne na scenę się nie przedostał. Przy tych konkursach trzymano się téjże saméj co u nas metody, to jest udzielano akcesyty, stawiając główną nagrodę na niedościgłych wyżynach.

I skład trupy czeskiéj znacznie pomnożono; między innemi pozyskano pannę Libicką, która dotychczas była dyrektorką trupy na Morawie, oraz pannę Heintz, uczennicę Peszkowéj, która przez lat trzy zajmowała stanowisko pierwszéj bohaterki tragicznéj na scenie czeskiéj, a potém przeniosła się do Monachium.

Rok 1861, era konstytucyi Schmerlingowskiéj, przyniósł pewne zmiany teatrowi praskiemu, które i Czechom na dobre wyszły. Dotychczasowy teatr Stanów zamienił się w teatr krajowy, sejm czeski zrobił nacisk na wydział krajowy, aby więcéj dbał o przedstawienia w języku narodowym; w końcu roku Czesi doszli do tego, iż w teatrze pozyskali niemal równouprawnienie z Niemcami i grywali trzy razy na tydzień. Dramaturgiem był Szwanda ze Semczic, mąż pani Peszkowéj; pośpieszył on na to stanowisko, porzuciwszy urząd przy szpitalu i całą duszą oddał się sztuce dramatycznéj, która go od najmłodszych lat pociągała do siebie.

Thome, człowiek rozumny i bynajmniéj nie taki spekulant jak Stöger, pojmował dobrze i materyalne potrzeby teatru. Spekulacyjność Stögra dała mu jedną rzecz nader korzystną, mianowicie letni teatr zamiejski. Przedtém już istniało cóś podobnego w tak zwanéj Psztrosce, ale budynek stał za daleko, za to wystawiano tuż za wałami niedaleko bramy „Końskiéj" wielki teatr drewniany, zwany „Nowomiejskim". Był on wcale gustowny, obszerny i miał dach szklanny, rozsuwający się, co w czasie upałów letnich odświeżało powietrze i miły chłód wpuszczało. Zaczęto w nim grać już w kwietniu r. 1859

i pierwsze przedstawienie dano czeskie z uroczystym prologiem Gustawa Pflegra.

Tymczasem patryoci ustawicznie przemyśliwali o wybudowaniu dla swéj muzy osobnéj świątyni i przeprowadzenia stanowczéj separacyi scen czeskiéj i niemieckiéj, łączność ich bowiem wyglądała cóś na „małżeństwo z przymusu“, przyczém ta ostatnia odgrywała ciągle rolę dyspotycznego małżonka. Już od lat wielu kiełkowała śmiała myśl zbudowania „dostojnego” dla sztuki czeskiéj przybytku ze składek narodowych. Sprawa odrodzenia początkowo postępowała tak zwolna, borykała się z takiemi trudnościami, świadomość jéj celów tak nieznacznie wsiąkała w tłumy, iż wydawała się myśl owa czémś, w rodzaju zuchwałego marzenia. Gdy w r. 1845 na podaną prośbę do Stanów czeskich o ustąpienie Czechom jednéj koncesyi na teatr nie odpowiedziano, patryoci zwątpili o możności dopięcia swego celu z pomocą rządową i to z czasem doprowadziło do myśli odwołania się do narodu. W r. 1850 złożono „komitet budowy teatru Narodowego w Pradze” i puszczono odezwę, do składek wzywającą. Rząd stawiał rozmaite przeszkody, ale dochód z ofiar dobrowolnych, zabaw na ten cel, doszedł do takich rozmiarów, że zakupiono plac na przyszłą budowę w nader szczęśliwym miejscu, bo tuż nad Wełtawą, na rogu najlepszéj z ulic praskich, stanowiącéj niemal centrum ruchu miejskiego. Zbierano składki powoli, Rieger zaś począł kołatać o osobną budowę teatralną na „tymczasem“. Wydział krajowy, który od sejmu miał polecenie, aby dbał o scenę czeską, zgadzał się na żądanie Riegra, ale przytém pragnął wykręcić się sianem i chciał na ów cel przeznacyć jaki stary budynek lub wystawić za 100,000 złr. budę i to na rynku Józefowym, w żydowskiéj części miasta. Rieger póty pukał i kołatał, aż wreszcie wymógł, że te pieniądze obrócono na budowę murowaną w małych rozmiarach, któraby z czasem można było przyłączyć do wielkiego teatru narodowego jako salę koncertową lub mniejszą scenkę. Krzyczano na Riegra, że sprawę „dostojnego” teatru opóźnia, bo niejednemu młodzikowi zdawało się, że za trzy lata na pewno stanie owa pożądana i wymarzona budowa, ale czas pokazał, że oględny patryota miał zupełną słuszność.

Dnia 16 listopada 1862 r. po raz ostatni zagrali Czesi w teatrze, założonym przez Nostica; dawano sztukę Goethego „Goetz z Berlichingu“. W dwa dni potém w nowym teatrze tymczasowym rozpoczęto widowiska od dramatu Halka, p. t. „Król Wukaszyn”, czerpanego z dziejów serbskich. Nowy teatrzyk był mały, nie wiele co większy od naszego „Rozmaitości”— szczupły, ale własny. Radość Czechów i otucha co do przyszłości były niezmierne. Początkowo

dla braku należytych środków pieniężnych pozostawiono dawną wspólną dyrekcyą, Thome zarządzał i nad Wełtawą, ale intendentem był Rieger, a zarząd i kancelaryą ustanowiono osobno. Teatr rozwijał się, zakwitnął, szedł w górę, gdy tymczasem dumna scena niemiecka upadała coraz bardziéj. Na widowni czeskiéj wystąpiło teraz kilka nowych talentów, które pozostały do dziś dnia jéj ozdobą. Z nich przedewszystkiém należy wspomniéć. Otylię Malą, urodzoną w Wiedniu z czeskich rodziców i przez nich po czesku wychowaną. Dzieweczką jeszcze panna Malá odznaczała się jako deklamatorka i poczuwszy w sobie nieprzełamany pociąg do teatru, uczyła się sztuki u mistrzyni dramatu Elizy Peszkowéj. Po raz pierwszy wystąpiła jako Dziewica Orleańska i zrobiła wielkie wrażenie grą, pełną uczucia i poezyi. Przyjęta na stałe do teatru, wyszła wkrótce zamąż za p. Józefa Szklenarza, obecnego sekretarza teatru. Niemal od pierwszych występów swoich do dziś dnia pani Szklenarzowa - Mala jest najprzedniejszym filarem dramatu czeskiego, znakomitą przedstawicielką pierwszych ról tragicznych.— Prawie równocześnie pojawiła się na deskach panna Henryeta Rittersberg, córka polki i czecha, który długi czas przebywał we Lwowie. Wychowana więcéj po polsku niż po czesku, panna Slawinska (takie bowiem przybrała sobie imię) początkowo musiała z trudem nie małym zwalczać swą nie zbyt prawidłową wymowę czeską, z czasem jednak pozyskała całkiem dobrą dykcyą i w rolach poważnych cieszyła się uznaniem. Obecny pierwszy bohater p. Seifert rozpoczął wówczas swoją karyerę, grywając nader różnorodne role i komiczne i dramatyczne, dopóki nie doszedł do dzisiejszego swego stanowiska. Śpiewacy Wecko i Grund odznaczyli się pięknemi tenorami na scenie czeskiéj, ale dali się złudzić ponętą lepszéj płacy i przeszli na sceny niemieckie.

Od Wielkiéj nocy r. 1864 nastąpiła już zupełna separacya sceny czeskiéj od niemieckiéj; Thome przestał być jéj dyrektorem, a berło jego oddano w ręce Franciszka Liegerta. Rządy Liegerta nie trwały nawet półtora roku, ale była to doba niezwykłego rozkwitu. Przedstawienia dawano codziennie; repertoar był ciągle świeży, do pocztu artystów przybywały nowe siły, między innemi kapelmajster Czech i ulubiony dotąd jeszcze baryton Józef Lew, oraz znakomity bas Paleczek, obecnie śpiewający w Petersburgu. Wszelako produkcya oryginalna, pomimo poparcia ze strony sceny, osłabła, dawniejsi pisarze zaniedbali się, a nowe prace nie zdołały wywalczyć sobie trwałego miejsca w repertoarze. Za to podobały się wielce nowe sztuki francuzkie, które przysyłał z Paryża Józef Wacław Fricz, bawiący tam jako emigrant. Niezmiernem powodzeniem cieszyła się uroczystość jubileuszowa Szekspira; przez pięć dni dawano tragedye wiel-

kiego Wiliama, w których Kolar ojciec odgrywał główne role, kończąc już niezadługo swoję służbę na scenie narodowéj. Epilogiem jubileuszu 23 kwietnia było wspaniałe przedstawienie w teatrze Nowomiejskim, złożone z obrazów żywych, treści Szekspirowskiéj i z kolosalnego pochodu osób ze sztuk mistrza dramatu, postępujących przy dźwiękach muzyki Fryderyka Smetany.

Liegert starał się wielce o gościnne występy artystów zagranicznych—pomiędzy innymi występowała tutaj Helena Zawiszanka, która już przedtém zyskała sobie imię na warszawskiéj scenie. Zawiszanka przyjęta z zapałem jako śpiewaczka i Polka pozostała dłuższy czas (zdaje się, że rok z górą) na scenie praskiéj i dopiero ztamtąd udała się do Niemiec.

Działalność Liegerta, tak błoga dla estetycznego rozwoju teatru, nie liczyła się jednak z materyalnemi warunkami i pociągnęła za sobą kryzys, w obec któréj szukano pomocy u dawniejszego dyrektora Thomego. Doświadczony ten mąż miał dobrą wolę poprawienia interesów teatru, ale nastała w r. 1866 wojna austryacko-pruska, widownią jéj były Czechy i Thome rzucił dyrekcyą. Teatr czeski pozostawał blizko dwa miesiące bez wodza i naczelnika, artyści w tém bezkrólewiu musieli sobie radzić sami. A rok ten nieszczęsny zaczął się nader obiecująco — pojawiło się kilka nowych niezgorszych komedyj, a mistrz muzyki narodowéj Fryderyk Smetana wystawił dwie pierwsze swoje opery „Sprzedana narzeczona" i „Brandeburczycy w Czechach"; z tych pierwsza do dziś dnia jest tak miłą Czechom, jak nam „Halka" Moniuszki.

Za okupacyi pruskiéj w teatrze dawać widowisk nie przestano, zresztą artyści zmuszeni byli kilkakrotnie grać na własny benefis. Ponieważ cenzorowie austryaccy, wraz z bandą urzędników i policyą umknęli przed wrogiem, Prusacy ustanowili cenzora teatralnego, w osobie zmarłego niedawno Józefa Baraka. Nie mając na karku oficyalnych stróżów czystości repertoaru, teatr nabrał śmiałości i wyprowadził na deski, zakazane przed laty, sztuki patryotyczne „Jana Husa", przez Tyla i „Śmierć Żiżki", dramat Kolara, które ściągały gęste tłumy do teatru Nowomiejskiego i odtąd pozostały na repertoarze.

Ciężka próba smutnego bezkrólewia w końcu na dobre wyszła teatrowi czeskiemu; pomyślano wreszcie o postawieniu go na trwalszéj podstawie. Około téj sprawy zakrzątnął się gorliwy Rieger, który, lubo przeważnie działalnością polityczną zajęty, nie małą pieczę teatrowi poświęcał. Za jego staraniem w końcu r. 1866 utworzyło się towarzystwo (*drużstvo*) teatralne i wzięło na siebie zarząd ową

instytucya narodową. Prezesem obrano bogatego i pełnego dobréj woli radcę miejskiego, Franciszka Psztrosa, wice-prezesem został znany dziennikarz Skrejszovsky, piwowar Ferd. Naprstek, wspomniony już wyżéj twórca konkursów, objął urząd kontrolera, a sekretarstwo Józef Sklenarz. Reżyseryą powierzono staremu Kolarowi, który przedtém pogniewał się był z teatrem czeskim i czas jakiś bawił przy niemieckim. Kapelmistrzami byli Smetana, A. Czech i W. Szebor, którego opera „Templaryusze na Morawie“ dała świadectwo o niepowszednich zdolnościach kompozytora, dotychczas, niestety nie spożytkowanych należycie. Powitanie marnotrawnego syna Kolara przez publiczność czeską miało charakter burzliwéj owacyi. Zanim pojawiły się nowe siły, zdolny śpiewak tenor Lukes, pani Szamberkowa, tragiczka wyrobiona pod kierunkiem Szwandy na prowincyi, nareszcie Jerzy Bittner, dotychczas najbardziéj elegancki z aktorów czeskich. Przed wejściem do teatru Bittner jako ochotnik brał udział w ówczesnych wypadkach wojennych i przy téj sposobności zapoznał się z naszym językiem i narodem. Teatr krakowski był dla niego pierwszą szkołą i wzorem i od naszych artystów przyjął manierę, wyróżniającą go z pomiędzy artystów czeskich, którzy aż dotąd hołdują patetyczno-jaskrawéj szkole niemieckiéj. Wstąpiwszy na scenę, zachęcał do wprowadzenia do repertoaru czeskiego nowszych sztuk polskich i za jego to inicyatywą publiczność zapoznała się z młodszym Fredrą i Kaz. Zalewskim. Bittner wraz z drugim aktorem Puldą przekładali owe sztuki nasze.

W pierwszym roku działalności *drużstwo* było nader czynne i zabiegłe—wystawiano chętnie i starannie opery i dramata czeskie; pomiędzy pierwszemi „Drahomirę“ Szebora i wyborną jednoaktową operkę Blodka „W Studni“. W dziedzinie komedyi i dramatu pojawiły się nowe sztuki starego Wenziga, Pflegra, Stankowskiego i Wlczka „Eliszka Przemyslowna“. Po raz pierwszy naonczas wystąpił z nader zręczną i misternie napisaną komedyą p. t. „Z kotylionowych czasów“, Emanuel Bozdiech i obudził wielkie nadzieje i oczekiwania. Komedya jego, skomponowana metodą Scribego, podobała się niesłychanie, zarzucano jéj tylko, że przedmiot został poczerpnięty nie z życia narodowego, ale z dziejów francuzkich, mianowicie z epoki Ludwika XV. Bozdiech napisał późniéj dramat „Baron Goertz“, z dziejów szwedzkich, a po niejakim znowu czasie „Pan świata w szlafroku“, gdzie wystawił Napoleona I w życiu domowém. Miała także nie małe powodzenie jednoaktowa komedya jego, rozerwana potém z powodu swéj długości na dwa akty „Próba dyplomaty“, t. j. Kaunica, dającego na dworze wiedeńskim pierwsze dowody swoich politycznych zdolności. Mniéj udała się Bozdiechowi

sztuka „Awanturnicy“, przedstawiająca nieszczęsnego i niedołężnego cesarza Rudolfa II jako igraszkę zagranicznych szarlatanów.

W zimie z r. 1867 i 1868 *drużstwo* prowadziło daléj poczęte dzieło, nie żałując ofiar materyalnych i chętnie wprowadzając na scenę wszelkie nowości oryginalne, nie tylko tak znakomite prace jak opery Smetany „Dalibor“ i Bendla „Lejlę“, z muzyką w duchu wschodnim, zastosowaną do fabuły z dziejów maurytańskich, ale i mniéj więcéj zręcznie fabrykowane krotochwile okolicznościowe. W tych ostatnich celuje do dziś dnia artysta sceny praskiéj Szamberk. Z tragedyj szczególniéj podobała się „Milada“ Wlczka, oparta na dziejach braci czeskich, za Władysława II (Jagiellończyka); w „Miladzie“ odznaczyła się grą pełną czucia i poezyi pani Sklenarzowa-Malá, obecnie pierwsza tragiczka. Nie mały talent dramatyczny okazała wtedy urodna panna Kalkmüllerówna, występująca krótko, niestety, pod pseudonimem Horskiéj.

Maj r. 1868 pozostanie niezapomnianym w pamięci narodu czeskiego dzięki uroczystości położenia kamienia węgielnego pod wspaniałą teatru narodowego budowę. Była to nader okazała uroczystość, ze wszech stron ziemi czeskiéj garnęły się deputacye, tłumy widzów, przybyli przedstawiciele całego świata słowiańskiego, których podejmowano nader gościnnie i wystawnie. W uroczystym pochodzie szli przedstawiciele rozmaitych cechów praskich, stowarzyszeń, wysłańcy z Czech, Morawy i Szląska, postrojeni w narodowe szaty, częstokroć sięgające dawnych wieków, a cały lud czeski cieszył się i weselił, widząc w tym obchodzie świetną demostrancyą, świadczącą o żywotności odradzającego się narodu. Od téj chwili rozpoczęło się budowanie wspaniałego gmachu pod kierunkiem budowniczego prof. Józefa Zitka, który nakreślił plan w stylu odrodzenia. Owego stylu piękny okaz posiada Praga na górze Zamkowéj (Hradczanach), mianowicie tak zwany Pałacyk letni Anny Jagielonki (żony Ferdynanda I), noszący także imię Belwederu lub Obserwatoryum Tychona Brahego. Roboty postępowały nader powoli, albowiem składki sączyły się skąpemi strumyczkami; kraj cierpiał wskutek klęsk przyrodzonych, tracił pieniądze z łaski wiedeńskiego krachu, a przytém walka stronnictw staro i młodoczeskiego odstręczyła ludzi od kwestyi teatralnéj. Dopiéro gdy roku 1877 nastąpiło wskutek nacisku całego niemal narodu zbliżenie się pomiędzy wrogiemi stronnictwami, znowu kraj hojne posypał dary, a fundusze wielce zasiliła loterya narodowa, która dała czystego zysku przeszło 170,000 złr. Pomyślano jeszcze o innych źródłach, wydano nawet pismo zbiorowe p. t. „Naród sobie,“ które dało 11,000 złr. czystego zysku, aż wreszcie do r. 1881 zebrano 1,800,000 złr. Budowa ukończoną została; dalsze jéj losy pozostawiamy na późniéj.

W rok po położeniu kamienia węgielnego wzniesiono jeszcze inną budowę, mianowicie teatr letni, czyli tak zwaną *arenę* na wałach praskich. Do tego kroku zniewoliły *drużstwo* dwie okoliczności, po pierwsze, że w letnie upały publiczność do teatru tymczasowego chodzić nie chciała, po drugie, że za przedstawienia w teatrze Nowomiejskim trzeba było płacić znaczną sumę i grywać tylko w dni wolne od przedstawień niemieckich. Arena wyglądała dość pokaźnie, zbudowano ją z drzewa, bez dachu, który zastępowała opona płócienna od strony słonecznéj, nie osłaniająca jednak publiczności od deszczu, to téż w razie onego przedstawienie przerywano, zwracając publiczności pieniądze, jeśli to stało się jeszcze w trakcie pierwszego aktu. Odegranie pierwszego aktu pozbawiało widzów prawa do odebrania zapłaty za bilet. Pierwsze przedstawienie w arenie odbyło się 17 lipca 1869 r. dawano w niéj nową komedyą, a raczéj farsę pseudohistoryczną „Mrówki.“ Bohaterem jéj był malarz czeski z przeszłego wieku Rainer, naczelnik klubu artystycznego „Mrówek,“ który wziął sobie za zadanie ucinać poniemczonym mieszczanom praskim *copy* czyli warkocze u peruk, co, rozumié się, dawało pochop do skandalów ulicznych i komicznych sytuacyj. Publiczność bawiła się wybornie, zwłaszcza wprawiał ją w szaloną wesołość ulubiony komik Moszna, grający na onczas rolę famulusa Rainerowego. Obok Moszny pozyskał wielką wziętość Frankowsky, wyborny komik, świeżo przeszły na scenę z towarzystwa prowincyonalnego Szwandy, który latem grywał w arenie na przedmieściu Smichowie. W tymże roku (1869) wystąpiła także primadonna Marya Sittówna, pamiętna i nam jako miły gość na naszéj scenie.

Do areny publiczność chodziła chętnie, nie potrzebując dusić się latem w ciasnéj sali teatru tymczasowego. Początkowo dawano w niéj sztuki lepsze, lubo lekkie, najwięcéj oryginalne krotochwile, z pomiędzy których szczególniéj zyskała sobie popularność „Krawiec i szewc“ Józefa Sztolby.

Wszelako z czasem poczęto wabić publiczność operetkami Offenbacha, Lecoqua i Suppégo oraz farsami niemieckiemi, przykrojonemi do czeskich zwyczajów. Jedne i drugie ściągały widzów, pomimo swéj niedorzeczności, nawet takie jak „Bandyci“ i „Księżniczka Trebizondy,“ które u nas haniebnie upadły; przełykano strusim iście żołądkiem największe lichoty, zwłaszcza jeśli je okraszono aluzyami politycznemi. Nie do uwierzenia, że tłumy widzów biegały na różne klejonki, jak np. „Chniap, Lap i Szniura,“ zbieraninę różnych głupstw bez ładu i składu, gdyż były tam, grube żarty z ministrów austryackich i satyra na system *szpiclów*, dobrze jeszcze pamiętny Czechom z doby Meternicha, a potém Bacha. Tak więc

arena, lubo dobrze posłużyła kasie teatralnéj, wpłynęła niemało na obniżenie repertoaru. W roku 1869 jednak dawano jeszcze dobre sztuki, między innemi odegrano bliżéj nas obchodzący dramat zawcześnie zgasłego Bernarda Guldenera „Gad w różach,“ przedmiotem którego był pobyt Poniatowskiego, jeszcze stolnika litewskiego, w Petersburgu i stosunek tegoż do wielkiéj księżnéj Katarzyny. Fabułę dramatu poczerpnął autor z „Pologne illustrée“ Leonarda Chodźki. W dbałości o należyty wybór repertoaru zaproszono na dramaturga Emanuela Bozdiecha. Po dwóch szczęśliwych próbach Bozdiech udał się do Paryża, gdzie przepędził całą zimę, studyując nader pilnie teatry i stosunki teatralne. Zdawało się, że niepodobna było wybrać osoby bardziéj odpowiedniéj na stanowisko dramaturga jak autora pełnego talentu i zbogaconego doświadczeniem, ale Bozdiech, nie mogąc zgodzić się z reżyserem Kolarem i zarządem teatralnym stanowisko swoje niebawem opuścił.

W r. 1870 dawano w teatrze kilkanaście nowych sztuk oryginalnych, z których utrzymał się na repertoarze jedynie dramat F. Jerzabka „Sługa swego pana“, osnuty na tle stosunków pomiędzy ludnością fabryczną, a pracodawcami. W teatrze zyskiwały coraz więcéj uznanie artystki Sklenarzowa-Mala, Szamberkowa i Czermakówna, nader powabna i zdolna aktorka naiwna, która po kilku latach świetnéj karyery teatralnéj zrobiła jeszcze świetniejszą partyę, gdyż wyszła za mąż za młodego księcia Kounica. Za to pozbyto się bez żadnéj przyczyny Eliszki Peszkowéj, która wystąpiła po raz ostatni 25 lipca, pożegnana entuzyastycznie przez publiczność, a nader chłodno przez zarząd teatralny. Mąż jéj Szwanda ze Semczyc już od r. 1865 miał osobną trupę prowincyonalną, grywającą latem na przedmieściu Pragi Smichowie. Peszkowa więc do dziś dnia występuje w tém towarzystwie, przyświecając mu swoim niespożytym talentem.

Od następnego roku rozpoczyna się znaczny upadek repertoaru, a za nim idący zawsze w ślady upadek gustu w publiczności, którą głównie entuzyazmowała „księżniczka Trebizondy.“ Produkcyą oryginalną zaniedbywano coraz bardziéj, mimo to pojawiły się trzy nowe opery oryginalne, dwie Roszkosznego, a jedna Miechury p. t. „Marya Potocka,“ bohaterką któréj jest owa niewolnica polska w Bakczyseraju, któréj pamięć uczcili Mickiewicz w „Sonetach Krymskich“ i Puszkin w poemacie „Fontanna w Bakczyseraju.“ Z dramatów wielce podobał „Żyd praski“ starego Kolara, utwór więcéj na efektach zewnętrznych, aniżeli na wewnętrznéj głębi dramatycznéj oparty.

W następnym (1872) roku wystąpiła na scenie nader zdolna debiutanka Helena Wewerkówna. Poczet artystek się zwiększał, w rok późniéj przybyła sumienna i zdolna panna Boubinówna, późniejsza małżonka artysty Bittnera, i pełna sprytu i humoru panna de Pauli, nieporównana w rolach suberetek i innych komicznych. Za to odeszło kilka innych, między niemi wielce obiecująca Horska i Czermakówna, dzisiejsza księżna Kounicowa, dobrego zaś basistę Dobsza zwabił urokiem lepszéj płacy teatr niemiecki, który już od dawna wyławiał złotą wędką teatrowi czeskiemu jak naprzykład tenora Weckę i obdarzonego fenomenalnie pięknym barytonem Szebestę. Sztuk nowych oryginalnych przybywało coraz mniéj, a te nie utrzymały się, z wyjątkiem wspomnionego już utworu Bozdiecha „Próba dyplomaty.“ Rzadki ten okaz komedyi politycznéj napisany jest istotnie z wielką subtelnością dyalogu obok zręcznie lubo nie kunsztownie zawiązanéj intrygi; dyplomatą, składającym próbę swego talentu jest tutaj znany minister, książę Kaunic, którego grał nader starannie Bittner, pani zaś Sklenarzowa-Mala była cesarzową Maryą Teresą. Prasa żwawo nacierała na teatr, wytykając upadek repertoaru, wprowadzanie na scenę ślizkich sztuk francuzkich, zaniedbywanie produkcyi oryginalnéj. Najwięcéj dostawało się dyrektorowi artystycznemu, Kolarowi, któremu wyrzucano lekceważenie teatru, robienie z niego igraszki swego zdziwaczałego humoru, aż wreszcie stary artysta i autor urząd swój złożył w ręce stowarzyszenia teatralnego. Na jego miejsce powołano dawniejszego kapelmajstra Mayra. Nowy dyrektor głównie zwrócił uwagę na finansową stronę instytucyi i rzeczywiście udawało mu się spłacać po trochu znacznie wzrosłe w ostatnich czasach długi, ale rozwój artystyczny teatru przechodził jego zdolności. Opera jeszcze postępowała sama dzięki takim talentom jak Smetana, Fibich i Dworzak. Za to dramat upadł niesłychanie, zamiast dzieł talentu pokazywały się na scenie fraszki, klecone przez aktorów. Wszelako w tym czasie pojawił się wielce obiecujący talent, młody czech zrodzony w Dalmacyi, J. O. Wesely. W pierwszéj swéj komedyi „Na arenie literackiéj“ nakreślił śmiałemi rysami, jak starszyzna piśmiennicza postępuje względem młodych talentów, a snadź, aby żab we własném błocku nie poruszać, akcyą przeniósł do... Paryża. Lubo dalsze próby Weselego były słabsze, młody autor budził wielkie nadzieje, lecz niestety padł ofiarą suchot w nader wczesnym wieku.

Mianowanie Mayra dyrektorem przypadło na bardzo nieszczęśliwe dla niego czasy; była to bowiem doba niesłychanéj zaciętości w walce pomiędzy stronnictwami narodowemi. Czesi w przeciągu lat kilku podkopali dawniéj zasłużoną sławę taktu i karności poli-

tycznéj; teraz stronnictwa postradały wszelką równowagę i darły się pomiędzy sobą ku większéj uciesze wspólnych, a złośliwych wrogów. Waśń stronnicza nie oszczędziła i teatru. Już to samo, że Mayr dostał się na swe stanowisko z poręki Staroczechów, czyniło go podejrzanym i niemiłym w oczach partyi młodoczeskiéj. Wszelako Mayra rządy oburzały wszystkich dobrze myślących, dbały one jedynie o interesa kasowe, których dopatrywały w wystawianiu nowości francuzkich, a nawet niemieckich i to nie w najlepszym rodzaju. Ten kierunek rozwijał się już od roku 1872, ale w owym czasie doszedł do szczytu. Na scenę praską wjechały „Fernandy," „Okrzyczane domy," „Trzy pary trzewików;" w arenie dawano dzień po dniu wyuzdane farsy wiedeńskie i berlińskie w rodzaju „Księdza pastora i zakrystyana," któréj to farsy cała treść obracała się około spotkania pastora ze swym zwierzchnikiem w przybytku rozpusty. Na pozione błaznowanie zużywano niepospolite już na onczas siły artystyczne, a całą wymówką było stereotypowe, że „to się publiczności podoba." Teatr stał się gorzéj niż macochą dla sztuk oryginalnych, to téż produkcya dramatyczna u Czechów niesłychanie osłabła i niemal upadła. Już w lutym 1874 roku Wacław Wlczek pisał w swym miesięczniku „Oswieta:" „Czeska literatura z czeskiego teatru wypartą została!... Czeski teatr i artyści czescy zostali ostatecznie skonfiskowani, aby całkiem obczyźnie służyli"!... Gorącemi i energicznemi słowami odzywał się Wlczek, przedstawiając krzywdę, którą teatr wyrządza sztuce ojczystéj, duchowi narodowemu, odzywali się także i inni, ale wszystko to... głosem wołającym na puszczy.

Lubo wielce do pracy w dziedzinie dramatu zniechęceni, autorowie czescy próbowali odzyskać wpływ na teatr przez połączenie się w tak zwanę *Jednotę* czyli stowarzyszenie autorów i kompozytorów dramatycznych czeskich, prezesem którego obrano Witesława Halka, a po rychłéj tegoż śmierci Gustawa Pflegra. *Jednota* obrała sobie nader pożyteczne cele, wzajemne popieranie i bronienie swych interesów autorskich w obec teatru i w r. 1875 podała temuż memoryał, w którym cyframi dowiodła, że w zimowym sezonie roku 1874 i 1875 na 205 przedstawień wieczornych literaturze czeskiéj użyczono zaledwie 21 wieczorów, gdy tymczasem 23 zajął sam Sardou, a 21 Lecocq ze swemi trefnisiowskiemi operetkami. Resztę rzucono na pastwę innym Francuzom i Niemcom, pomimo uznanego ubóstwa wewnętrznego dramatycznéj produkcyi tychże. Memoryał nie wahał się wypowiedzieć wyraźnie, że teatr literaturę czeską po prostu... *zabija* i przeciwko kierunkowi jego protestował w imieniu autorów czeskich, sztuki czeskiéj, ducha czeskiego!

Niesłychanego skandalu narobiło wystawienie w styczniu r. 1875 „Rabagasa,“ owéj złośliwéj satyry, którą w Paryżu Sardou rzucił w twarz republikanom i liberałom. Sztuki téj, mówiąc nawiasem, i gdzieindziéj ku temuż celowi używano. „Rabagasa“ wystawiono bardzo starannie, obsadzono najlepszemi siłami, nawet epizodową rolkę Petrowskiego oddano Mosznie, aby „większe robiła wrażenie.“ Młodoczesi zerwali się na równe nogi—widzieli oni w tém grad kamieni, rzucony do ich obozu, posypały się więc protesty, skargi, co wszystko jeszcze bardziéj antagonizm stronniczy zaostrzyło.

Właśnie w tymże roku (1875) antagonizm ów doprowadził do ostatecznego rozerwania węzła karności, łączącego oba stronnictwa. Młodoczesi postanowili rzucić dotychczasową politykę i weszli do sejmu czeskiego. Jednym z nielicznych owoców tego kroku było to, iż otrzymali od wydziału krajowego zarząd teatru na lat sześć. Młodoczesi oddali się różowym marzeniom, rozprawiano o najróżnorodniejszych reformach, układano komitety wszelkiego rodzaju, jednéem słowem przystępowano do dzieła z zamachem, każącym spodziewać się czegoś niezwykłego. Tymczasem Staroczesi nie zasypiali gruszek w popiele, i ze swéj strony gotowali się do postawienia przeciwników w niełatwém położeniu. Do wielkanocy r. 1876 wlekła się jeszcze dyrekcya Mayra, przypominająca wtedy gospodarowanie rządcy, któremu dziedzic już służbę wypowiedział. Od wielkanocy zarząd objęli Młodoczesi i zaraz na wstępie dobrze poznali, iż dostał się im nader twardy orzech do zgryzienia. Obejrzawszy się po sobie, spostrzegli, że nie mieli człowieka, w którego ręce można byłoby oddać dyrekcyą. Traf wszelako nadarzył im dyrektora. Właśnie naonczas zdolny i umiejętny dyrektor teatru niemieckiego R. Wirsing w skutek intryg musiał zrzec się stanowiska swego. Oburzonego i zagniewanego Młodoczesi zaangażowali na dyrektora, licząc na to, że choćby przez uczucie przekory interesa teatru czeskiego dobrze poprowadzi. Istotnie Wirsing na nowém stanowisku okazał jak najlepsze chęci, ale mimo to Młodoczechom postawienie niemca na czele instytucyi narodowéj bardzo za złe wzięło wielu patryotów i do nowego zarządu zniechęciło się niemało.

Inne trudności zgotowali zarządowi Staroczesi, zabierając garderobę i bibliotekę, a nadto zastosowali oni do teatru fortel, dotąd praktykowany na polu polityczném. Za inicyatywą J. Skrejszowskiego, trzęsącego całą partyą, Staroczesi przestali chodzić do teatru, a co więcéj urządzili sobie teatr na swoję rękę. Arena na wałach była niezaprzeczoną ich własnością, a ponieważ wały uległy zburzeniu, przeto arenę przeniesiono nieco daléj na przedmieście. Do tego teatrzyku letniego, który żartem z niemiecka nazywano

„trucareną“ tj. *areną na przekor*, powołano Szwandę z jego trupą, grywającą na Smiechowie co lata i tym sposobem Staroczesi mieli swój teatr i do tego letni, na którym Młodoczechom zupełnie zbywało.

W gorące dni letnie publiczność nader niechętnie chodziła do ciasnéj i dusznéj salki teatru tymczasowego, przeto żarliwsi z Młodoczechów na łeb na szyję budowali drewnianą budowę na ogromną skalę i już w sierpniu poczęli dawać w niéj przedstawienia. Teatr ten, zwany „Nowym“ wystawiony został na podobieństwo teatru Nowomiejskiego i podobnie jak ten jest ogromną budą drewnianą z rozsuwanym przy wtórze skrzypienia dachem i bardzo lichym rezonansem. Niedarmo ktoś powiedział, że największą przysługę zrobiłby Czechom ten, coby tę budę podpalił, gdyż wtedy dostaliby sumę asekuracyjną w nagrodę za gmach mało przydatny.

Tak więc dopięli Młodoczesi swego—mieli w rękach teatr „tymczasowy“, letni teatr „nowy“ i rozpoczęli trudne dzieło prowadzenia sceny w warunkach niesłychanie ciężkich zwłaszcza ze strony finansowéj, któréj zarząd wziął na siebie zmarły już Ferdynand Dattel, księgarz, człowiek zacnego charakteru i jeden z najzapaleńszych Młodoczechów. Urząd dramaturga powierzono współpracownikowi *Narodnik Listów* J. Arbesowi, znanemu noweliście w rodzaju Edgara Poe, a naczelnym reżyserem był syn Jerzego Kolara, podobnież jak on zdolny aktor i niezły rysownik w dodatku, Franciszek Kolar. Wszelako teatrowi nie darzyło się mimo wszelkich usiłowań Wirsinga. Z nowości czeskich ukazała się jedynie piękna opera Smetany „Pocałunek,“ do któréj napisała Eliszka Krasnohorska libretto, osnute na nader wdzięcznéj powiastce wiejskiéj Karoliny Świetli. Z artystek opuściły scenę czeską dwie zdolne aktorki Julia Szamberkowa i Helena Wewerka, za to w skład trupy weszły M. Lauschmann, śpiewaczka, obdarzona urodą i wdzięcznym kontraltem, i Ludmiła Rottówna, która, porzuciwszy teatr praski po trzech latach, dziś marnuje swój niepowszechny talent na deskach sceny prowincyonalnéj.

Rozdwojenie pomiędzy stronnictwami poczęło dochodzić do takich objawów, że cała rzecz musiała dojść do absurdu. Oba stronnictwa gorliwie pracowały nad tém, aby skompromitować swoję zaciekłość, a opinia publiczna mocno sarkała na postępowanie, które przynosiło korzyść jedynie wrogom narodu. Już na pogrzebie Palackiego odzywały się głosy, domagające się pojednania i zgodnéj pracy. W czasopismach wrzała otwarta lub zamaskowana walka, nawet nie wahano się używać inseratów dla okrywania obelgami przeciwnika, oddawano sobie pięknem za nadobne, jeden tylko Wa-

cław Wlczek w miesięczniku swoim „Osvieta“ ostro chłostał rozdwojenie i wołał o rychłą naprawę. Głos jego i wielu innych rozumnych patryotów nie przebrzmiał bez echa. Pierwszy krok do pogodzenia się zrobiono właśnie na tém polu, które było jabłkiem niezgody. Młodoczesi wyprawili deputacyą do Riegera, prosząc go, aby wdał się jako pośrednik w sprawę tak zarządu obecnego teatru jak i budowy teatru narodowego i nakłonił Staroczechów do zgodnego z przeciwną partyą działania. Rezultatem rokowań było ułożenie nowego, mieszanego *drużstwa*, które składało się teraz z przedstawicieli obu stronnictw. Dyrektor Wirsing ustąpił, a wkrótce potém zakończył żywot, zostawując po sobie pamięć uczciwych chęci. Dyrekcyą objął dr. Daszek, a po nim w r. 1878 znowu do steru dostał się Mayr, co wywołało nowe krzyki i wrzaski. Początkowo Mayr był tylko dyrektorem gospodarczym, artystyczne dyrektorstwo piastował Franciszek Kolar, ale temu sprzykrzyło się kłopotliwe stanowisko i powrócił do swéj naczelnéj reżyseryi.

Właśnie w tych czasach zjawiło się na polu piśmiennictwa dramatycznego kilka nowych sił, wiele na przyszłość obiecujących. Władysław Stroupeżnicky wystąpił z kilku komedyami, po których napisał efektowny dramat, nagrodzony na konkursie, p. t. „Czarne dusze.“ Niezadługo ukazał się niezły komedyopisarz w farsowym tonie, Sokol, umiejący zręcznie chwytać śmieszne strony mieszczaństwa *per modum* Bałuckiego; komedye jego „Faryzeusze,“ „Posestrima,“ „Stary patryota,“ budząc szczerą wesołość, podobały się publiczności. Jerzabek wystąpił także z premiowanym dramatem historycznym „Syn człowieka,“ osnutym na tle wojny siedmioletniéj.

W roku 1879 repertuar, bardzo w owym roku ubogi, dostał się pod kierunek, nowego dramaturga, dra Gutha, którego jedyną zasługą było to, że pisywał nader cięte recenzye teatralne w „Polityce,“ dzienniku sprawy czeskiéj, pisanym po niemiecku. Dr. Guth na nowém stanowisku okazał jedynie grymaśną wybredność, połączoną z niedołęstwem w kierowaniu repertoarem; szczególniéj zostawił po sobie pamiątkę, że bardzo niechętnie przyjął myśl zaproszenia panny Deryng na gościnne występy, przepowiadając im kompletne fiasko. Dowiódł on tém, że nie danym mu był dar przewidywania, albowiem znakomita artystka nasza, przyjęta sympatycznie jako polka, talentu swego potęgą i wyższością szkoły obudziła nie pamiętny od dawien dawna entuzyazm. Występy jéj w „Romeo i Julii“, „Fauście“, „Deborze“ i „Mazepie“, deklamacya na koncercie towarzystwa „Slawii“, pozostały do dziś dnia w trwałéj pamięci. Poklaskom i owacyom końca nie było. Powtórne wystąpienie panny Deryng w dwa lata potém było drugą seryą powodzenia i owacyi.

W r. 1880 wypowiedziano miejsce Guthowi i kierunek repertoaru powierzono Józefowi Wacławowi Friczowi, który po latach na emigracyi spędzonych w końcu do kraju powrócił. Fricz wszelako niedługo na swym urzędzie pozostawał, i dłuższy czas obywano się bez dramaturga, radząc sobie z repertoarem według zasady: jakoś to będzie!

Na polu produkcyi dramatycznéj od chwili fuzyi staro i młodoczeskiéj objawił się ruch niezwykły, idący co roku w postępie rosnącym, co daje niemałą otuchę, że i w téj gałęzi piśmiennictwa Czesi dorobią się cierpliwie należytego plonu. Dziś zwłaszcza stwierdza te nadzieje, że teatr sam chętnie popiera każdy obiecujący krok ze strony nowych talentów, nie utrudniając im jak gdzie indziéj drogi grzeszną obojętnością, pokrytą płaszczykiem rzekomo wybrednych wymagań. Brak Czechom tylko rozumnéj krytyki, gdyż recenzye teatralne zazwyczaj mają charakter albo nielitosnego smagania i druzgocących wyroków ferowanych, z niedościgłych wyżyn przez krytyka, grzmiącego z obłoku nieomylności, albo téż są stereotypowemi, a nic nie mówiącemi panegirykami, których źródłem jest uczynność koleżeńska, lub téż dobre serce pana recenzenta.

W dramacie muzycznym czyli operze pierwsze miejsce trzyma stary mistrz Fryderyk Smetana; głęboka nauka muzyczna i talent niepowszedni podały tu sobie ręce—jest on w ostatnich swych pracach zwolennikiem wagneryanizmu, ale misterna harmonia nie głuszy w nim świeżych i bogatych melodyj. Szczytem jego działalności jest opera „Lubusza,“ nagrodzona na konkursie teatru narodowego, komiczne zaś utwory „Sprzedana narzeczona,“ „Pocałunek“, „Tajemnica“ posiadają urok popularnych oper, wykończonych z całą misternością mistrza formy instrumentacyjnéj. Obok Smetany świetne pozyskali imię Bendel, Fibich i niesłychanie zdolny Antoni Dworzak, którego wychowanie pierwotne przeznaczało na... garncarza. Wielce obiecujący Szebor zniknął z widnokręgu, pracując gdzieś na obczyźnie, a inny utalentowany muzyk Naprawnik zbiera laury i pieniądze jako dyrektor opery w Petersburgu, gdzie wystawił operę „Nowogrodzianie,“ okazującą, iż Czech ten jest dziś jednym prawowitym spadkobiercą ducha Glinki. Nie godzi się także pomijać Rozkosznego i Blodka, autora nader lubionéj jednoaktówki „W studni“. W ogóle Czesi najnowszą uprawą opery potwierdzili powszechne mniemanie, poczytujące ich za naród *par excellence* muzykalny. Na zawstydzenie nasze musimy dodać, iż oni wcześniéj od nas poznali się na niejednym polskim talencie, między innemi na nieboszczyku Dunieckim, którego „Pokusa“ przyjętą była w Pradze nader sympatycznie.

Na polu właściwego dramatu w ostatnich czasach zrobiono krok niemal olbrzymi. Najlepsze siły piśmiennicze zwróciły się do produkcyi dramatycznéj, znajdując dzielną ostrogę w sympatyi, którą teatr i publiczność okazują względem prac oryginalnych. Jarosław Vrchlicky, lubo dotąd głównie jako liryk znany, wystąpił i na deskach teatralnych. Na pierwszy jego utwór „Drahomirę", lubo nie grany ze względów cenzuralnych, krytyka wyszczerzyła zęby, ale powodzenie „Śmierci Odyseusza" i jednoaktówki „W beczce Dyogenesowéj", aczkolwiek wywołało także krzyki po niektórych organach, dowiodło jednak, że poecie takiéj siły żadni arystarchowie dróg działalności zamykać nie mogą. Mniéj był szczęśliwy na scenie Juliusz Zeyer, którego niepospolity talent, puszczający się śmiało na ocean dziejów powszechnych i lubujący się w mistycyzmie, tyle niepopłatnym dziś w dobie wybujałego realizmu, powoli zdobywa sobie należne uznanie; jego „Starą historyą" przyjęto dość chłodno, lubo komedya ta w duchu włoskiego renesansu ma wielkie zalety artystycznego obrobienia. Słusznie niezrażony tém autor, napisał dwa nowe dramata, „Bracia", obrazek z życia chińskiego i „Sulamitę". Nader sympatycznie przyjęto komedyą historyczną F. A. Szuberta „Piotr Wok Rozenberg," po któréj nastąpił dramat z epoki wojny siedmioletniéj „Przebudzeni"—obie te prace postawiły wysoko ich autora i utorowały mu drogę do dzisiejszéj godności dyrektora teatru. Na polu komedyi odznaczył się Władysław Stroupeżnicki, zwłaszcza podoba się jego jednoaktowy obrazek z wieku XVI „Dyabełek ze Zwikowa," bardzo zręcznie malujący żywot staroczeski. Podobają się także komedye A. H. Sokola.

Konkurs dramatyczny, dwukrotnie spełzły na niczém, wyprowadził na jaw nowy talent, Bogusława Adamka. Jego „Salomenę", nagrodzoną na konkursie, po pierwszém przedstawieniu powitała krytyka kocią muzyką, ale dalsze reprezentacye przecierać ganicielom oczy zaczęły i pokazały niepospolite zalety sztuki wielce obiecującego autora.

Wśród takich to okoliczności dobrze rokujących o przyszłości sceny praskiéj zaszły powszechnie wiadome wypadki, dokończenie teatru narodowego, spalenie tegoż, odbudowanie dzięki niesłychanéj ofiarności publicznéj, nakoniec powtórne otwarcie wskrzeszonéj z popiołów budowy. Zaszczyt przewodniczenia przy tém wiekopomném dziele dostał się F. A. Szubertowi, nowemu dyrektorowi; doszedł on do téj godności dzięki szczęśliwemu pomysłowi Mayra, który nakoniec złożył tak długo piastowane berło dyrektorskie. 12 marca r. z. *drużstwo* jednogłośnie obrało Szuberta dyrektorem, snadź przypomniało sobie, że autor dramatyczny (rozumie się, pełen talentu

a wolny od samolubnéj arogancyi) bywa najlepszym kierownikiem teatru, jak tego dowiódł już przykład Immermanna i Laubego. Nowy dyrektor od razu okazał wielki takt i energią, a nadto godne zupełnego uznania pojęcie swego zadania. Od razu oparł repertoar na produkcyi oryginalnéj, zawarł nader sprawiedliwą ugodę ze stowarzyszeniem autorów dramatycznych, przestał sprowadzać modne farsy niemieckie, ujmując przez to obroku agentom teatralnym z nad modrego Dunaju i Szprewy, którzy za poprzednika dobre na teatrze czeskim robili interesa. Pracując uczciwie, sumiennie, w duchu narodowym, Szubert doczekał się nowéj ery, mianowicie działalności na szerokiéj arenie teatru narodowego.

Nie będziemy opowiadali dziejów otwarcia teatru owego, ani opisywali zapału, jaki ogarnął Czechów we wszech zakątkach rozerwanéj ojczyzny, wspomniemy tylko, że powodzenie zachęciło do drugiego kroku, nader ważnego i śmiałego, mianowicie do zbierania składek na stały teatr czeski w Bernie. Będzie to nowy filar narodowości, tém ważniejszy, że stanie w mieście, gdzie dziś gospodarują zuchwale niemcy i wyrodki.

Nie małą przysługę oddają także trupy wędrowne, których jest dość znaczna liczba. Najprzedniejsza z nich, zostająca pod dowództwem Szwandy ze Semczic, osiadła na stałe w Pradze, na przedmieściu Smichowie. Ma ona w składzie swoim wcale niepoślednie siły, ale jéj repertoar odznacza się niesłychaną pstrocizną. Inne trupy wedrują od miasta do miasta, jak zwykle towarzystwa prowincyonalne.

Na wielką pochwałę zasługuje działalność stowarzyń amatorskich, których w Czechach i na Morawie jest przeszło czterdzieści. Są one wybornie zorganizowane i nie potrzebują bynajmniéj na każde przedstawienie kleić się na nowo, jak to u nas się dzieje, to téż grą swoją rozpędzają nudy cichych zakątków i niemało grosza przysparzają różnym celom narodowym i dobroczynnym. Przedstawienia amatorskie trafiają się nawet po wioskach, co, jasna rzecz, przyczynia się także do podniesienia w ludzie czeskim i ducha narodowego i tego stopnia oświaty, którym lud ów słusznie się szczyci.

Bronisław Grabowski.

HISTORYA KAPITALIZMU W ROSYI.

Sud'by kapitalizma w Rossii. Napisał W. W. Petersburg, r. 1882.

Przed dwoma laty pojawiło się w literaturze rosyjskiéj dzieło treści ekonomicznéj przyjęte z niezwykłym zapałem, zarówno przez krytykę, jak i przez czytelników interesujących się życiem Rosyi. Właściwie mówiąc, jest ono systematycznie uporządkowanym i uzupełnionym nieco zbiorem artykułów drukowanych w „Otieczestwiennych zapiskach" i związanych tylko wspólną myślą przewodnią. Już w formie oddzielnych artykułów wywody autora, odznaczającego się zarówno oryginalnością poglądów, jak i dzielnością argumentacyi, popieranéj licznemi, samodzielnie zebranemi, faktami, tak silnie zainteresowały myślącą część publiczności rosyjskiéj, iż przy pojawieniu się nowego zeszytu „Ot. zap.", z równą skwapliwością szukano owych artykułów skromnie inicyałami W. W. podpisywanych, z jaką dawniéj rzucano się na satyrę Szczedryna lub szkice z życia ludowego Gleba Uspienskiego. Wrażenie to wzrosło jeszcze bardziéj, kiedy pojawiły się artykuły w formie oddzielnego dzieła. Nie tylko publiczność przyjęła je z zapałem, cała niemal prasa rosyjska oddała należny hołd uznania pracy, która stanowić może będzie epokę w literaturze ekonomicznéj Rosyi, a któréj autor przez dziwną zaiste skromność dotychczas przyłbicy swéj uchylić nie zapragnął. Nawet tak skąpy na pochwały „Wiestnik Europy", stanowczo orzeka, iż dzieło to obowiązkowo leżéć powinno na biurach rosyjskich mężów stanu i służyć im za przewodnika w zawikłanych kwestyach polityki ekonomicznéj. Dzieło to przedstawia, w obec braku prac podobnych w naszéj literaturze ekonomicznéj, pod wieloma względami i dla nas znaczny interes i dla tego postanowiliśmy z treścią jego czytelników Ateneum obznajmić. Celem autura jest wskazanie prawa ekonomicznego rozwoju Rosyi, prawa opartego na źródłowém

i gruntownem opracowaniu danych statystycznych, które w ostatnim lat dziesiątku zebrane zostały, bądź przez komisye rządowe i ziemskie, bądź przez ciała naukowe i zjazdy przemysłowe, bądź wreszcie przez oddzielnych badaczy ekonomicznego stanu Rosyi, jak Isajewa, Antipowa, Jansena i wielu innych. Dane te, jakkolwiek nie obejmują całości życia ekonomicznego Rosyi, rzucają jednak dość światła na położenie wielkiego i drobnego przemysłu, wielkiéj i drobnéj kultury rolniczéj—by przy umiejętném zużytkowaniu ich przez autora, prawo ekonomicznego rozwoju Rosyi w głównych zarysach można było zakreślić i obalić mylne poglądy przedstawicieli kilku szkół ekonomicznych, bądź na zachodzie, bądź na rosyjskim gruncie powstałych. Samo już założenie autora wskazuje, że uwzględnia on wpływ warunków terytoryalnych i historycznych na rozwój ekonomiczny danego narodu, a ogólno - ludzkim, społeczno - ekonomicznym prawom nie dowierza. Przez to samo zajmuje on odrębne, opozycyjne stanowisko względem przedstawicieli czterech głównych kierunków ekonomicznych w Rosyi, których zapatrywania poniżéj skreślimy. Jedni z nich, wyznawcy ekonomii burżuazyjnéj, choć w kwesyi protekcyonizmu i „laisser faire, laisser passer“ na dwie grupy się dzielą, zgadzają się jednak zupełnie pod jednym względem: nie mogą, czy nie chcą oni zrozumieć różnicy między kapitałem jako kategoryą ekonomiczną i kapitałem, jako kategoryą historyczną. Dowiódłszy konieczności kapitału w ekonomicznem jego znaczeniu i niemożności walki między indywidualnym drobnym przemysłem a indywidualnym wielkim, utożsamiają kapitał z kapitalistami i przypuszczają, że wielki przemysł pod kierownictwem wielkich przemysłowców, zagarnie stopniowo wszystkie gałęzie produkcyi, po czém ta forma pracy (praca robotników, nie mających własności, pod kierunkiem kapitalisty) stanie się, jak i na Zachodzie stałą modłą dla wszelkich przejawów życia ekonomicznego w Rosyi. Niektórzy z nich usiłują złagodzić nieco swe wywody, więc albo idąc za Bastiatem łudzą czytelników rzekomą harmonią interesów pracodawców i pracowników, albo w duchu liberałów francuzkich i niemieckich pocieszają się dobroczynnym wpływem oświaty i prawdopodobnym rozwojem humanitarnych uczuć w fabrykantach.

Otóż tę szkolę reprezentowaną, bądź przez „Nowoje wremia“, „Birżewyje wiedomosti“ w prasie, a Wredena i Blanka w literaturze ekonomicznéj, bądź przez protekcyonistów Bezobrazowa, Czyczeryna i publicystę Katkowa, p. W. W. pomija milczeniem, jak gdyby podejrzywał, że poglądy jéj przedstawicieli nie zawsze są szczerym wyrazem ich przekonań, że nie zawsze prawda naukowa jest celem ich poszukiwań, że kierują niemi często uboczne względy, z nauką

nic wspólnego nie mające, że—jedném słowem, występują oni nie tyle w charakterze uczonych, ile raczéj adwokatów broniących (nie zupełnie bezinteresownie) niebardzo czystéj sprawy.

Daleko bliższym jest p. W. W. szkoły ekonomicznéj, opierającéj się w Niemczech na Rodbertusie v. Jagetzow i Karolu Marksie. Jéj przedstawiciele sądzą, że każdy naród w ekonomicznym swym rozwoju koniecznie przez fazę kapitalizmu przejść musi; kapitalizm, powiadają oni, obejmując jednocześnie i agrarne i przemysłowe stosunki, wyzuwa masy ludności wiejskiéj z ziemi i pędzi je na fabryki, lecz jednocześnie skupia te masy, organizuje je, wdraża w karność i z techniką obznajmia. Gdy to historyczne zadanie kapitalizmu wypełnioném zostanie, gdy masy do samodzielnéj zbiorowéj pracy zostaną przygotowane, wtedy praca narodowa zrzuci z siebie kapitalistyczną powłokę i wyłoni się w formach organizacyjnych przez kapitalizm wyrobionych, t. j. w formie wielkiego przemysłu, posługującego się najnowszemi zdobyczami techniki, lecz z tą olbrzymią różnicą zasadniczą, że kapitał, że środki produkcyi stanowić już będą nie prywatną, lecz zbiorową własność. Olbrzymia ta zmiana w ukształtowaniu ekonomicznych stosunków, zdaniem teoretyków téj szkoły, przy pomocy państwa dokonać się winna. Podobny pogląd na udział państwa w przekształtowaniu stosunków ekonomicznych, przebija się nie tylko w pracach Rodbertusa v. Jagetzowa byłego ministra handlu i członka partyi konserwatywnéj, nie tylko w działalności Lassalla, który domagał się, jak wiadomo, od rządu pruskiego asygnowania w powyższym celu 100,000,000 talarów, lecz, co dziwniéjsza, i w pomnikowém dziele Karola Marksa „Kapitał“. Założyciel internacyonału wyraźnie tam powiada, że „gdy społeczeństwo nową formą ustroju społecznego jest brzemienne, państwo za akuszerkę służyć mu musi“.

Sieber, Postnikow, Dragomanow, Gołowaczow, Czuprow, Janżuł—oto wybitniejsi przedstawiciele téj szkoły ekonomicznéj w nauce, miesięczniki zaś „Otieczestwiennyja zapiski“, „Dieło“, a dawniéj „Słowo“ i „Znanje“ reprezentują i reprezentowały ją w dziennikarstwie.

Co się tyczy naszego autora, to przyjmując bez żadnych zastrzeżeń Marksowską teoryją tworzenia się kapitału, nie sądzi on jednak, wraz z Marksem i jego rosyjskimi adeptami, by przejście przez fazę kapitalizmu stanowić miało nieuniknioną konieczność dla każdego społeczeństwa. Nie wierzy on, by nawet w Anglii i Niemczech miał kapitalizm stopniowo wszystkie sfery produkcyi ogarnąć, całe zaś dzieło poświęca dowodzeniu, że na gruncie rosyjskim kapitalizm stanowczo się nie przyjmie.

Przejdźmy teraz do szkoły etyczno-realistycznéj, czyli „socyalistów z katedry“. Poglądy jéj przedstawicieli (w Niemczech: Wagner, Schäfle, Held, Schmoller, Brentano; w Rosyi: profesorowie Iwaniukow, Gradowskij, Bunge, po części Żukowski, i inni współpracownicy „Wiestnika Europy“) zbyt są między sobą różne, by je można było do wspólnego sprowadzić mianownika. Wszyscy ci ekonomiści odróżniają zgodnie z Rodbertusem i Lassallem kapitał w historycznem, od kapitału w ekonomicznem jego znaczeniu, nie przyjmują oni jednak teoryj Marksa o powstawaniu i kapitalizowaniu się dodatkowéj wartości, przypuszczając, że wartość wymieniona zależy nie tylko od ilości zawartéj w danym przedmiocie przeciętnéj pracy ludzkiéj, lecz i od użytkowéj tego przedmiotu wartości. Kładą oni przytém silny nacisk na wpływ panujących w danéj epoce pojęć moralno-obyczajowych (wyrażających się między innemi i w obowiązującém prawie), oraz stosunków społecznych, wytworzonych drogą historyczną, na ukształtowanie się zjawisk ekonomicznych w łonie danego społeczeństwa. Co prawda, przedstawiciele téj szkoły ograniczają się na szematycznem wyliczaniu wszelkich etycznych, prawnych i historycznych momentów, które według nich na bieg życia ekonomicznego wpływ wywierać winny, i dotychczas nie udało im się ani cyframi i faktami owego wpływu wykazać, ani tém mniéj, granice jego wyznaczyć lub w formułę naukową go ująć.

Pod tym względem p. W. W. dodatnio się wyróżnia od przedstawicieli wyżéj wymienionéj szkoły. Dzieło p. W. W. jest pierwszą nadzwyczaj udatną próbą w literaturze rosyjskiéj, a bodaj czy nie europejskiéj, postawienia kwestyj ekonomicznych, na realnym gruncie cyfr statystycznych. Nie bawi się on w wyliczanie wszelkich etycznych, prawnych i historycznych momentów, które na przebieg życia ekonomicznego wpływ wywierać mogą, lecz poważnie i szczegółowo, te mianowicie momenta rozpatruje, wpływ których cyframi wykazać można. Co się wreszcie tyczy t. z. sławianofilskiéj szkoły („Ruś“, z Aksakowem na czele i „Ruskaja riecz“) i jéj nowego odłamu t. z. narodników („Niedela“, „Ruskaja myśl“), to przedstawiciele jéj nie sądzą, by faza kapitalistyczna stanowić musiała konieczny etap na drodze ekonomicznego rozwoju Rosyi; nie opierają się oni jednak na ekonomicznych faktach lub cyfrach statystycznych, lecz albo, jak sławianofile, walczą frazesami o odrębności słowiańskiego ducha i cywilizacyi bizantyjskiéj, albo, jak narodnicy, wskazują na „obszczynę“ i „artiele“, jako na tamę, broniącą Rosyą od nacisku fal kapitalizmu. P. W. W. nie tai również swych sympatyj dla dwóch tych instytucyj ludowych, lecz przytém, nie schodząc ani na chwilę ze statystycznego gruntu, poważnie rozbiera, czy instytu-

cye te w obecnéj, spaczonéj, ich formie będą w stanie stawić czoło prądowi kapitalistycznemu.

Przejdźmy do treści dzieła. Przedewszystkiem p. W. W. zwraca uwagę na to, że Rosya późniéj od innych państw wystąpiła na widownię wielkiego przemysłu; może ona korzystać przez to z postępów techniki zagranicznéj, lecz rynki zewnętrzne są już dla niéj zamknięte. P. W. W. cyframi dowodzi, iż wszelkie usiłowania fabrykantów rosyjskich, w celu wyrugowania z wschodnich rynków doświadczeńszych przeciwników, dotychczas były daremnemi i takiemi i w przyszłości się okażą. Inne znów, przytaczane przez autora dane wskazują nam, że chociaż produkcya fabryczna w Rosyi wzrosła w ciągu ostatnich lat 20 o 50%, lecz jednocześnie cyfra zajętych przez nią robotników z 560,000 spadła do 417,000, czyli o 150,000 się zmniejszyła. Okazuje się, że kapitał w Rosyi zwiększa wprawdzie, dzięki przejętéj z Zachodu technice, produkcyjność robotnika, ale nie tylko nie zagarnia, jak to powinno być jego zadaniem, coraz to liczniejszych mas ludowych, lecz nawet zmniejsza zastępy dawniéj pod przewodnictwem jego pracujące. Nie ma zatém potrzeby w Rosyi, dla rozwoju kapitalizmu, włościan z ziemi wyzuwać i w tym celu znosić „obszczynę“, ową odwieczną podwalinę życia ludowego. Pozbawiony ziemi włościanin nie znajdzie dla siebie miejsca w fabryce, powiększy on tylko zastęp proletaryuszów bez ziemi i bez zajęcia. Wraz z jego upadkiem ekonomicznym zmniejszy się i popyt na produkty fabryczne, które w Rosyi przeważnie na wewnętrzny tylko zbyt liczyć mogą.

Szczegółowy rozbiór historyi wielkich zakładów mechanicznych rosyjskich potwierdza poglądy autora. Zakłady te wegetują, dzięki tylko pomocy rządu, który i obstalunków im dostarcza i towarzystwa kolejowe obowiązuje, by się w tabor kolejowy u fabrykantów krajowych zaopatrywały. Autor przytacza ciekawe fakty, jak w Rosyi jedne i te same fabryki wyrabiały kolejno to relsy, to wagony, to lokomotywy, to bomby, to działa, w miarę otrzymania tego lub innego obstalunku. Powiada nam on, jak wraz z uskutecznieniem rządowego obstalunku żywot fabryki się kończył, aż do znalezienia nowego nabywcy, który, otrzymawszy inny obstalunek, nabytą przez się, dajmy na to, ludwisarnią przekształcał np. w zakłady dla budowy statków pancernych. W większości wypadków zakłady te, po wielu zmiennych kolejach, kończyły na tém, że osiadały na mieliźnie, *vulgo* bankrutowały, i przechodziły na rzecz skarbu, jako najpoważniejszego z wierzycieli.

Nic dziwnego, że tego rodzaju wielki przemysł (dostarczający między innemi wagony, pełne szpar i nigdy szczelnie się nie zamy-

kające), ani wykwalifikowanych robotników uformować nie zdołał, ani mas roboczych do zbiorowéj pracy nie wdrożył, ani technikom rosyjskim nie dał sposobności do praktycznego obeznania się z pewną specyalnością. Kilkanaście jednostek zarobiło kosztem ogółu grube pieniądze—i oto jedyny rezultat próby zaszczepienia kapitalizmu na gruncie rosyjskim przy pomocy rządowéj. Przechodząc do fabryk narzędzi rolniczych, które bądź co bądź o własnych siłach bez subsydium rządowego, tylko przy pomocy ceł ochronnych się utrzymują, p. W. W. słuszną czyni uwagę, że z 200 zakładów szumną nazwę tę noszących, jedną tylko fabrykę w Warszawie, przerabiającą 25,000 pudów rocznie surowcu, można za przedstawicielkę wielkiego przemysłu uważać. Pozostałe 199, są raczéj warsztatami, wykonywającemi drobne reperacye, warsztatami, z których 80 nie posiada nawet własnéj giserni. Specyalizacya wyrobów w dziale tym jest tak mało rozwiniętą, iż nieraz spotykamy się z ogłoszeniami, w których jedna taka liliputowa fabryka podejmuje się obstalunków na 30—40 rodzajów maszyn.

Jeśli dodamy, że kapitalista rosyjski mało dba o rozwój reprezentowanéj przezeń gałęzi przemysłu, że to po części nieobeznany z techniką wczorajszy jeszcze „kułak“, któremu wyłącznie o jaknajprędsze zrealizowanie zysków chodzi, to nie zdziwią nas fakta, dowodzące, że kapitaliści rosyjscy wciąż z pola ustępują zagranicznym kompaniom. Faktów podobnych przytacza p. W. W. kilkanaście i kończy rozdział o przemyśle, przypuszczeniem, że rządowi znudzi się w końcu wspierać subsydyami zakłady przemysłowe, które pokręciwszy się czas jakiś na miejscu, wreszcie do skarbu za długi przechodzą. Autor mniema, że rząd prędzéj czy późniéj pozostawi zakłady własnym siłom, t. j. skaże je na nieuniknioną zagładę; budowa zaś okrętów, odlewanie armat, kul itd. w rządowych fabrykach dokonywać się będzie.

Gruntownie i szczegółowo stara się autor zbadać warunki rozwoju przemysłu domowego. I nic dziwnego. Przemysł domowy, dostarczający rocznie produktów na 300—700 mil. rs. wymaga, ze względu na jego olbrzymie dla Rosyi znaczenie ścisłego opracowania. Obecnie zadanie to w całości jest jeszcze niewykonalném. Już same cyfry, powyżéj przez nas podane, dotyczące ogółu domowéj produkcyi *i różniące się między sobą o 400 mil.* wymownie świadczą, że przemysł domowy, to „terra incognita“ dla statystyki rosyjskiéj. Tylko w gubernii moskiewskéj położenie domowego przemysłu zostało, dzięki pracom A. Isajewa i W. Orłowa, dokładnie zbadaném,—tylko więc na danych téj okolicy dotyczących, p. W. W. wywody swe opierać może. Co prawda stosunki gubernii moskiewskiéj moż-

na pod tym względem uważać za typowe, gdyż tu przemysł domowy doszedł do najwyższego stopnia swego rozwoju.

Pan W. W. rozpatruje następujące gałęzie domowego przemysłu w guberni moskiewskiéj: meble, wyroby stolarskie, wyroby metaliczne, przemysł garncarski, wyroby porcelanowe, szczotkarstwo, wyroby rogowe i kościane, wreszcie fabrykacyą kapeluszy filcowych i kastorowych. Brak miejsca nie pozwala nam postępować krok w krok za argumentacyą p. W. W., opartą na danych statystycznych. Zaznaczamy tylko do jakich wniosków ostatecznie dochodzi.

1) Przemysł domowy rozwija się coraz silniéj i w niektórych gałęziach doszedł do wysokiego stopnia techniki. Pierwszorzędny np. magazyn mebli w Moskwie Szmita zakupuje meble u rolników-rzemieślników wsi Angelowa i dostarcza je pod własną firmą do pałaców cesarskich.

2) Kapitalizacya przemysłu domowego postępuje nader powoli. Ilość warsztatów, podtrzymywanych pracą jednego tylko majstra i rodziny jego, przewyższa ilość warsztatów, opartych na pracy najemnéj, a w tych ostatnich cyfra robotników rzadko do ośmiu dochodzi. W niektórych gałęziach przemysłu domowego ma nawet miejsce dekapitalizacya, t. j. założona pierwiastkowo fabryka—upada, a obznajmieni z fabrykacyą okoliczni włościanie prowadzą proceder sposobem domowym.

3) Warsztaty, oparte na pracy najemnéj, oraz fabryki pod względem techniki, produkcyjności i dobroci wyroku, nie stoją wyżéj od warsztatów domowych. Istnienie swe, a czasami i przewagę w walce z drobnym przemysłem, zawdzięczają one fatalnemu położeniu ekonomicznemu rolników-rzemieślników. Przygniatani podatkami, ze wszech stron wyzyskiwani, pozbawieni tego drobnego kapitaliku, który do prowadzenia przemysłu domowego jest niezbędnym, rolnicy-rzemieślnicy zmuszeni są przepłacać o 50% przy zakupywaniu surowego materyału i tyleż, lub więcéj jeszcze tracić przy zbywaniu swych produktów kupcom moskiewskim, urządzającym stałe zmowy, w celu zniżenia ceny do minimum.

4) Przemysł domowy rozwija się pomyślniéj w miejscowościach, gdzie rzemieślnik - rolnik, jako rolnik mianowicie, w lepszém znajduje się położeniu, gdzie dział gruntu większy, podatki mniejsze i węzły wspólności gminnéj mniéj rozluźnione. Tam rolnik-rzemieślnik i materyał surowy w większéj naraz ilości i w właściwym dla kupna czasie nabywa, tam i przy zbywaniu towarów może on skutecznie stawić czoło kupcowi i na zbyt nizkie ceny się nie zgodzić.

5) W tych również, uprzywilejowanych niejako miejscowościach spotykamy się częściéj z pocieszającym faktem łączenia się

oddzielnych gospodarzy w artele robotnicze, bądź stałe, bądź czasowe, polegające na przykład, na wynajmowaniu na koszt wspólny większéj izby dla robót, na wspólném myciu wojłoku przy fabrykacyi kapeluszy itp. Podobe fakty należą, bądź co bądź, do wyjątków i możebne są tam tylko, gdzie położenie ekonomiczne włościan nie zniżyło się po za pewien poziom. Lecz gdzie upadek materyalny włościan dochodzi do pewnego maximum, tam głód rozrywa węzły solidarności gminnéj, zmusza do zażartéj, indywidualnéj konkurencyi, uniemożebnia łączenie się w szersze produkcyjne grupy robotnicze i po pewnym czasie przerzuca rzemieślnika-rolnika do warsztatu szczęśliwszego konkurenta, lub do fabryki.

Takiém jest niestety w olbrzymiéj większości wypadków położenie włościanina w Rosyi. Nie sprzyja ono powstawaniu arteli wytwórczych. Szęrzéj rozwiną się one wtedy dopiero, gdy ekonomiczne położenie włościan się polepszy.

Drugą połowę dzieła swego p. W. W. poświęca opisowi walki między wielką i drobną produkcyą w dziedzinie rolnictwa. O rezultatach téj walki świadczą, między innemi, wykazy banków, według których w guberni Chersońskiéj zastawione są wszystkie wielkie posiadłości, w guberniach: Samarskiéj, Ufimskiéj i Ekaterynosławskiéj, więcéj niż połowa, a w Charkowskiéj, Połtawskiéj, Orłowskiéj, Tambowskiéj, Penzeńskiéj i Symbirskiéj około połowy. Gdzie gleba lepsza, tam i długów więcéj, co najlepiéj dowodzi, jak produkcyjnie używają właściciele pożyczonych pieniędzy.

Lecz przypatrzmy się bliżej przebiegowi téj walki. Otóż okazuje się, że w gub. Penzeńskiéj, Orłowskiéj i Kurskiéj prowadzi się przeważnie gospodarstwo trójpolowe, przyczém w większości wypadków właściciele trzymają się t. z. połowniczego systematu, polegającego na tém, że chłop ziemię pracą własną i własnym inwentarzem uprawia, a plonem dzieli się z właścicielem po połowie. W guberni Tambowskiéj kapitalizacya w sferze rolniczéj większe nieco uczyniła postępy. Tam uprawa ziemi w większych posiadłościach przeważnie oparta jest na pracy najemnéj, tam znajdujemy przynajmniéj jedno racyonalnie prowadzone, gospodarstwo kapitalistyczne w każdym powiecie.

Gorszém znacznie jest położenie wielkiéj własności w Malorosyi. W powiecie Czerniehowskim ani jeden wielki właściciel nie uprawia ziemi za pośrednictwem własnych narzędzi rolniczych i własnego inwentarza, lecz albo połowniczego trzyma się systematu, albo ziemię w dzierżawę oddaje. W liczbie tych dzierżawców, 40% jest żydów, a żyd bydła w należytéj ilości nie trzyma, pól nawozem nie użyźnia, budynków gospodarskich nie podtrzymuje i lasy wycina.

Tenże system wydzierżawiania panuje w guberniach południowo-zachodnich, przyczém dzierżawcy, albo uprawiając wciąż len, konopie, proso, buraki wyniszczają ziemię, albo odstępują grunta chłopom za wysoką bardzo cenę.

Jedna tylko gubernia Ekaterinosławska pomyślny, co do rezultatów, dla systematu kapitalistycznego przedstawia wyjątek. Tam u właścicieli ziemskich (co prawda u niewielu) pojawiają się i młócarnie parowe i żniwiarki itp.

W szczegóły, dotyczące innych gubernij, wdawać się nie możemy. Potwierdzają one wywody autora, że w Rosyi kultura rolnicza dotychczas nie weszła jeszcze w fazę kapitalistyczną. Wprowadzone gdzie niegdzie ulepszenia dotyczą nie tyle uprawy ziemi, ile operacyi nad wyrosłem już zbożem—ztąd przewaga żniwiarek i młocarni nad pługami. Ulepszenia owe, właściwie mówiąc, kultury ziemi nie dotyczą, a przy zachowaniu systematu ekstensywnego uprawy przyśpieszają tylko chwilę ostatecznego wyniszczenia gleby.

Takiém jest położenie rolnika na południu Rosyi. Inne cyfry statystyczne dowodzą, że np. w guberni Moskiewskiéj przestrzeń pod zasiewy przeznaczona zmniejszyła się o 100 tysięcy dziesięcin, że w ciągu ostatnich lat 20 kupcy nabyli 19% dawnéj własności szlacheckiéj, a chłopi 5%. Właściciele więc ziemscy nie są w stanie własności swéj utrzymać. Przechodzi ona powoli w ręce kupców, którzy w przeważnéj większości wypadków gospodarstwa nie prowadzą, lecz ziemię uprawną zapuszczają „pod las“.

Kapitalizm zatém w rolniczéj sferze nie kwitnie, lecz co dziwniejsza, położenie drobnego właściciela, owego zwycięzcy, owego szczęśliwego współzawodnika, włościanina jeszcze mniéj jest godném zazdrości. Przygnieciony ciężarami podatkowemi, nieodpowiedniemi do wyznaczonego mu uposażenia gruntowego, wyzyskiwany przez „kułaków“, dźwiga on na swych barkach całą produkcyą rolniczą, uprawia i własne pole i pańskie za pół plonu; dzierżawi, a nawet czasem skupuje grunta szlacheckie, lecz zwycięztwo to krwią własną opłaca. Głód—to stały objaw w życiu chłopa rosyjskiego. Podtrzymuje on gospodarstwo kosztem własnego zdrowia i zdrowia przyszłych pokoleń. Dziś może on jeszcze wyżywić konia w czasie zimy, lecz dzieci jego mrą już z chorób, wywołanych fatalnemi warunkami hygienicznemi. W rozdziale, poświęconym opisowi upadku ekonomicznego w Rosyi, autor jaskrawemi barwami maluje położenie zarówno rolnika z ziemi tylko dochód ciągnącego, jak i rolnika-rzemieślnika, szukającego wyjścia w przemyśle domowym. Cyframi tylko i faktami przemawiając, autor wstrząsa jednak do głębi umysł czytelnika.

Żałujemy bardzo, że ramki artykułu nie pozwalają nam zatrzymać się dłużéj nad tym smutnym obrazem. Z tego samego względu zaniechać musimy streszczenia téj części (dwa ostatnie rozdziały) historyi kapitalizmu w Rosyi, w któréj autor wskazuje, że kapitalizm rosyjski tak niezaradny w przemysłowéj i rolniczéj sferze czuje się zupełnie w swoim żywiole w sferze towarowego i pieniężnego obiegu. Lichwa, transport, kupno i sprzedaż, zarówno zboża, jak i produktów domowego przemysłu, oto alfa i omega kapitalizmu rosyjskiego. Na położenie ludu kapitalizm w téj formie oddziaływa również szkodliwie, jak i zachodni, a nie może równych jemu zasług wykazać. Kapitalizm wzoru europejskiego wyzyskuje robotników, lecz jednocześnie organizuje ich, obznajmia z techniką, do pracy zbiorowéj wdraża, produkcyjność téj pracy zwiększa. Kapitalizm rosyjski *wyłącznie wyzyskuje*, nie dając nic prawie w zamian, gdyż pośrednictwo jego przy wymianie produktów tylko zwiększa ich cenę. I dla konsumentów i dla rolników-rzemieślników byłoby lepiéj, gdyby włościanin ze swym zbożem, a rolnik-rzemieślnik z produktami przemysłu domowego mogli wprost na rynku towarowym przynależne im miejsce zająć.

W końcu wyraża p. W. W. nadzieję, że rząd przyjdzie nareszcie z pomocą drobnéj własności i przemysłowi domowemu, i udzieli mu cząstkę tych łask, które jak z rogu obfitości sypały się dotychczas na wielki przemysł i wielką własność. Kredytowe banki rolnicze, rozpoczynające obecnie swą działalność, są, być może, pierwszym krokiem na téj drodze. Czas wielki stanowczo na nią wstąpić, bo choć dziś jeszcze włościanin w walce zwycięża, choć dziś jeszcze utrzymuje się na pozycyi, lecz zwycięztwo to Pyrrhusowy nosi charakter. Jeszcze kilka lat takich zwycięztw, a wszystko będzie stracone.

ANDRZEJ PATRYCY NIDECKI.

Andrzéj Patrycy Nidecki. Jego życie i dzieła przedstawił Kazimierz Morawski. Część pierwsza (1522—1572). Wydanie Akad. Umiejętności. Kraków 1884.

Rocznica trzechsetna śmierci Jana Kochanowskiego zaznaczy się w literaturze naszéj szeregiem prac podjętych bądź dla rozjaśnienia utworów wieszcza z Czarnolasu, bądź téż rozświecających dzieje naszego odrodzenia. W rzędzie tych drugich staje praca prof. Morawskiego, któréj część pierwszą mamy przed sobą. Dedykacya łacińska na czele książki jest wyrazem hołdu złożonego przez autora pamięci księcia poetów polskich: *Memoriae Joannis Cochanovii, poëtae celeberrimi, cuius tertia saecularia hoc anno redeuntia grata Polonia celebrat, sacrum.*

W przedmowie podnosi autor ważność badań nad epoką Odrodzenia w Polsce i zasługę Szujskiego, działającego w tym kierunku. „Obrałem sobie za przedmiot człowieka (Przedm. III), którego nazwisko jest znaném w kraju rodzinnym nowszéj filologii w Niemczech, mało znaném prawie zatartém w Polsce.“ Po Starowolskim i Piotrze Bayle jedynie Goez zdobył się w ubieglym wieku na szczupłą ale i dziś niepozbawioną wartości pracę o Nideckim w swém „Otium Varsoviense“ (Wrocław 1755). Jocher i Wiszniewski nie dorzucili nowych szczegółów, aż wreszcie Eichhorn w rozprawie „Die Prälaten des Ermländischen Domkapitels“ (1866) do ostatnich lat życia Nideckiego nowe dorzucił szczegóły. Prof. M. oparł się głównie na niewyzyskanych dotychczas materyałach rękopiśmiennych: licznych listach Hozyusza, Kromera, Myszkowskiego i Nideckiego, korzystając przeważnie z kodeksów biblioteki ksks. Czartoryskich w Krakowie i archiwum biskupiego i kapitulnego we Frauenburgu. Dużo światła rzucił testament Nideckiego z r. 1572.

„Wstęp“ daje ogólny obraz rozwoju humanizmu w Polsce i losów uniwersytetu Krakowskiego w pierwszéj połowie XVI wieku. Trafnym jest szkic badań filologicznych we Włoszech i Niemczech i stopniowe zmiany charakterystyczne: „Filolog w zaraniu humanizmu był rozmarzonym entuzyastą, w piętnastym wieku przeważnie retorem, w szesnastym dopiero staje się krytycznym uczonym.“ Zawiązki humanizmu w Polsce zrazu bardzo słabe. Sobór Bazylejski otwiera mu do Polski drogę. Odtąd wraz z rękopismami klasyków łacińskich przybywają do nas (zwłaszcza ze Śląska) apostołowie nowego kierunku. Szczegóły całego tego przełomu skreślił, jak wiadomo, Szujski w swém „Odrodzeniu i Reformacyi“; prof. M. oparłszy się na jego pracy daje treściwy na epokę przejściową pogląd, dorzucając zajmujące szczegóły. Z ważnieszych dat podnosimy: r. 1489 (*Sodalitas Vistulana*); r. 1500 wydanie krakowskie „Rhetorica ad Herennium“ rozpoczyna szereg wydań klasyków (głównie Cycerona) w Krakowie. Wiadomością biograficzną o główniejszych reprezentantach humanizmu w uniwersytecie Krakowskim podówczas (Rabe, Aesticampianus, Szymon z Pilzna), objaśniającą zarazem dzieje wewnętrzne uniwersytetu, kończy się wstęp, który jest tłem dla postaci głównéj: Nideckiego. Początkowe rozdziały opisują obszernie ród Nideckiego, jego stosunki familijne, wszystko rzeczy nowe głównie z akt rozmaitych wydobyte. Po pierwszych elementarnych naukach otrzymanych w Oświęcimiu, gnieździe rodzinném, dalszą naukę pobierał Patrycy w szkole parafialnéj Ś-o Jana w Krakowie pod kierownictwem takich mistrzów, jak Wojciech Nowopolski i Szymon z Pilzna (Maricius). W metryce uczniów uniwersytetu Krak. nie spotyka się nazwiska Nideckiego, co zupełnie odpowiada wiadomościom przekazanym w jego testamencie, że wyszedłszy ze szkoły św. Jańskiéj, w kościele św. Franciszka mieszkał. Słusznie domyśla się prof. M. że mieszkanie to było zarazem nowicyatem w klasztorze św. Franc., który zresztą nie zobowiązywał koniecznie do kapłaństwa. Na ten czas przypada stosunek Nideckiego z Lismaninem, którego wagę dostatecznie autor zaznacza (str. 29), jakkolwiek poznanie się Nideckiego z biskupem Kujawskim nie koniecznie Lismanin sprowadzić musiał. Zanim działalność Zebrzydowskiego surowéj poddał krytyce, daje nam wprzód autor charakterystykę działalności Tomickiego i Maciejowskiego, nie związaną, co prawda, ściśle z właściwym przedmiotem. Uwydatnił jednak autor zasługi obu biskupów raz dla zaznaczenia głównych przewodników humanizmu w Polsce; powtóre zaś dla kontrastu poniekąd z działalnością Andrzeja Zebrzydowskiego. Na dworze biskupa Kujawskiego (jak się nań dostał, niewiadomo

na pewno) żyje zatém dalej nasz Patrycy. Stanowisko sekretarza zbliżyło młodzieńca bardzo do przełożonego, uczyniło go zwolna dla biskupa niezbędnym. Koadjutorstwo w kolegiacie Kruszwickiéj było pierwszą nagrodą i objawem łaski biskupiéj. Zresztą ustęp ten cały (Rozdz. III) poświęcony wyłącznie prawie Zebrzydowskiemu z ujmą dla właściwego przedmiotu. Bo jeżeli czyni autor wzmianki o zasługach Tomickiego i Maciejowskiego, jeżeli ubolewa nad dwuznacznėm postępowaniem Zebrzydowskiego, rozumiemy, że chciał uwydatnić tło i otoczenie, w jakiém Nidecki żył, i nie tracimy jeszcze z uwagi głównego celu książki. Już zaś opis świetności dworu biskupiego do rzeczy właściwie nie należy; co za związek z życiem Nideckiego miała kapela biskupia, lub „fletnista Marek" (str. 41), słaby żołądek Zebrzydowskiego lub wreszcie urządzanie siedziby nowéj w Krakowie (str. 47)? Nie ubarwia to przedmiotu, ale odrywa odeń oczy i mąci pogląd na główną osobę. Pierwsze lata w Krakowie upływają Nideckiemu na zajęciach sekretarskich przy boku Zebrzydowskiego. Ważną dla późniejszych kolei życia jest zawarta wtedy przyjaźń z Łuk. Górnickim, kanonikiem Myszkowskim i odnowienie staréj znajomości z Lismaninem. Na ówczesne poglądy Nideckiego rzuca światło przyjacielski stosunek z Orzechowskim. Brak szczegółowych z tych lat wiadomości o Nideckim, któremu „zresztą te lata pierwsze Zebrzydowskiego w Krakowie schodziły na jednostajnéj powszedniéj pracy," usiłuje autor zastąpić szkicem historycznym całego tego dziesięciolecia. Pięknym jest opis ówczesnéj świetności Krakowa (str. 49), wzniosłym zapał, z jakim autor skreśla czasy „kiedy to, co dzisiaj pamiątką, tętniło życiem"...

Po nad obowiązkową pracę i chłodne urzędowe wierszyki pochwalne na cześć Zebrzydowskiego nie wzniósł się w téj pierwszéj życia swego epoce Nidecki. Prąd emigracyjny do uniwersetytów zagranicznych, tak silny podówczas, pociągnął téż za sobą naszego Andrzeja. Roku 1555 spotykamy go w uniwersytecie Padewskim (krótka charakterystyka Robortella i Sygoniusza). Z kolegów Nideckiego wymienieni Łukasz Podoski i Jan Kochanowski. Szczególniéj ten ostatni, węzłem serdecznéj przyjaźni połączony z Patrycym, ulegać się zdaje wpływowi starszego i surowszych obyczajów kolegi. Stosunek Nideckiego z Pawłem Manucyuszem daje autorowi pochop do skreślenia trafnéj paraleli między działalnością syna a starego Alda. Pierwsza ta jednak wycieczka naukowa Nideckiego do Włoch nie przedstawia się w pewnych i jasnych kolorach. Prawdopodobnie ubiegł mu czas na pilnéj nauce i kształcącém obcowaniu z mistrzami filologii; prawdopodobnie téż na Padwie ograniczył się wówczas i do Rzymu nie dotarł, jak chce prof. Morawski. Bo jak autor sam stwier-

dza (str. 63) „wrażeń i wspomnień *żadnych*“ Nidecki „sam *nie* udzielił,“ co już jest stanowczym argumentem przeciw mniemaniu autora; niepodobna bowiem przypuścić, aby Nidecki, bywszy w Rzymie, zupełnie o tém mimo nadarzających się tylokrotnie sposobności przemilczał. Cytata zaś z listu do Hozyusza o kardynale Moronim niczego jeszcze nie dowodzi, mógł bowiem tego kardynała Nidecki w Padwie poznać. Ale choć Rzymu nie widział, „wracał on do ojczyzny rozszerzywszy znacznie zakres swéj wiedzy i znajomości, utwierdzony w skłonnościach, które go coraz bardziéj przejmowały.“ Na niespokojne czasy trafił młody Nidecki: reformacya coraz śmieléj podnosiła głowę, a wychowaniec szkoły Padewskiéj wnet po powrocie złożył dowody rozkwitającego talentu w liście pasterskim Zebrzydowskiego (z d. 1 listopada 1556). Prof. M. podnosi w liście tym, redagowanym przez Nideckiego, klasyczność łaciny i „salustyuszowskie zacięcie;“ czytelnik może zawierzyć, ale nie należało pozbawiać go przyjemności i przytoczyć choćby ów sławiony początek. Z mowy Zebrzydowskiego (na sejmie 1577 r.) przechowanéj w redakcyi Nideckiego téż byśmy radzi przeczytali byli ustęp jaki, zwłaszcza że Patrycy wycisnął na niéj indywidualne swe piętno, spisując ją z pamięci.

Pomagał wówczas Nidecki Royziuszowi w wydaniu tegoż „Chiliastichon“, panegiryk na znakomitości polskie. Czy to jednak chęć uzupełnienia studyów, czy może inny jaki powód skłonił Patrycego, że niedługo w kraju zabawiwszy, znowu do Padwy się wybrał. Do starych znajomych jak Robortelli i P. Manucyusz dołącza się (choć przelotnie) sławny anatom Gabryel Fallopio, a co ważniejsza Karol Sygoniusz. On to nadaje teraz stanowczy kierunek studyom Nideckiego. Sam zajęty realiami a nadto krytyką i wydawnictwem tekstu pobudził Nideckiego do zbierania *fragmentów Cycerońskich*, téj zmudnéj pracy, która miała stanowić rdzenną zasługę Patrycego na polu filologii klasycznéj. Nauczycielem Nideckiego Sygoniusz nigdy nie był, co autor wbrew dotychczasowym biografom zaznacza; o ich wzajemnym pełnym serdeczności stosunku z przekazanéj nam wiadomości dotyczącéj ich korespondencyi wnosić możemy. Jako doktór praw opuszczał Nidecki Padew w towarzystwie nowych przyjaciół: Fogelwedra i Dudycza. Z powrotem, spodziewać się godziło, że Patrycy do dawnego mecenasa zawita i wdzięcznie stare obowiązki pełnić będzie. Nic o tém jednak nie słychać, owszem, nowych stosunków szuka Nidecki już to w towarzystwie Myszkowskiego, już téż świeżo po śmierci Zebrzydowskiego polecając się łasce nowego biskupa: Filipa Padniewskiego. Autor stara się tę nagłą dosyć zmianę w usposobieniu Nideckiego wytłómaczyć tém, że Zebrzydowski pod

koniec życia oddalił się od swojéj dyecezyi (?), a podnosząc zupełne prawie w świeżych pismach Nideckiego milczenie o dawnym mecenasie, dodaje w końcu (str. 85): „Zdaje się, że ten człowiek (Zebrzydowski) wpływ wprawdzie na naszym uczonym wywarł i popchnął go na drodze nauki, lecz *nie potrafił sobie pozyskać jego serca ani nie wzbudził w nim głębszych uczuć przywiązania.*"

Tak pisząc, sprzeciwia się autor temu, co wyrzekł o tym stosunku na str. 44: „wkrótce zjednał sobie młody sekretarz *zupełnie serce i życzliwość swego pana*, który był „bardzo ludzkim" jak poświadcza Górnicki w Dworzaninie, a w szczególności *Nideckiego rozmaitemi obsypywał łaskami*", i na str. 45: że „z biegiem czasu, *stosunek się tak ścieśnił* „że Zebrzyd. obyć się zupełnie nie umiał bez swego *ulubionego* sekretarza. W obec zaś charakterystyki Patrycego podanéj przez autora niżéj (str. 153 i nn.), o któréj niebawem pomówimy, łatwo inaczéj zmianę tę w usposobieniu Nideckiego wytłómaczyć. Powróciwszy z Padwy wyposażony duchowo tak, jak niewielu w ówczesnéj Polsce, obejrzéć się musiał Nidecki „typowe dziecko swego wieku i pokolenia" za trwalszą jakąś podstawą, zwłaszcza, gdy i wymagania zapewne były już większe; Zebrzydowski się przeżył, wreszcie Kraków a niebawem i świat ten opuścił. Toż nie pora już była wierszyki po staremu na cześć jego pisać, a nowy pasterz wnet ku sobie ze względów łatwo zrozumiałych pociągnął. Czyż nie charakterystyczna ta przedmowa do pierwszego wydania Cycerońskich fragmentów, poświęcona już Padniewskiemu, z któréj autor dosadne ustępy na str. 86 przytacza: „Pókiś ty (Padniewski) nie miał godności i Cycerona fragmenty drzemały w zapomnieniu, gdyś został podkanclerzym, wydał Sygoniusz swoję pracę itd. Skoroś został biskupem krakowskim, natenczas *i ja* przerywając natychmiast robotę, postanowiłem tę całą pracę... wydać."

Wydanie pierwsze fragmentów Cycerona (1561) ocenia autor w porównaniu go z drugiém (1565), wykazując niedostatki jego wynikłe głównie z braku książek w Bierzanowskiém zaciszu, dokąd się Patrycy przed zarazą r. 1559 z Krakowa schronił. Nim jednak do rozbioru tego drugiego wydania autor przystąpił, daje nam wprzód ogólne tło filologicznéj działalności Nideckiego w rozdziele p. n. „Humanizm w kraju i jego wpływy." Jeden to z najpiękniejszych ustępów w książce. Przesuwają się przed oczyma naszemi i mecenasi ówcześni humanizmu (Padniewski, Myszkowski, hetman Tarnowski) i zasłużeni na tém polu pracownicy: Jakób Górski, Benedykt Herbest (ich „turniéj humanistyczny" w głośnym sporze o teorye retoryki) wreszcie sam Nidecki, którego główna filologiczna działalność

na trzechlecie 1560—1563 przypada. Uchyla się zasłona pracowni wielkiego filologa, widzimy, jak szerokie koła pracą jego się interesują (str. 100 i nn.). Bogactwo treści tu wielkie; nagradza nas ono sowicie za niektóre rozwlekłości rozdziałów poprzednich. Nie mniéj treściwy i następny rozdział, oceniający drugie wydanie fragmentów Cycerona. Zaznaczywszy z góry ważność téj pracy dla badań filologicznych w ogóle, ocenia autor z kolei metodę krytyczną Nideckiego i jego komentarz rzeczowy. W rezultacie téj oceny stwierdza autor, że Nidecki sprostał zupełnie trudnemu zadaniu a „wywody jego tak najczęściéj jasne, naturalne, że prof. M. „śmiałby je porównać z argumentacyami Ryszarda Bentley'a.“ Niestety, z wywodów tych żadnego nam autor nie przytoczył przykładu prócz kilku konjektur krótko omówionych, a miał tak dobrą do tego sposobność, choćby w owym terencyuszowskim dyalogu między Nideckim a niewolnikiem Getą, gdzie to Patrycy humorystycznie „próby swe i wątpliwości przedstawił.“ Tém bardziéj czujemy ten niedostatek, że zdaniem autora (str. 114) „ten Geta (odrzucający konjektury) powinienby często się pojawiać w pracowni filologów bujających zbyt samowolnie na polu i manowcach krytyki.“ Na inny ciemny punkt w przedstawieniu filologicznéj zasługi Nideckiego naprowadza nas sam autor w przypisku na str. 115, gdzie czytamy: „Oczywiście dużo on sobie przytém zadał pracy aby luźne fragmenta *według treści* należycie uporządkować i w tym kierunku także bardzo szczęśliwą miał rękę.“ Tu musimy znów na ślepo wierzyć autorowi, bo przykładów téj szczęśliwéj ręki darmo w książce saméj szukamy. Skrzętnie wyszczególniając dodatnie strony krytycznego umysłu Nideckiego, nie zaniedbał jednak autor wytknąć mu (zgodnie z Orellim) zbytniéj niekiedy śmiałości w interpolowaniu a zwłaszcza téj chyby, że „testimonia veterum“ za fragmenta Cycerońskie przyjął. Mimo tych usterków zasługa Nideckiego wielka; do uznania współczesnych (Sygoniusz, Victorius, D. Lambin, Turner) dołączył się w nowszych czasach głos takiéj powagi na tém polu, jak K. Halm, tak, że z niemałą radością i dumą, przyjąć należy zdanie prof. Morawskiego „że książka Nideckiego najznakomitszém jest dziełem, jakie filologia polska wydała, i zaszczyt naszemu Odrodzeniu przynosi.

Niebawem wpadł Nidecki w wir zajęć urzędowych. Praca w kancelaryi królewskiéj zaczyna się wprawdzie od r. 1560, ale pierwsze lata nie były jeszcze zbyt uciążliwe. Od czasu jednak gdy Myszkowski po Padniewskim podkanclerstwo koronne objął, mnożą się coraz więcéj zatrudnienia. „Koczownicze życie“ pozbawia spokoju i w latach 1564—66 ciągłe zmiany miejsca pobytu. Z wielkim dla Rzpltéj pożytkiem pracował Nidecki w *sprawach pruskich*,

szczególnie zaś w sprawach dotyczących dyecezyi warmińskiéj. Autor rozwija nam dokładniéj stosunek Patrycego do Hozyusza i Kromera. Po serdecznych zrazu stosunkach z Hozyuszem nastąpiła pewna oziębłość: Hozyusz pragnął znakomity talent Patrycego wyzyskać w celach apologetycznych, Nidecki zaś czynił to zależném od otrzymania jakiego intratnego beneficyum kościelnego, któreby mu dało niezawisłość i spokój. Gdy jednak Hozyusz zabiegów Nideckiego należycie nie poparł, dawny dobry stosunek nieco się zamącił. Po odjeździe Myszkowskiego na opróżnione biskupstwo płockie, po wyjeździe równoczesnym Jana Kochanowskiego na wieś ojczystą, smutno i pusto było Nideckiemu na dworze królewskim. Nowy podkanclerzy, Fr. Krasiński, zdołał go jednak na dawném stanowisku zatrzymać a nowi koledzy (Jan Zamojski, Jan Dymitr Solikowski, Piotr Dunin Wolski) powoli zastąpili dawne grono znajomych. Krasińskiemu podobnie jak i jego poprzednikom staje się zwolna Nidecki niezbędnym, u króla rośnie téż w znaczeniu stając się najzaufańszym pośrednikiem w tajemnych sprawach i rokowaniach. W stosunku swym z Kromerem jest Nidecki dużo swobodniejszym, co się szczególniéj w poufałym tonie listów przebija. Gdy Kromera po jego zamianowaniu koadjutorem warmińskim chciano wszystkich krakowskich beneficyów pozbawić, nieocenione usługi oddał mu wtedy Nidecki bawiący stale w Krakowie. Spodziewał się za swe trudy i zabiegi Patrycy kanonii krakowskiéj, któréj zrzeczenia się na swą korzyść po Kromerze oczekiwał. Ten jednak zbywał wiernego przyjaciela koadyutoryą kanoniczą a wreszcie 1572 r. zdecydował się wszystkie beneficya krak. zatrzymać i nadal. Że Nidecki po takim zawodzie w przyjaznym wytrwał stosunku, przyczyniła się do tego między innemi troska o wychowanie swego siostrzeńca, Adama Dzierżanowskiego. R. 1570 wysłał go Patrycy do założonéj przez Hozyusza szkoły Braunsberskiéj z prośbą do Kromera, by się nim zaopiekował. Rok 1572 tyle ważny w dziejach Polski był także stanowczą chwilą w życiu Nideckiego. Za przykładem króla spisuje i on swój testament. Dalszych jednak kolei jego życia już się z téj książki nie dowiadujemy. Część pierwsza dzieła prof. Morawskiego na tém się kończy; w ostatnim rozdziele ocenia autor społeczne położenie Nideckiego i jego charakter. W pierwszych 10-u latach swego sekretarstwa nie pobierał Nidecki żadnéj stałéj pensyi (t. z. jurgeltu), a jakkolwiek zapłaty od osób prywatnych (rzecz tolerowaua wówczas powszechnie) stanowiły jakieś źródlo dochodów, było ono jednak przypadkowe i niepewne. Dopiero w r. 1571 otrzymuje Patrycy 300 florenów rocznéj pensyi. Nie mogło go to jednak zadowolić. „Dzieckiem swojego wieku był nasz Andrzej a jednym z rysów

najwybitniejszych całego pokolenia była zbytnia chciwość nabywania“ (str. 153). Rozpoczęły się tedy polowania na beneficya już dawniéj pomyślnym uwieńczone rezultatem. W r. 1569 na dokumentach spotyka się już cały szereg tytułów przy nazwisku Nideckiego: „archidyakon wileński, kustosz kielecki, kanonik kruszwicki i warszawski, sandomierski i pułtuski.“ Nie mało téż czasu musiał Patrycy poświęcać porządkowaniu swych dochodów. „Gospodarz z niego doskonały. Rachunki pilnie prowadzi i rejestra pisze, rok od roku ręką swoją... Człowiek, który z taką lubością rachował niegdyś zebrane z wielkim mozołem Cycerońskie fragmenta, umiał późniéj z prawdziwie bankierskim talentem rachować swoje pieniążki,“ Rysy te mniéj w charakterze Nideckiego dodatnie tłómaczy prof. M. słusznie prądem epoki, w któréj „łakomstwo było ogólném i powszechném.“ Ale pracowitość, owa kardynalna cnota Nideckiego, służba w kancelaryi królewskiéj nie tyle błyszcząca na zewnątrz ile zmudna a pożyteczna, wreszcie stanowisko świetne w gronie współczesnych humanistów każą przepomnieć o zbytniém gonieniu „za próżnemi marnościami“ a wdzięczne żywić wspomnienie o człowieku, który zdobywszy sobie rozgłośne imię w obczyźnie, „nie przywiózł z sobą do kraju wzgardy dla tego, co swojskie i rodzinne, jak tylu innych, których piętnują moraliści wieku; przywiózł za to zasoby wiedzy, którą następnie chwały ojczyźnie przysporzył...“

„Dodatki“ zawierają: 1) Testament Nideckiego (od str. 173—197) wydobyty z akt konsystorskich dawnéj kolegiaty Warszawskiéj przez X. Knapińskiego. Jest to cenny dokument nietylko dla biografii Nideckiego, ale dla poznania w ogóle życia prywatnego polskiego w wieku XVI.

2) Ekskurs z uwagami o Aratusie Jana Kochanowskiego i stosunku jego do Arateów Cycerona. Przekonywa nas autor o dowolności, z jaką Kochanowski fragmentaryczny przekład Cycerona traktował.

3) Wybrane listy Nideckiego wyzyskane przez autora w monografii a przywiedzione zapewne dla tego, byśmy w oryginale poznać mogli lekkość pióra Patrycego i swobodę we władaniu łaciną. Szczególnie listy do Kromera celują pod tym względem.

Słówko o *stronie formalnéj*. W *stylu* rażą niekiedy pleonazmy: „słaba miękkość (str. 51), „w pełni spełniona“ (106), lub zwroty takie ak: „*jędrny* apetyt (105), „*obrabiali* posła“ (131), *zrobioną* sławę (148), zmarniała ona *zbyt prędko*, *aby* tego nie przyznać (108); germanizm: „stanął zupełnie na wysokości swego zadania“ (111). Korekta nie byt sta ranna. Spotykamy np. niejednostajność w ortografii: *dyj*ecezyę (str. 132) i *dye*cezy*i* (132); benefic*ium* (44) i benefic*yj*um (127);

spotykamy wielkie litery w wyrazach: *K*raj (str. 153, 167), *W*uj (146), *P*an (133); zamiast nijakiego w liczbie pojedyńczéj *to*, kilkanaście razy wydrukowano *te* (30, 41, 43, 67, 68, 93, 98, 100, 135. 153 161, 166). Widzimy dwukrotnie: roz*s*przeżenie (27 i 28). Oprócz tego myłki drukarskie rozsiane dość licznie, np. odczytanie zam. oczytanie (111), S*z*yfa (132), mienia (92), schodził*y* zam. -ło (30), *c*i zam. li (73) i i. W tekście listów łac. zauważyliśmy: ex audita zam. exaudita (203) i *e*t zam. ut (211). Wolelibyśmy także jednostajną dzisiejszą pisownią w łac. dokumentach XVI w. a więc: „mi*c*hi" i „pa*c*ietur" mogłoby się snadnie na „mihi" i „patietur" zmienić. Co do starych tekstów polskich niechby, gdzie się je w całości lub większym ustępie przytacza, zachowana była ortografia ówczesna, ale urywkowe zdania przytaczane w staréj szacie nie mile się od otoczenia wyróżniają. Dobrze to. że Górnickiemu „llatwie wżdy byllo za króla Augusta" (str. 149) albo że Patrycy Kochanowskiemu zapisał „tacze srebrną pozłoczisthą" (130), ale czy zdania te straciłyby co na wiarogodności, gdybyśmy je w dzisiejszym kształcie odczytali?

Słowa, jakie autor wyrzekł w przedmowie, że książkę swą pisał „z miłością dla przedmiotu", znajdują potwierdzenie w dziele saméin. Zaiste nie małéj potrzeba było miłości dla przedmiotu, aby z pyłów rękopiśmiennych wydobyć to mnóstwo szczegółów nowych, które się złożyły na całość piękną i pożyteczną. Nie możemy zamykać sądu naszego o dziele, którego dopiero część pierwszą przed sobą mamy; ale gdy w literaturze naszéj taki mrok jeszcze pod niejednym względem okrywa wiek XVI, gdy tak wdzięczna epoka nielicznych tylko pracowników ku sobie nęci, witamy pracę prof. Morawskiego z podwójną radością: jako jednę z tych „cegieł, z których ma się wznieść z czasem historya humanizmu w Polsce i jako poważną dla drugich pobudkę po pracy.

mp.

ŻYCIE POSMIERTNE CZŁOWIEKA

WEDŁUG ŚWIADECTWA GROBÓW I POMNIKÓW PIŚMIENNYCH.

Przed laty kilkudziesięciu metafizyka i panująca w niéj teorya pojęć wrodzonych, obejmując i objaśniając wszystkie zjawiska psychiczne i oparte na nich obyczajowe, dostarczały podstaw kilku naukom, które obecnie muszą same dla siebie wyrabiać grunt odpowiedni. Z rozdziału o wrodzonych pojęciach o Bogu powstała *nauka porównawcza religii*; z rozdziału o wrodzonych pojęciach moralności powstała *etyka niezależna.* Przytém metafizyka dostarczała schronienia dla kilkunastu zjawisk psychicznych i faktów historycznych związanych zarówno z istotą człowieka jak i jego cywilizacyą, które obecnie, w skutek właśnie owéj różnorodnéj koligacyi, jeszcze ostatecznie do żadnéj z nauk pojedyńczych nie weszły, żadną specyalną teoryą nie zostały objęte.

Wśród takich luźnie błąkających się faktów, nie wprowadzonych jeszcze do żadnéj nauki, powinien zwrócić na siebie dla przyczyn wielu uwagę specyalniejszą jeden, a mianowicie, wyrobienie się w ludziach wiary w istnienie swoje pośmiertne. Fakt ten, aczkolwiek wielce ciekawy sam przez się dla psychologa i etnologa, nie byłby jeszcze tém, czem jest, gdyby nie związany z nim, a raczéj na nim oparty cały szereg zjawisk umysłowych, obyczajowych, a nawet instytucyj społecznych.

Ponieważ istnienie wymagało miejsca, fantazya potworzyła światy odrębne dla zmarłych. Ponieważ istnienie musi się objawiać tylko w pewnych zjawiskach, musi przybierać formy realne, fantazya, zaludniwszy światy dla zmarłych potworzone, wynalazła dla mieszkańców tych światów właściwy sposób życia, odkryła w tém życiu treść nową, interes odrębny. Ponieważ istnienie przy pewnym

kierunku umysłów nie może być pojętém bez celu, powstały teorye, które w rezultacie objęły cały wszechświat, zaczęły rościć sobie prawa wyłączne do objaśnienia zagadki i istoty bytu w ogóle.

Obok tego wiara w istnienie pośmiertne wytworzyła liczne praktyki w życiu codzienném, mające zabezpieczać to istnienie od złych przygód, zapewnić mu trwałość i pomyślność: wytworzyła wspaniały kult zmarłych. Praktyki te, komplikując się, nie mogły się obywać bez poświęconych wykonywaniu ich jednostek. W miarę rozwoju kultu zmarłych powstawała konieczność czuwania nad jego prawidłowością, przechowywania go w pierwotnej czystości. Co wszystko razem dało początek specyalnym instytucyom, których wpływ odpowiadał całkowicie ważności życia owego.

Filozofia, objaśniając te zjawiska wrodzoném pojęciem nieśmiertelności duszy, lub faktem świadomości własnego ja w teoryi, po szczegóły odsyłała do religii. Badając atoli obecnie podstawy religii i objawy życia religijnego, nie tylko objaśnienia żądanego tam nie znajdujemy, lecz nawet przychodzimy do wniosku wręcz przeciwnego. Zapytać bowiem możemy, czy właściwie wszystkie objawy religijności nie należy podciągnąć pod tamte; czy z pojęć o pośmiertném życiu człowieka nie należy wyprowadzić religii saméj?

Tak więc, kwestya oswobodzona od filozofii, nie objęta religią, a raczéj sama gotowa religią objąć, pozostaje do czasu niezależną od jakiejkolwiek bądź jednéj nauki, gdyż wchodzi w kilka i dla wyjaśnienia potrzebuje kilku, obiecując natomiast rzucić nowe światło na te, których dotknie.

W takim stanie rzeczy pozostaje skrzętne zbieranie faktów z życia i studya nad pomnikami.

Pomniki odnośne do tego przedmiotu bywają dwojakiego rodzaju: *rzeczowe* i *piśmienne*. Rzeczowe—są to groby, przedmioty w nich znajdowane i do grzebania należące. Piśmienne przechowała literatura rozmaitych narodów. Jeśli pierwsze wskazać nam głównie mogą, *kiedy* w zwyczajach uwydatniła się wiara w życie pośmiertne, jeśli zaświadczą, że w tym czasie, z którego pochodzą, w istnienie swoje pośmiertne ludzie już wierzyli i w taki sposób pomogą do ustalenia choć w przybliżeniu jednéj daty w przeszłości; drugie, objaśniają *jak* to życie przedstawiano sobie i *jakie* w rozwoju dziejowym ludzkości w samych pojęciach o tém życiu zachodziły zmiany.

Poznanie przeto grobowisk służyć powinno za wstęp do poznania zabytków piśmiennych.

Naturalnie, że w tym wypadku zainteresować nas mogą tylko grobowiska poprzedzające pomniki piśmienne, a więc pochodzące

z czasów przedhistorycznych. Data atoli grobowiska, jakkolwiek odległą będzie ona, nic nam nie powie, niczego nie nauczy. Chcąc objąć doniosłość jéj całą, zrozumiéć prawdziwe znaczenie, nie od czasów naszych wstecz dochodzić powinniśmy jéj starożytności, lecz zmierzyć odległość jéj od chwili zjawienia się człowieka na ziemi.

I.

Nie w mytach, dotychczas jeszcze nie zupełnie zrozumianych ani téż wyjaśnionych, szukając odpowiedzi na pytanie, kiedy powstał na ziemi człowiek, lecz w geologii, ślady istnienia jego przechowane w zabytkach przemysłu, rozpatrywać możemy, przy braku wszelkich danych charakteru ściśle historycznego, tylko w obrębie czasu potrzebnego dla wytwarzania się górnych warstw w pokładach skorupy ziemskiéj. Zmusza nas do tego zarówno skromna rola człowieka na ziemi w początkach jego istnienia, jako téż długość okresów geologicznych nie latami, ani wiekami lecz z tysiącoleciami zaledwo mierzyć się dająca. Pomijamy jednakże obecnie wszelkie przypuszczenia tyczące się istnienia ludzi w okresie trzeciorzędowym, oraz wszelkie opisy istot, które służyć mogły za ogniwa przejściowe pomiędzy człowiekiem i całym łańcuchem stworzeń innych, i zatrzymujemy się na okresie czwartorzędowym, dawniéj diluwialnym nazywanym, w którym istnienie człowieka nie podlega już żadnéj wątpliwości.

Okres ten jak wyliczają geologowie i archeologowie, ciągnął się przeszło 200.000 lat (1). A ponieważ w jego początkach natrafiamy już na ślady istnienia człowieka, przeto chcąc choć w przybliżeniu oznaczyć czas dzielący pokolenie nasze od pierwotnych pokoleń ludzi pierwotnych, do roku 1884 ery naszéj powinniśmy dodać co najmniéj lat 5.000, objętych dziejami starożytnemi, następnie dwa razy tyle lat przypadających na dobę przejściową, pomiędzy okresem czwartorzędowym i tą chwilą, w któréj rozpoczyna się według nas historya, i nakoniec—całą długość okresu czwartorzędowego.

---

(1) G. Mortillet, opierając się na wszelkiego rodzaju wyliczeniach, podaje długość jego na 222,000 lat. (*Le Préhistorique Antiquité de l'homme*, Paris. 1883).

Okres ten, bacząc na szczątki przemysłu ludzkiego, nazwano jeszcze ***paleolitycznym***, ***starokamiennym;*** lub téż, od sposobu obrabiania owego kamienia, okresem ***kamienia łupanego.***

Otrzymana w taki sposób cyfra wskaże czas, w zakresie którego odszukać musimy początków wszelkich przyzwyczajeń i upodobań, skłonności i wierzeń, słowem początków wszystkiego, co stanowi obecnie właściwość ludzi.

Pierwszym i najwcześniejszym objawem wiary w życie pośmiertne, objawem, którego ślady, ponieważ są materyalne, najłatwiéj dają się odszukać wśród rozmaitych zabytków działalności ludzkiéj, jest niechybnie zwyczaj grzebania zmarłych. Groby atoli świadcząc, że grzebiący w nich w istnienie swoje pośmiertne wierzyli, dowodzą zarazem, że w czasach, z których pochodzą, pojęcia o życiu pośmiertném w umysłach ludzkich zostały już sformułowane i utrwalone skoro wpływać zaczęły na zwyczaje. Oparłszy się przeto na tém twierdzeniu, chociażby data przypuszczalna grobu okazała się bardzo starożytną, początek pojęć samych cofnąć musimy jednakże jeszcze w bardziéj odleglejszą przeszłość. Dla tego to więc odkrywanie grobowisk, pochodzących z czasów przedhistorycznych, budzi zawsze ogromne zajęcie w kołach naukowych społeczeństwa europejskiego.

Azya zachodnia i Egipt, owe dwie kolebki cywilizacyi współczesnéj, niedostarczyły, dotychczas przynajmniéj, żadnych tego rodzaju pomników. Dłuższy o kilka tysięcy lat niż w Europie okres dziejowy zatarł wszelkie ślady kultury dawniejszéj w tych krajach. Poznajemy tam człowieka tylko w téj postaci, w jakiéj przedstawia go historya. Jakby dla przeciwstawienia, grobowiskami przedhistorycznemi pokryta ta część Europy, gdzie dzisiaj życie dziejowe wre najbardziéj przyśpieszonemi tętny. Jest to zachodnia część Europy. Trudność oznaczenia natychmiastowego daty odkrytego pomnika zainteresowanie się i tak wielkie odkryciem jeszcze bardziéj podnosi i podtrzymuje.

Jeszcze prawie dotychczas nie przebrzmiało echo sporów wywołanych w 1866 roku odkryciem De-Ferry. Badacz ten w poszukiwaniach swych archeologicznych natrafił w miejscowości zwanéj Cro-du Charnier, pod Solutré (dep. Saône i Loary) na kilkanaście szkieletów. Układ szkieletów tych w ziemi naprowadzał na wniosek, że to nie mogło być przypadkowe zagrzebanie. Przedmioty znajdowane obok szkieletów, jakoby naumyślnie ze zmarłymi złożone, potwierdzały ten wniosek. Było to więc niechybnie cmentarzysko. Daléj sąsiedztwo stacyi archeologicznéj Solutré, od któréj nawet nadano nazwę jednéj dobie okresu czwartorzędowego, a przytém wyroby krzemienne, oraz szczątki zwierząt z tego okresu obficie w tejże warstwie znajdowane, zdawały się wskazywać wiek dokładnie. Zgodzono się więc ogólnie, że cmentarzysko to jest

współczesném wyrobom krzemiennym i zwierzętom (1), których szczątki w tym pokładzie znajdowano, a więc, że pochodzi z doby solutreńskiéj (2).

Doba solutreńska jest trzecią z kolei w okresie czwartorzędowym (3). Ciągnęła się ona, według obliczenia Mortilleta, lat 11,000. A ponieważ od czasów naszych oddziela ją tylko czwarta i ostatnia, madeleńska, trwająca, również według obliczenia Mortilleta, lat 33.000, okres przejściowy i czasy historyczne, więc najdawniejsze groby sięgały by piędziesięciu kilku tysięcy lat przed erą naszą.

Poszukiwania dalsze obaliły jednakże wszelkie te przypuszczenia, najściślejsze na pozór wyliczenia odrazu przekreśliły. W nieco dalszéj okolicy Solutré znaleziono następnie jeszcze inne cmentarzysko, zupełnie do tamtego podobne z układu ciał grzebanych, z takiemiż okazami przemysłu ludzkiego i takiemiż szczątkami fauny solutreńskiéj. W cmentarzysku zaś natrafiono na wyroby garncarskie. Urna gliniana wykazała dokładniéj niż inne przedmioty wiek odkrytego później. Podobieństwo zupełne, a raczéj tożsamość tego cmentarzyska z cmentarzyskiem w Cro-du-Charnier datę jego zmusiła przenieść i na tamto. Należało więc obniżyć, i to znacznie, pierwotnie przypuszczaną. Z okresu czwartorzędowego przeniesione je do okresu przejściowego, w którém dopiero zaczęto wyrabiać naczynia z gliny.

Cmentarzysko w Cru-do-Charnier nie jest jedynym zabytkiem z czasów przedhistorycznych, co do daty którego można się było jeszcze mylić i w skutek tego w odleglejszą ją dobę a nawet okres przenosić. Również kilku innym, chociaż nie tak dawne, lecz zawsze dawniejsze znacznie od rzeczywistego przypisano pochodzenie. Naprzykład. Odkryte we Francyi w 1860 r. w Aurignac (dep. Haute-Garonne), w 1868 r. w Cro-Magnon (Dordogne), odkryte w Belgii w Furfooz w skutek pomięszania w nich przypadkowego kości ludz-

---

(1) De-Nadaillac: *Les premiers hommes;* tom 1-szy, 157—164.

(2) Mianowanie doby w okresie czwartorzędowym od nazwy stacyi archeologicznéj, dostarczającej najbardziéj typowych okazów przemysłu ludzkiego, wprowadził, w 1872 r. na kongresie archeologicznym w Brukselli G. Mortillet. Nazwy w ten sposób powstałe zastępują poniekąd poprzednio przez Larteta upowszechnione, a wzięte z typowych okazów fauny przedhistorycznéj, jako to: doba *niedźwiedzia*, *mamuta*, *renifera*, *żubra.* Doba solutreńska odpowiada końcowi doby mamuta i początkowi doby renifera.

(3) Dwie poprzednie noszą nazwy: *szelska,* od *Chelles*, stacyi archeologicznéj we Francyi (dep. Sekwany i Marny); *mutierska*, od stacyi *Moustier*, również we Francyi (Dordogne). Obie razem wzięte ciągnęły się według Mortilleta lat 178.000: szelska 78.000, mutierska 100.000. (*Le Préhistorique antiquité de l'homme*).

kich z wyrobami krzemiennemi i szczątkami zwierząt pochodzącemi z okresu czwartorzędowego zostały pomieszczone również w tym okresie, chociaż w ostatniéj jego dobie, madaleńskiéj.

Tak więc, skoro wszystkie grobowiska, noszące cechy odległéj starożytności, którym można było jeszcze przypisywać wcześniejsze pochodzenie, okazały się mniéj starożytnemi, niż przypuszczano; skoro najwcześniejsze sięgają tylko okresu przejściowego, pomiędzy epoką czwartorzędową a czasami historycznemi, przeto wnosić należy, że w epoce czwartorzędowéj człowiek zmarłych nie grzebał wcale, a więc, że jeszcze obce mu były pojęcia o życiu pośmiertném, przynajmniéj w téj formie, kiedy wpływać już mogły na zwyczaje.

Stan rzeczy pod tym względem zmienia się zupełnie w okresie przejściowym (1).

Człowiek w okresie tym w istnienie swoje pozagrobowe wierzył gorąco i wiary swéj dowodził nie tylko samym faktem grzebania zmarłych, lecz zapobiegliwością, z którą wyszukiwał rozmaitych sposobów uchronienia ciał zmarłych od wszelkich uszkodzeń, przypadkowego zniszczenia, pożarcia przez dzikie zwierzęta, sprofanowania przez ludzi również jak one dzikich, i dowodził pracą, którą łożył na wytworzenie odpowiedniego takim wymaganiom grobowiska i, co więcéj, zapanowaniem nad chciwością, właściwą spadkobiercom, nad żądzą łatwego zbogacenia się mieniem zmarłego, gdyż otaczał ciało jego przedmiotami, których ów za życia używał, a które częstokroć były nawet cenne, jako wyrób i materyał.

Początkowo ludzie z okresu tego grzebali zmarłych w jaskiniach. Gdy jaskiń zabrakło wydrążali na wzór jaskiń groty w skałach. Gdzie zaś odpowiednich skał nie było, układali, co miało również naśladować jaskinie, głazy kamienne jedne na drugich, tworząc pod niemi korytarze i komnaty. Grobowiska takie noszą dzisiaj nazwę *dolmenów*. By niedopuścić do grobu człowieka nieprzyjaznego ani zwierzęcia mięsożernego wejścia umiejętnie zatarasowywali potwornemi bryłami kamienia, a nadto nad dolmenami sypali kopce wyniosłe.

---

(1) Okres ten dla przeciwstawiania z poprzednim (paleolitycznym, czwartorzędowym), nazwano okresem *neolitycznym*, nowokamiennym, lub ze względu na ulepszone sposoby obrabiania kamieni, okresem *kamienia gładzonego*, lub też, bacząc przedewszystkiem na rozmiary głazów używanych do oznaczenia pomników rozmaitych (menhirów, kromlechów, dolmenów) *megalitycznym*, wielkokamiennym. Zastosowując zaś do niego systemat nazw z poprzedniego, nazywają go jeszcze *robenhauskim*, od stacyi archeologicznéj *Robenhausen*, w Szwajcaryi leżącéj.

Jeżeli podziwiamy piramidy wzniesione przez Egipcyan i groby ich kute w skale, ze względu na pokonywanie trudności technicznych; jeszcze większy w nas podziw powinny wzbudzać dolmeny i sztuczne groty. Budowniczowie i robotnicy, których imion nie tylko już osobistych lecz nawet plemiennych nigdy nie dojdziemy, przypuściwszy jeszcze że imiona nosili, walczyli z równemi jak i Egipcyanie pod przewodnictwem Uny trudnościami, lecz walczyli mniejsze w każdym razie od tamtych posiadając środki pokonywania tych trudności. Życie pośmiertne więcéj już ich zainteresowywało niż bieżące. Śladu ich domóstw nie zostało; groby przetrwały nietknięte.

Nagromadzenie szkieletów w tych trojakiego rodzaju cmentarzyskach dowodzi, że były one miejscem grzebania rodów całych lub gmin. Ilość zaś ich znaczna w niektórych krajach Europy zachodniéj świadczy wymownie o wielce rozpowszechnionym już zwyczaju grzebania. We Francyi saméj naliczono jaskiń naturalnych ze szczątkami ludzkiemi, a więc za cmentarzyska służących, 117; jaskiń sztucznie wydrążonych 166; dolmenów 3410 (1).

Z odkryciem grobowisk w Europie zachodniéj związanym jest jeszcze jeden fakt, mogący rzucić nieco światła na kwestyą naszą.

Wszystkie czaszki ludzkie, dotychczas z czwarto - rzędowego okresu zebrane, przedstawiają, począwszy od znalezionéj w Neanderthal, a pochodzącéj z doby pierwszéj tego okresu (szelskiéj) a skończywszy na znalezionéj w Laugérie - Basse z doby ostatniéj (madeleńskiéj) jeden, stopniowo rozwijający się i doskonalący, typ ludności, który to typ przechował się do czasów obecnych najczyściéj w Eskimosach i w Australczykach. Wszystkie bowiem czaszki są podłużne (dolichocefala). W okresie przejściowym, w owych właśnie grobowiskach, obok typu dawnego, pierwotnego, odnajduje się nowy, krótkogłowy (brachycefala) i trzeci, powstały ze zmięszania się obu poprzednich (mesabicefala). Zjawienie się nowéj ludności typu zupełnie odmiennego da się wytłómaczyć tylko przypuszczeniem immigracyi.

Pytanie, czy ludność pierwotna Europy zachodniéj, z okresu czwartorzędowego, mogła, czy też nie mogła sama wyrobić w sobie pojęcia o życiu zagrobowém, dla braku wszelkich wskazówek stosownych, pozostać musi nie rozstrzygniętém. Jednakże, odkrycie nowego zwyczaju, wraz z ludnością nową, pomimowoli nasuwa niezależnie od wszelkich kwestyj o uzdolnieniu rasowém, czy też

---

(1) Cyfry te biorę z cytowanego już kilkakrotnie dzieła Mortilleta: *Le Préhistorique antiquité de l'homme.*

o więcéj lub mniéj wybitném usposobieniu ras niektórych do pewnych objawów psychicznych, inne, a mianowicie, czy nowe te zwyczaje nie były przyniesione przez ową ludność napływową?

Pytanie to nabiera jeszcze większéj wagi, skoro zważywszy, że kolebką rasy krótkogłowéj jest Azya (1), oraz przypomnimy sobie, że ludy azyatyckie o kilka tysięcy lat poprzedziły europejskie w rozwoju dziejowym.

W takim razie, początku wiary w istnienie pośmiertne szukać zmuszeni jesteśmy na Wschodzie.

Jeżeli ludność azyatycka, przybywszy do Europy, praktykowała już grzebanie zmarłych, wyrobienie się w niéj przeto wiary w istnienie zagrobowe, poprzedziło czasy emigracyi, a więc powstać musiało jeszcze w epoce czwartorzędowéj, chociażby na jéj schyłku. Na Wschodzie atoli, już nie groby, lecz pomniki piśmienne świadczą o téj wierze.

Groby sztuczne i dolmeny stanowią ogniwo, łączące zabytki przedhistoryczne, z najstarszemi zabytkami z czasów historycznych, któremi są: piramidy i groby egipskie. W grobach egipskich przechowane zwoje papirusów, odkrywają nam *jak* życie pośmiertne przedstawiano sobie.

II.

Przechodząc do pomników piśmiennych, na samym wstępie przedstawia się pytanie, pod jaką to nazwą człowiek był znany po śmierci swojéj, gdy zaludniał światy pozagrobowe? We wszystkich językach, w których pomniki posiadamy, nosi on dwojaką nazwę. Pierwsza odpowiada naszym wyrazom: *cień*, *widmo*, *widziadło*. Są to: egipskie *ka*, greckie σκιά, łacińskie—*umbra imago vana*, *corpora defuncta vita*. Druga nazwa odpowiada naszym wyrazom: *dusza duch*. Jest to hebrajskie—*nefetz*, assyryjskie—*napesti*, egipskie—*ba*, greckie ψυχή, łacińskie—*anima* i *animus*. Ta druga nazwa jest wzięta wszędzie od słowa, oznaczającego czynność materyalną *oddychania*. Również i nazwa miejscowości, gdzie zmarłych nie tracono, pochodzi, jak to zobaczymy, od konkretnego, materyalnego pojęcia.

Jednoznaczność ta zdumiewająca, nie może być przypadkową, ani też nie mogła wyniknąć w skutek zapożyczenia przez jeden język wyrazu od drugiego. W niéj przeto szukać należy, przy zupełnym braku innych wskazówek, śladu tworzenia się pojęcia samego.

(1) Najwyższy wskaźnik kraniometryczny dla czaszek krótkogłowych (85,95) dostarczają czaszki Syryjczyków z Gebel-Szeik (Topinard, *Anthropologie*, p. 245).

Na podstawie właśnie tych wskazówek językowych, a przytém, biorąc pod uwagę starożytność zwyczaju grzebania zmarłych, udowodniono grobami, oraz rozpowszechnienie się jego i rozmaitość form w jakich się przejawia u ludów, stojących obecnie na takim stanowisku w kulturze, na jakim stał człowiek przedhistoryczny. Edward Tylor, autor wielce cennego dzieła *Primitive Culture*, dociekа powstawania pojęcia samego o istnieniu pośmiertném w umysłach ludzi pierwotnych.

Teorya ogólna, która objaśnia powstawanie tych pojęć, nazwana przezeń *animizmem*, wkracza, zarówno do dziedziny psychologii, jak i do etnologii porównawczéj i obejmuje wszystkie objawy życia religijnego, wyprowadzając je z jednéj zasady. Punkt zetknięcia się jéj z kwestyą życia zagrobowego da się schwycić w następnych kilku twierdzeniach i wnioskach.

Człowiek pierwotny, doszedłszy do pewnego stopnia rozwoju intelektualnego, skoro począł porównywać z sobą przedmioty rozmaite i badać stany różne, skoro począł poszukiwać przyczyn odkrywanéj pomiędzy odmiennemi stanami różnicy, został przedewszystkiém uderzony dwoma zjawiskami, nie mającemi napozór żadnego z sobą związku, lecz jednakowo go dotykającemi bezpośrednio i właśnie, w skutek tego, ściśle w jego pojęciach łączącemi się. Jedno dlań zjawisko przedstawiały zmiany, zachodzące we wszystkich żyjących istotach w skutek snu, choroby i śmierci. Drugie, pokazywanie się mu we śnie ludzi blizkich pokrewieństwem, oraz znajomych, i to nieobecnych w tém kole lub sąsiedztwie, a nawet do liczby żywych już nienależących. Naturalnie, że te widzenia, za rzeczywistość on przyjmował.

Zastanawiając się nad przyczyną ruchu i bezwładności w organizmie, a więc życia, snu i śmierci, łatwo mu było wpaść na pomysł, że przyczyną tą nic innego być nie może, tylko oddychanie, to jest duch, słabnący w czasie choroby, opuszczający ciało chwilowo podczas snu, na czas dłuższy—w chwili śmierci, którą za jedno ze snem poczytywał. Kipiąc bowiem sam życiem, nicości zrozumiéć nie mógł. Nie mając pojęcia o bycie, śmierci przedstawić sobie nie zdołał. Odkrywszy zatém przyczynę życia w oddechu, duszę od ciała odłączył i za coś osobnego, do ciała jako do mieszkania swego wchodzącego i zeń wedle upodobania wychodzącego, zaczął poczytywać. Człowiek wtedy stał się istotą dwoistą.

Odkrycie w człowieku dwoistości, naprowadziło następnie na wniosek, że to właśnie ta druga istota człowieka, dusza jego, przedstawia się we śnie jako cień, mara. Z drugiéj zaś strony fakt, że się we śnie ukazują osoby nie obecne, przekonywał, że istota druga,

duchowa żyje niezależnie od pierwszéj, cielesnéj, i nie podlega zwykłym warunkom istnienia; fakt, że we śnie przedstawiają się osoby zmarłe, przekonywał, że istota ta, druga, żyje, i po śmierci tamtéj pierwszéj. W taki więc sposób dusza, jako źródło życia, utożsamioną nakoniec została z widziadłem senném. Utożsamienie to było bogatém w następstwa.

Dusza, jako oddech, będąca już materyalną, przez to zlanie się z widziadłem, jeszcze widoczniejsze własności materyi otrzymała. Posiadła bowiem stałe i widome kształty. Daléj, przez przywiązanie do jednéj osoby, stała się indywidualną i cechy indywidualności zatrzymała, tak długo po wyjściu z ciała, jak długo trwała pamięć o zmarłym wśród żyjących, lub żyjący zagłębić się w przyszłość zdołali. Zresztą, ponieważ widziadła senne występowały zawsze w jakiéjś akcyi, żyjący, otrzymali wskazówki, co do sposobu życia pośmiertnego tych dusz. Życie owo, będące dotychczas zagadką, zarysowało się już w pewnych formach i stało się odbiciem rzeczywistego. Gdy zaś duchy ożywiające ten świat, coraz bardziéj potężniejąc, przetworzyły się w bogów i szatanów, gdy władać ziemią zaczęły i rządzić losami ludzkiemi, dusze, zarówno jak i ludzie żyjący podległy ich władzy. Komplikowało to jeszcze bardziéj ich żywot pośmiertny i, nakoniec, zagadnienia etyczne w grę wprowadziło. Zmarły po śmierci miał otrzymać nagrodę lub karę za postępki całego żywota. Z czasem, życie pośmiertne, będące pierwotnie uzupełnieniem żywota ziemskiego, stało się jego celem. Istnienie rzeczywiste na żywot zagrobowy przeniesioném zostało.

1.

Egipcyanie starożytni do trumny, w któréj było złożone ciało nabalsamowane zmarłego człowieka, wkładali, wraz z wielu innemi przedmiotami, mającemi służyć do zabawy i użytku zmarłego, i zwój papirusu, długości od kilku do kilkunastu stóp. Zwój ten zawierał w piśmie hieroglificzném lub hieratyczném, a w końcu i w demotyczném, zbiór modłów i zaklęć, które powinien był zmarły podczas swéj wędrówki pośmiertnéj wypowiedzieć w rozmaitych oczekujących go przygodach; zawierał formuły magiczne, które ze strony bogów służyć miały za odpowiedź na jego prożby i zaklęcia; zawierał ustępy liryczne, któremi zmarły objaśniał rozmaite zmiany po kolei dostrzegane w sobie, w skutek biegu wypadków; nakoniec, obrazy i rysunki, przedstawiające sceny ważniejsze z wędrówki owéj, a które zastępowały w całości część opisową pomnika. Wszystko razem wzięte przedstawia 165 rozdziałów nie równej wcale długości.

Każdy rozdział przedstawia oddzielną akcyą. Tytuły rozdziałów tłómaczą użytek i skutki zawartego w nim hymnu lub zaklęcia.

Księga zmarłych, ten bowiem, stosownie do ich użytku, tytuł takim papirusom nadano, nie jest przeto dziełem jednego człowieka, ani téż utworem sztuki. Na zawarte w niéj modły i formuły składały się dziesiątki wieków. Nie przedstawiają one właściwie pojęć o losach pośmiertych człowieka w ich ostatecznym rozwoju, lecz raczéj historyą tych pojęć, jak się one wyrabiały w szeregu stuleci. Wszelako owéj historyi poznać z niéj nie możemy. Przyczyną tego jest sam układ księgi zmarłych.

Ponieważ była ona wyłącznie przeznaczona dla zmarłych, żywi się nią nie interesowali wcale. Nie było przeto żadnego porządku logicznego w następstwie faktów i obrazów, żadnego ładu w układzie modłów. Wartość jéj główna polegała na ilości paragrafów. Więc części jéj rozmaite coraz bardziéj zwiększano nowemi modłami i zaklęciami. Ponieważ żywi jéj nie odczytywali wcale, więc ze strony produkujących takie księgi kapłanów nie dokładano staranności w przepisywaniu modłów i formuł. Egzemplarze, które doszły do nas, wszystkie są pełne błędów wszelakich, wyrazowych i ortograficznych, pełne skróceń i opuszczeń. Przytém, jak i wszystko co się kupuje, były one na rozmaite ceny. Zależało to od ilości zebranych modłów, dobroci papirusu, piękności rysunków. Tłómaczenie księgi zmarłych na język niemiecki przez Lepsiusa i na francuzki przez Perreta dokonaném zostało z papirusu, znajdującego się w Muzeum Turyńskiém.

Z celu księgi zmarłych i z układu jéj wypływa, że opisów w niéj nie ma żadnych. Opisy, jak wiemy, zastąpione są przez obrazy, akcya przez rysunek. Jest ona poniekąd tak obrazową, jak pismo hieroglificzne egipskie.

Jednakże stanowi ona jedyny, w swoim rodzaju, pomnik. Z niéj tylko poznać możemy, przynajmniéj jak dotychczas, pojęcia o losach pośmiertnych człowieka powstałych w narodzie, który licznemi praktykami udowodnił silnéj wiary w życie pośmiertne, wspaniałe wznosił gmachy dla schronienia ciał, doprowadził do wysokiego stopnia sztukę balsamowania dla zabezpieczenia ich.

Było-by wszelako błędném mniemanie, by dla Egipcyanina życie na ziemi miało tylko wartość przygotowania się do istnienia pośmiertnego, jak dla ascety lub mnicha średniowiecznego. Owszem, wszystko, co go oczekiwało za grobem, było dlań raczéj przygotowaniem się do życia powtórzonego na ziemi, i stokroć się powtarzającego.

Zbyt nęcącą była przyroda Egiptu, pomimo nawet wstrętnego despotyzmu monarchy, gnębiącego ciążenia na sobie rozmaitych kast społecznych, by dla mieszkańców jego życie mogło się stać ciężarem. Wszystkie zjawiska, obserwowane przez nich w przyrodzie, jeżeli wskazywały na jedno, że wszystko ma swój kres, wszystko musi się skończyć, uczyły go zarazem, że wszystko się odnawia, odradza, więc powraca do życia. Słońce zachodzi by powstać jutro. Wody Nilu giną w oceanie by powrócić następnie do źródła. Nasienie zboża pada do roli by wyrosnąć w krzew. I człowiek więc powraca do życia; chociaż w zmienionéj formie, ale wraca, ale odżywa. Taki był wynik badań przyrody, zastosowany do życia swego.

Inaczéj trochę uczyli kapłani, przedstawiciele wiedzy głębszéj, kierownicy narodu. Do ich systematu, będącego w gruncie rzeczy teologią, wchodzi już teleologia i etyka. Istnienie, jak się ono przedstawia we wszechświecie, jest objawem potęgi słońca, wcieleniem się jego światła i ciepła w materyą. Słońce przeto jest stwórcą wszystkiego, początkiem wszystkiego, jest tém, co nazywamy bogiem. Człowiek poznaje owego boga nie tylko patrząc na niego, śledząc jego objawy w życiu, lecz raczéj wnikając w jego zamiary, badając jego istnienie zewnątrz objawów dostrzeganych, składając mu hołdy, ofiary, unikając tego, czego zabrania, spełniając, co rozkazuje, zaleca. Wieczne istnienie nie rozwiązywało by zagadki bytu. Człowiek więc po śmierci wchodzi do słońca, staje się światłem, świeci w niém... Los więc dwojaki oczekiwał człowieka po śmierci. Wszystkie modły, zaklęcia, hymny, formuły magiczne i rytuałowe, zawarte w *Księdze Zmarłych*, mają na celu ułatwiać a raczéj zapewniać człowiekowi dwojakie owe istnienie.

Zapewne nauka kapłanów wyjaśniala kiedy to człowiek powracał do życia, a kiedy dosięgał słońca i wcielał się w blask słoneczny. Z księgi zmarłych dowiedzieć się tego nie możemy. Powinna ona była dostarczyć mu tylko sposobów dopięcia, zarówno tego jak i tamtego celu pośmiertnego.

Słońce w swéj podróży pod ziemią, pomiędzy zachodem swym i wschodem nosiło nazwę Ozyrysa; w tym stanie stawało się specyalnym bogiem świata podziemnego, do którego człowiek wstępował po śmierci. Świat ów zwał się Amenti i leżał w stronie zachodu, gdzie się słońce skrywało pod ziemię, zkąd pochodzi i nazwa sama. Zmarły po śmierci przybierał również nazwę Ozyrysa, z dodatkiem własnego imienia. Wchodził do Amenti przez dno w grobie, jako *ka* (co właściwie znaczy cóś drugiego, podwójnego, osobnego, a będącego tém samém). Na wchodzącego do Amenti oczekują rozmaite istoty fantastyczne, przeróżne objawy i formy bo-

gów. Przeprawia się on przez wodę, przechodzi przez gmachy, sale; broni się od czyhających nań złych potęg zaklęciami magicznemi; przyjazne bóstwa zalania on sobie wypowiadaniem modlitw stosownych. Podróż ta ma go oczyszczać z przestępstw na ziemi spełnionych. Kulminacyjnym punktem podróży pośmiertnéj jest sąd przed Ozyrysem i jego licznem otoczeniem, usymbolizowany w obrazie ważenia serca. Wchodząc do sali, w któréj odbyć się ma ten sąd, zmarły wypowiada: „o bogowie, mieszkańcy krajów podziemnych, wysłuchajcie głosu Ozyrysa N. Przybywa on do was. Nie ma w nim już żadnego błędu, śladu żadnego przestępstwa. Nic przeciwko niemu nie świadczy źle. On żyje już prawdą, karmi się prawdą. Serca bogów są zadowolone ze wszystkiego, co on zrobił. Dostarczył on pokarmu temu, kto był głodny; wody—temu, kto pragnienie czuł. Okrył odzieżą będącego nagim. Składał ofiary bogom i cieniom. Żadnéj nań skargi przed bogiem nie było.“ Do Ozyrysa zaś tak się odzywa: „Staję przed tobą boże wieczności, nie czuję za sobą przewinienia. Nikt nie występuje by mię obwinić. Nie zasłużyłem na to. Co uczyniłem, ludzie to sławią, bogowie z tego się cieszą. Bądź pozdrowiony władco Amenti. Jest-to dobra, pani z Abydos, dozwól mi przejść przez drogę ciemności. Niech się połączę z twymi sługami, mieszkańcami świata podziemnego“.

Jednakże Horus i Anubis przystępują do zważenia czynów dobrych zmarłego. W tym celu kładą serce jego (serce zwykle z mumii wyjmowano i osobno przechowywano; do mumii w miejscu serca wkładano talizman mały—chrząszcza kamiennego) na jednéj szali, na drugiéj stawią posążek mały prawdy. Zupełna równowaga świadczy na korzyść zmarłego. Wtedy odzywa się Anubis: „serce pozostaje w równowadze. Ważenie dobrze dla Ozyrysa N. wypada“. Ozyrys bóg wydaje wtedy wyrok następny: „dozwala się sercu wejść na miejsce właściwe w zmarłym“. I serce powraca do piersi zmarłego. Wtedy dusza człowieka dobrego staje się swobodną i może wracać do ciała swego lub innego i rozpocząć życie na powrót na ziemi „w postaci, jakiej się jéj podoba“. Powrót serca do ciała zmarłego odbywa się wcale niezależnie od powrotu duszy na ziemię. Dusze zaś przestępców zostają pogrążone w ogień, zalewane wodą, lub skazane są na miliony lat zupełnéj bezwładności.

2.

Literatura babilońsko-assyryjska nie przedstawia żadnego pomnika, który na wzór księgi zmarłych Egipcyan, pozwolił by nam poznać losy pośmiertne człowieka, według pojęć mieszkańców Mezo-

potamii. Lecz jakby na wynagrodzenie tego, w cegiełkach, stanowiących ongi bibliotekę króla Assur-bani-pala, przechowywanych obecnie w Muzeum Brytańskiém, odnaleziono urywek obszernego poematu mitologicznego. Urywek ten opisuje zstąpienie bogini Istar do świata podziemnego.

Poemat ten jest dziełem sztuki. Mamy więc zamiast modlitw i zaklęć, ułożonych w chaotycznym nieporządku, opis *Aralu*—piekła Assyryjczyków. Jeżeli cel poematu nie pozwala autorowi opowiedzieć nam o tém, co by nas w tym wypadku najbardziéj zainteresować mogło, mamy za to przedstawioną miejscowość, któréj charakter pozwala wnosić o dobréj czy złéj stronie pobytu w niéj.

Boginia Istar (Astarte—Fenicyan, Astarot—Hebreów starożytnych) łączyła w sobie własności Wenery rzymskiéj i Afrodyty greckiéj, z powagą Minerwy, wojowniczością Pallas-Ateny. Planeta Wenus jéj była poświęconą i od niéj nosiła nazwę. Cel zstąpienia Istary do piekieł jest nieznany. Podróż jéj wynikała z treści poematu, którego tylko urywek posiadamy. Domyślają się komentatorowie, że chciała do życia przywrócić jednego z tych, którym miłość jéj śmierć przyniosła. Piekło, jak również i wejście do niego, Assyryjczycy i Babilończykowie mieścili na północy. Nazwa Aralu nadana piekłu przez nich, zapewne brzmi jeszcze i obecnie w nazwie morza (Aralskiego).

Oto co w tym urywku czytamy:

„Istar, córka boga Siu (księżyca), zwróciła się do domu zmarłych, do przybytku boga Irkalla; do miejsca, do którego się wchodzi, lecz zkąd się już nie wychodzi. Zwróciła się ku drodze, po któréj się dąży bez powrotu; ku domowi, gdzie ciemność zastępuje miejsce światłości, dla tych, którzy weszli. Tam głodni mają tylko proch dla nasycenia się; tam pożywają błoto; światło nigdy nie dochodzi; wieczna panuje ciemność. Jako ptaki latają tam dusze; niby ptaki latają i gromadzą się przy drzwiach... Istar zbliżywszy się do Aralu zamiary swe wypowiedziała strażnikowi... Otwórz drzwi, otwórz drzwi, bym weszła. Jeśli drzwi nie otworzysz, jeśli ja nie wejdę, wywalę drzwi, połamię zasuwy, rozwalę progi, przejdę przez otwór. Wypuszczę zmarłych, by pożarli żywych i w miejscu żyjących pozostali. Strażnik otworzył usta i odrzekł, wypowiadając słowa następne: bądź pozdrowioną, bogini, uspokój gniew twój; chcę być ci posłusznym i o twojém żądaniu doniosę królowéj. Odszedł i rzekł do Allot: pani tych miejsc, twa siostra Istar chce wejść. Przestępuje więc zakaz, zabraniający wejścia do Aralu. Allat odpowiada, a w jéj słowach brzmi smutek i świadomość swéj bezsilności: „my trawa skoszona,

oni—ze śpiżu; my rośliny zwiędłe, oni—drzewa kwitnące... idź i otwórz jéj, lecz postąp z nią jak nakazują nasze prawa".

Człowiek przychodzi na świat nagi. Nic przeto z sobą wziąść nie może do świata podziemnego. Istar, jedyna istota żywa wchodząca do Aralu, w państwie zmarłych stanąć tylko mogła w postaci, jakiéj stają zmarli, będąc nagą.

Strażnik powraca, otwiera wrota i Istar wchodzi:

We wrotach pierwszych zdejmuje jéj koronę złotą z głowy.

W drugich—wyjmuje jéj z uszu kolczyki złote.

W trzecich—zrzuca jéj z szyi naszyjnik kamienny.

We czwartych—zdziera z niéj szatę pokrywającą piersi.

W piątych—odejmuje pas drogocenny.

W szóstych—pozbawia ją naramienników i obuwia.

W siódmych—ostatniéj osłony wstydliwości.

I na zapytania Istary broniącéj się, odpowiada zawsze te same słowa: takie są przepisy dla świata podziemnego. Wtedy dopiero Istar weszła do Aralu.

Allot spojrzawszy na nią nagą i ze wszystkich ozdób ogołoconą zaśmiała się. Istar w gniewie rzuciła się na nią. Wtedy Allot wezwała boga przeznaczenia (Nawtar) i swoję wypowiedziała wolę. „Sprowadź sześćdziesiąt chorób na Istar. Choroby oczu na jéj oczy. Choroby boków na jéj boki. Choroby nóg na jéj nogi. Na całe jéj ciało, odrętwienie." Nakoniec Istar zamkniętą została w osobnéj kryjówce...

Na powierzchni ziemi stały się rzeczy niezwykłe. Byk nie chciał podchodzić do krowy; osioł unikał oślicy; małżonka uciekała od męża; wojownik nie pełnił rozkazów swojego dowódcy; niewolnica odtrącała ramiona pana swojego. Bóg Turda, sługa wielkich bogów, poszarpał swe oblicze i rzekł do boga Samos (słońca): bój się Samos spełnienia się przeznaczenia. Samos udał się do boga Siu (księżyca), swego ojca, który wnet wysłał posła do boga wód, Nuaha.

Tu autor powtarza opis spostrzeżonych zjawisk, wkładając w usta posła, jako relacyą. Nuah w mądrości swéj powziął zamysł skuteczny. Stworzył Udosnamira (wznowiciela światła, jak tłomaczy Oppert, posła niewiast, i rzecze do niego: Idź, Udusnamirze, zwróć się ku wrotom Aralu a siedm wrót Aralu otworzą się przed tobą. Zobacz Allot. Niech ona stanie przed tobą. Serce się jéj uspokoi, gniew jéj oddali. Oznajmij jéj wolę wielkich bogów. Spełnij swe zamiary. Obudź boginię (Istarę). Niech się napije wody..." Skoro Allot ujrzała Udosnamira, obrzuciła go przekléstwami. Między innemi spotykamy takie: „Niech woda spływająca z kanałów miejskich będzie twym napojem; kanały same twém pomieszkaniem"... Lecz

spełniając wolę wielkich bogów, wydała rozkaz Nawtarowi by udał się do przybytku wiecznego, wyszukał tablic przeznaczenia, które leżą w nim na samym szczycie, wywołał boga Anuunaki, posadził go na złotym tronie, a ten przywróci Istar do stanu pierwotnego, dając jéj napić się wody życia.

Stało się według rozkazu Allot. Istar oswobodzona, po napiciu się wody rzeczonéj opuściła Aralu; przechodząc przez siedem wrót odbierała pokolei odjęte sobie ubranie i kosztowności i wdziewała na siebie.

O ludziach zmarłych urywek ten nie podaje żadnéj wiadomości. Lecz czy sam opis piekła, wiecznie panującéj w niem ciemności, wzmianka o błocie i kurzu, służących za pokarm zmarłym, nie naprowadza na wniosek, że owe Aralu było straszną, ohydną miejscowością? Czy obejście się z boginią Istarą nie wskazuje, że ludzie jeszcze gorszemu podlegać byli zmuszeni? A przytém Aralu było przybytkiem bogów podziemnych, będących w matni z bogami nadziemnymi. Istota więc ludzka przechodzila z pod władzy jednéj pod drugą, tamtéj nieprzyjazną. W Aralu znajdowała się tajemnicza księga przeznaczenia, któréj treść niewiadomą nawet bogom była. W Aralu była ukryta woda życia, która uzdrowiła Istarę. Z tamtąd więc biło źródło istnienia.

Jak godzili Semici mezopotamscy dwa te sprzeczne pojęcia, zniszczenia i odrodzenia, dla czego obie akcye tak różne mieścili w jednéj miejscowości, trudno dociec, przy braku stosownych materyałów. Lecz w tém nie byli zupełnie oryginalni. I dla Egipcyan Amenti bylo miejscem oczyszczenia i odrodzenia.

Pomieszczenie księgi przeznaczeń w Aralu nie pozostalo bez wpływu na czasy późniejsze. Duchy pojawiające się zawsze odkrywały przyszłość. Świat podziemny stał się źródłem wiadomości tyczących się czasów przyszłych.

(*d. n.*) *I. Radliński.*

PRZEMYSŁ CUKROWY W NIEMCZECH.

Wiadomo, iż r. 1878 w wewnętrznéj polityce kanclerza niemieckiego nastąpił zwrot stanowczy. W skutek ostatniego zamachu na cesarza Wilhelma, sejm niemiecki rozwiązany został, a wszechwładne, aż po oną chwilę stronnictwo narodowo-liberalne poszło na odstawkę. Przy wyborach téż, zarządzonych wnet po rozwiązaniu sejmu, a bardziéj jeszcze przy regularnych wyborach następującéj legislatury, topnieje ono jak śnieg pod działaniem marcowego słońca i rozpada się wewnętrznie. Liczba posłów, należących do tego stronnictwa, spada ze 128 na 99, a po oderwaniu się lewego ich skrzydła, jako osobnéj partyi pod nazwiskiem zjednoczenia liberalnego, obniża się do szczupłéj garstki 46 członków. Liczba ich wyborców, przy ostatecznych wyborach zniża się z 1,569,431 do 1,407,637, a następnie do 694,260 głów, czyli z 28,3 na na 24,2 resp. 13,1 % wszystkich oddanych głosów. Puścizną ich przy wyborach z r. 1878 dzielą się przeważnie zachowawcy i centrum. Pierwsi ze 78 członków w roku 1877 wzrastają do liczby 116, a liczba ich wyborców podnosi się z 977,766 do 1,525,270 głów, czyli z 17,6 na 26,2% wszystkich oddanych głosów. Centrum zyskuje wprawdzie przy tychże wyborach tylko jedno krzesło więcéj, ale wśród tych niesprzyjających okoliczności, jakie dla niego tuż po rozwiązaniu sejmu istniały, było to dla niego tryumfem wielkim, iż zdołało się przynajmniéj utrzymać przy dawniejszym stanie swych posiadłości, mimo, że liczba jego wyborców spadła, przez odstąpienie wielu głosów konserwatywnym, z 1,329,036 na 1,291,803, czyli z 24 na 22,2% oddanych głosów. Te dwie partye porozumiewają się odtąd, co do pewnych punktów wspólnych, pomiędzy sobą i tworzą przez czas niejakiś, wśród chaosu parlamentarnego, pewne stałe jądro, na którém w swych operacyach politycznych na wewnątrz opiera się książe kanclerz.

Najważniejszym owocem tego konserwatywno-katolickiego sojuszu była nie wątpliwie, obok pewnych ulg dla kościoła katolickiego, reforma celna z r. 1879. Jako węzeł, ścieśniający ogniwem wspólnego prawodawstwa na polu ceł i pewnych kategoryj podatków konsumpcyjnych wzajemność interesów u ludów niemieckich, była ta reforma dziełem wielce patryotyczném, a co główna, wyzwoliła ona do pewnego stopnia z pod zależności od partykularystycznych usposobień pojedyńczych państw i państewek młode cesarstwo niemieckie, które, jak w swym energicznym sposobie mówienia wyraził się ks. Bismarck, nie potrzebuje odtąd chodzić po żebraninie o składki matrykularne, ale owszem ze swych funduszów poszczególnym państwom znaczne wypłaca nadwyżki. Pod względem ekonomicznych skutków było działanie nowéj taryfy celnéj wielce rozmaite. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż pokładane w niéj nadzieje, co do polepszenia doli robotnika, się nie ziściły, lub ziściły się w stopniu tak nieznacznym, iż to na wypadek sądu naszego w téj sprawie nie może mieć wielkiego wpływu. Natomiast, na ożywienie pewnych gałęzi ruchu przemysłowego, prawodawstwo celne z r. 1879 wpłynęło bardzo stanowczo i o tyle też pośrednio stanowi robotniczemu wyszło na pożytek, iż mu nastręczyło sposobność do stalszego i zupełniejszego zajęcia. Wziąwszy to na uwagę, powiedzieć możemy, iż pomimo widocznego podrożenia życia, jakie za sobą pociągnęła nowa taryfa celna, podziałała ona, jak dotychczas, w ogólności korzystnie. Dodajemy z umysłu „jak dotychczas“, gdyż w czasach ostatnich pod osłoną téjże taryfy w wielu gałęziach przemysłu wytwarzać się poczęły stosunki niezdrowe. Do takich objawów zaliczamy np. tę okoliczność, iż niektóre wielkie przedsiębierstwa przemysłowe, stając do konkurencyi z przemysłem angielskim, francuzkim, lub amerykańskim, mogą pod ochroną granicy celnéj i taryf różniczkowych dostarczać zagranicy taniéj swych towarów, niż je sprzedają we własnym kraju. Ale co główna, ze sprawozdań inspektorów fabrycznych, jak niemniéj z pojedyńczych głosów w dziennikarstwie, i to nie tylko wolno-handlarskiém i opozycyjném, które naturalnie skutki najnowszéj polityki celnéj przedstawiać musi w jak najczarniejszych kolorach, ale i w organach prasy urzędowéj i półurzędowéj,— zdaje się wynikać, ta smutna prawda, iż w niektórych gałęziach przemysłu nastąpiła po części nadprodukcya, która, jeżeli nie dozna ograniczenia, może dla Niemiec sprowadzić ponowne przesilenie ekonomiczne na wielką skalę. Niektóre wielkie przedsiębierstwa przemysłowe i fabryczne, jak np. w miesiącu kwietniu r. b. związek nadreński i westfalski towarzystw górniczych i hutniczych, starały się też zapobiedz grożącéj katastrofie, proponując kartel, ograniczający

rozmiary wolnéj produkcyi w czasach najbliższych. Ale usiłowania te nie miały dotychczas, jak i w tym poszczególnym razie, powodzenia i sprawy, idąc daléj swym nieodmiennym biegiem, przybierają obrót, który w umysłach nie uprzedzonych coraz wyraźniejsze budzić poczyna obawy. W rzędzie zaś tych gałęzi przemysłowych, które, zdaniem wtajemniczonych, stoją w obec groźnego przesilenia, przemysł cukrowniczy w Niemczech naczelne pono zajmuje miejsce.

Produkcya cukru w Niemczech, począwszy od r. 1870, wzrastała stale i dzisiaj olbrzymie, a prawie-by powiedzieć można, potworne przybrała rozmiary. Na targowisku międzynarodowém stanęły Niemcy, pod tym względem, jako pierwsza potęga do konkurencyi ze wszystkiemi narodami cywilizowanego świata i bez przesady rzec wolno, iż wypadek żniw burakowych w Niemczech odczuwanym dziś bywa w najdalszych kończynach ziemi, na Kubie zarówno, jak na Borneo i Sumatrze i wyspach sandwichskich. Rynek londyński jest dla cukru niemieckiego głównym punktem zbytu i tutaj zdołały Niemcy, w ciągu lat niewielu, odsunąć, niemal zupełnie, wszystkie inne narody. Gdybyśmy w Niemczech zważać chcieli tylko na ilość cukrowni, przyjśćbyśmy musieli do wniosku, iż od roku 1871/72—1881/82, a zatém w jedenasto-letnim przeciągu czasu przemysł cukrowniczy nie o wiele się podniósł. Albowiem w r. 1871/72 wynosi ilość ogólna cukrowni w granicach cesarstwa niemieckiego 311. W dwóch następnych latach podnosi się ona nieznacznie do ilości 324 i 337 zakładów. Przez pięć lat następnych, ilość tychże opada stale na 333,—332,—328,—329 i 324, a w latach ostatnich podnosi się nieznacznie do wysokości 328,—333 i 343 fabryk. Oscylacya ta pochodzi wszakże, jedynie i wyłącznie, z dokonywającéj się stopniowo coraz większéj koncentracyi przemysłu cukrowniczego i reorganizacyi istniejących fabryk w duchu ulepszeń technicznych. Że bowiem cukrownictwo niemieckie szybko sobie przyswajało wszelkie postępy techniki w téj gałęzi przemysłu, to widzimy ze stałego zwiększania się ilości fabryk, gdzie produkcya cukru odbywa się w drodze dyfuzyi, i równoległego opadania ilości tych zakładów, gdzie odbywa się ona według dawniejszych metod, za pomocą tłoczenia, maceracyi itd. I tak produkowano cukier:

w r. 1871/72	przez dyfuzyą	w 52 zakł.,	przez macer. itd.	w 259 zakł.
„ 1872/73	„	„ 63	„	„	„ 261	„
„ 1873/74	„	„ 80	„	„	„ 257	„
„ 1874/75	„	„ 113	„	„	„ 220	„
„ 1875/76	„	„ 157	„	„	„ 175	„
„ 1876/77	„	„ 197	„	„	„ 131	„
„ 1877/78	„	„ 224	„	„	„ 105	„

w r. 1878/79	przez dyfuzyą	w 258 zakł.,	przez macer. itd.	w 65 zakł.		
„ 1879/80	„	„ 291	„	„	„ 37	„
„ 1880/81	„	„ 309	„	„	„ 24	„
„ 1881/82	„	„ 324	„	„	„ 19	„

Równie niezbity dowód coraz większéj koncentracyi przemysłu cukrowniczego mamy w powiększeniu produkcyi fabryk, nie stojącéj w żadnym a żadnym stosunku do ich liczebnego pomnożenia. Wynosiła bowiem ogólna ilość przerobionych buraków, wyrażona w tonach = 1000 kg., czyli 61,058 pudów w czasie kampanii:

r. 1871/72 — 2.258 918	ton,	czyli	137.440	tysięcy pudów	(w zaokrągl.)
„ 1872/73 — 3.181.551	„	„	194.260	„	„
„ 1873/74 — 3.528.764	„	„	215.450	„	„
„ 1874/75 — 2.756.745	„	„	168.320	„	„
„ 1875/76 — 4.161.284	„	„	254.080	„	„
„ 1876/77 — 3.550.037	„	„	216.760	„	„
„ 1877/78 — 4.090.968	„	„	249.790	„	„
„ 1878/79 — 4.628.748	„	„	282.620	„	„
„ 1879/80 — 4.805.262	„	„	290.060	„	„
„ 1880/81 — 6.322.203	„	„	386.020	„	„
„ 1881/82 — 6.271.948	„	„	382.950	„	„

Ilość przerabianych więc buraków z 3,239,550 ton, przeciętnio-wo w pierwszych 6 latach, urosła do 5,223,826 ton, w 5 latach ostatnich, czyli z 197,718 na 318,288 tysięcy pudów, t. j. o 62%. Przypadało zatém na jednę fabrykę w pierwszym peryodzie 9,888 ton, czyli 603,730 pudów, w drugim natomiast 15,762 ton, czyli 962,450 pudów rocznéj przeróbki. To, cośmy wszakże dotychczas o ulepszeniach technicznych w fabrykacyi cukru i o zwiększeniu jego produkcyi powiedzieli, jest tylko jedną stroną postępów, jakie przemysł cukrowniczy poczynił w Niemczech od r. 1871. Drugą stroną, nie mniéj obfitą w ważne dla produkcyi cukrowniczéj następstwa, było wydoskonalenie systemu eksploatacyjnego ziemi pod uprawę buraków. Przez upowszechniający się bowiem coraz więcéj system przypuszczania plantatorów cukrowego buraka do udziału w zyskach fabryki, interesa fabrykantów w wielu stronach powiązane zostały jak najściśléj z interesami rolnictwa. Ta wzajemność interesów zaś jest dostawcom buraków potężnym bodźcem do starania się o to, aby je produkować w jak najlepszym gatunku i w jak największéj ilości. To téż, gdy np. we Francyi, gdzie fabryki nabywają potrzebne im buraki prawie wyłącznie przez kupno, wydajność hektara ziemi, nimi zasadzonéj, pomiędzy r. 1873 — 1882 zmniejsza się z 340 na 336

cetnarów metrycznych, to w Niemczech w tym samym czasie wzrasta ona z 259 na 299 cetnarów w przecięciu, a gdy we Francyi potrzebowano 16,56 cetnarów buraków na wyprodukowanie jednego cetnara cukru, to w Niemczech potrzebowano na ten sam cel co najwyżéj 10.46 cetnarów. Ten zatém system zobopólności interesów pomiędzy fabrykantem cukru a dostawcą buraków, dobrze zrozumiany i konsekwentnie przeprowadzony, stał się dla stron obydwóch źródłem mnogich korzyści. Upowszechnia on się téż, począwszy od r. 1871, coraz więcéj i w latach ostatnich powstają nawet fabryki, gdzie sami akcyonaryusze są wyłącznymi buraków dostawcami. Następujące liczby przekonywają nas o stopniowém wzrastaniu w Niemczech obszarów, związanych tym sposobem z bytem i powodzeniem fabryk cukrowych. Było bowiem, wedle zapisków statystycznych, gruntów uprawianych bezpośrednio przez fabryki pod cukrowe baraki:

r. 1871/72 —	73.691	ha., czyli	4.387	włók polskich.
„ 1872/73 —	82.590	„ „	4.917	„
„ 1873/74 —	88.877	„ „	5.291	„
„ 1874/75 —	92.655	„ „	5.516	„
„ 1875/76 —	96.724	„ „	5.759	„
„ 1876/77 —	98.725	„ „	5.878	„
„ 1877/78 —	104.783	„ „	6.239	„
„ 1878/79 —	107.769	„ „	6.410	„
„ 1879/80 —	113.003	„ „	6.728	„
„ 1880/81 —	118.431	„ „	7.050	„
„ 1881/82 —	121.256	„ „	7.219	„

Najgęściéj nasiadłemi były fabryki cukrowe w księstwie anhalckiém i brunświckiém, gdzie jedna cukrownia przypadała na 82, resp. 123 kw. kilometry (1,49, resp. 2,23 kw. mili geogr.). Najrzadziéj były one rozsiane w Bawaryi, Badenii i Wirtembergii, gdzie jedna cukrownia przypada dopiero na 13931 kilometrów kw. czyli 25,29 mili kw. geograficznéj. Główną wszakże siedzibą produkcyi cukrowniczéj były Prusy, gdzie na 64,4% ogólnego obszaru Niemiec liczono w r. 1879/80 251 tj. 76,5%, a w r. 1881/84 267 czyli 77,8% ilości ogólnéj zakładów cukrowniczych i przerobiono 3,740,970 ton czyli 77,9, resp. 5,052,917 ton czyli 80,5% wszystkich przerobionych buraków. W obrębie monarchii pruskiéj najrozleglejszym był przemysł cukrowniczy w prowincyi saskiéj, gdzie w r. 1879/80 istniało 139, czyli 51,4% wszystkich cukrowni pruskich, a w r. 1881/82 136 czyli 50,9% z przeróbką 2,042,900, resp. 2,774,263 ton czyli 54,6, resp. 54,9% wszystkich przerobionych w Prusiech buraków i 60,896, resp.

65,286 ha. czyli 72,3, resp. 72% całego bezpośrednio przez fabryki uprawianego areału buraczanego w Prusiech. Gleba saska uchodzi wprawdzie za dość wyjałowioną przez zbyt intensywną plantacyą buraków, ale wedle dat, zebranych z obszaru, uprawianego przez fabryki same, wynosiła ilość buraków w r. 1879/80 245,6, a w r. 1881/82 nawet 293,5 centarów metrycznych (1500, resp. 1792 pudów) z jednego hektara, a zatém, licząc 1 ha=1,786 morgi polskiéj, 784 resp. 936 pudów z morgi. Mimo to wszystko jednakże monopol, jaki do niedawnego czasu posiadała w téj gałęzi przemysłu, poczęła prowincya saska w ostatnich latach widocznie tracić. Wiele cukrowni, i to po części olbrzymich rozmiarów, wzniosło się w ostatnim czasie w Poznańskiém i Prusach zachodnich, jak w Inowrocławiu, Zajezierzu, Kruświcy, Chełmży, Wąbrzeźnie i i. Przedsiębierstwa te przyszły do skutku po części za współdziałem kapitalistów saskich, którzy, zwabieni niską stosunkowo ceną ziemi, a pragnąc ze swoich kapitałów wybić co najrychléj wysokie procenta, zwłaszcza w żyznych Kujawach, zaprowadzili, jak mówią gospodarkę rabusiowską, wysysając ziemię za pośrednictwem buraka, bez względu na to, co późniéj będzie.

Z tego pobieżnego zestawienia co najważniejszych dat z zakresu przemysłu cukrowego przekonać się mogliśmy, jak niesłychanie ważną rolę odgrywa on w życiu ekonomiczném dzisiejszych Niemiec. Do niedawnego czasu dość skromny, wzrósł on w przeciągu lat niewielu do rozmiarów kolosalnych i prześcignął daleko produkcyą wszystkich innych krajów europejskich, które dotychczas na tém polu prym trzymały. O cukrownictwie francuskiém wspominaliśmy mimochodem powyżéj. Nie może ono ani pod względem dobroci towaru ani pod względem taniości produkcyi iść w porównanie z cukrownictwem niemieckiém a ilości, jakie rzuca ono na targ europejski, maleją coraz bardziéj. Albowiem, kiedy w latach 1872/73 wywoziła Francya 68,261 cetnarów metrycznych, to w r. 1882/83 eksport jéj cały wynosił tylko 46930 cetnarów. Nie mniéj niepomyślnie brzmią wiadomości z pola przemysłu cukrowego w Austryi, zkąd w miesiącu marcu i kwietniu doszły nas wiadomości o upadłościach kilku znacznych fabryk i firm eksportowych w Czechach i na Morawie (R. Müller w Pradze, Ripka w Bernie i i.), a skargi z głównego rynku krajowego, Pragi, na zupełny zastój interesu w dziedzinie przemysłu cukrowego tworzą w sprawozdaniach handlowych stałą rubrykę. A więcéj niemal jeszcze kolosalny wzrost produkcyi niemieckiéj dał się we znaki cukrownictwu angielskiemu. Tutaj to bowiem według „Frankfurter Ztg.“, na podstawie któréj sprawozdań handlowych tę bardzo ciekawą sprawę po części śledziliśmy, w ostat-

nich kilku tygodniach fabryki w Londynie, Liverpoolu, Greenock i Leith rozpuściły przeszło 600 robotników, fabryki zaś w Plymouth zupełnie zostały zamknięte, a na mityngu interesantów przemysłu cukrowego w Bristolu stwierdzono, iż tenże znajduje się w położeniu bardzo krytycznem i że lada chwilę oczekiwać trzeba zamknięcia dwóch ostatnich cukrowni, jakie jeszcze w Bristolu się utrzymały. Winę zaś tego opłakanego stanu przypisywano ogólnie niemieckiemu systemowi premiowemu.

Kiedy więc tego rodzaju skargi i żale dochodzą nas z najgłówniejszych krajów handlowych i przemysłowych Europy, cukrownictwo niemieckie coraz obszerniejsze przybiera rozmiary. Wiele fabryk zaczętych prawdopodobnie już w najbliższéj kampanii wystąpi do konkurencyi, inne istnieją dopiero w projektach kapitalistów i rolników i czekają tylko chwili sposobnéj, by rzeczywiście wejść w życie. Końca tego ruchu ekspansyjnego dojrzéć dziś trudno, gdyż zawsze jeszcze chęć wkładania kapitałów w tego rodzaju przedsiębierstwa wzmaga się widocznie, zwlaszcza w tych stronach prowincyi wschodnich monarchii pruskiéj, gdzie się otwierają nowe drogi komunikacyjne. Ta dążność do coraz większego wzrostu przemysłu cukrowniczego poczęła zresztą, zwłaszcza w ostatnich sześciu latach przechodzić rozmiary zdrowego objawu i jakośmy rzekli, stoi on pono dzisiaj wobec groźnego przesilenia, a coś jakby krach olbrzymi czuć niemal w powietrzu. Wywołana zaś zostala ta hyperspekulacya nie tyle wrodzoną pewnéj części społeczeństwa niemieckiego żyłką gryndérską, z któréj się nawet po smutnych doświadczeniach z r. 1873 i 74 zupełnie otrząsnąć nie zdołało, ile przez jednostronne popieranie téj gałęzi produkcyi kosztem państwa przez rząd niemiecki. Poparcie to polegało na dotychczasowym sposobie oclenia, który napędza rok rocznie miliony marek bez najmniejszego trudu i zachodu z kas publicznych do kieszeni akcyonaryuszy. Sposób ten pochodzi z r. 1869 i mógł być na swoje czasy racyonalnym, ale dzisiaj wobec olbrzymich postępów, jakie poczyniła fabrykacya cukru i plantowanie buraków, co najmniéj, się przeżył. Polega on zaś na tém, iż kasy państwowe pobierają podatek od przerabianych buraków i to w wysokości 80 fen. od cetnara, przy wywozie zaś cukru za granicę wracają cło od gotowego fabrykatu. Błąd rachunkowy w tym sposobie oclenia, który stał się dla kas państwowych przyczyną strat olbrzymich, polega na tém, iż przy redukcyi fabrykatu na buraki na granicy celnéj jeden cetnar zwyczajny cukru surowego liczy się jako wyrób 12,5 cetnarów buraków, czyli zwraca się tytułem cła wywozowego okrągło 10 marek, gdy tymczasem dokładne obliczenia wykazały, iż z uwzględnieniem najnow-

szych ulepszeń w téj gałęzi przemysłu już z 9½ cetnara buraków przecięciowo wyrobić można jeden cetnar cukru. Różnica zatém pomiędzy clem wywozowém a podatkiem opłacanym przez fabrykantów wynosi 2,40 mki. na cetnarze i tę to, wcale przyzwoitą sumkę przy tak olbrzymiéj produkcyi, akcyonaryusze i eksporterzy chowali do kieszeni (1). Dysonans ten stał się wreszcie tak krzyczącym, iż dłużéj pokrywać go milczeniem nie było można. Jakoż 17 grudnia 1881 r. na wniosek posła Härte'go sejm niemiecki powziął rezolucyą, na mocy któréj wzywa kanclerza, aby tenże zarządził dokładne dochodzenie, co do pytania, o ile skutkiem ulepszeń technicznych dochód z cła od cukru z powodu fałszywego unormowania bonifikacyi eksportowéj szkodę ponosi i aby podług wypadku tychże dochodzeń przedłożył odpowiedni projekt prawa. Ta rezolucya wszakże przez rząd niemiecki nie została uwzględnioną, a w zajętém przezeń stanowisku poparło go stronnictwo narodowo-liberalne, związane z losem cukrownictwa węzłem nierozerwalnym wspólności pieniężnych interesów. Dopiero, gdy w rok późniéj, w grudniu 1882 r., sam przewodnik stronnictwa narodowo-liberalnego, poseł Beningsen, oświadczył się za koniecznością zmiany cła wywozowego od cukru, rząd niemiecki przedłożył projekt prawa w lutym w r. 1883, na mocy którego bonifikacya eksportowa zredukowaną być miała o 40 fen. na cetnarze cukru. Wprawdzie z grona sejmowego wyszedł skromny projekcik zredukowania téjże bonifikacyi o dalsze jeszcze 20 fen. na cetnarze, atoli on prorok i mistrz narodowo liberalizmu, któremu, jak zawsze, tak i tutaj więcéj chodziło o renomę dla siebie niż o rzecz samę, wobec projektu tego opozycyjne zajął stanowisko i projekt upadł. Impuls jednakże, dany z łona sejmu rządowi, nie poszedł zupełnie na marne, gdyż dokładne zbadanie téj sprawy oddano osobnéj komisyi, która niedawno temu ukończyła swe prace i pono w czasie niezadługim oczekiwać należy nowych projektów w tym względzie ze strony rządu.

Bądź jak bądź, dwie marki czystego zysku na cetnarze cukru, i to bez najmniejszego ryzyka, bez troski i zachodu, są tymczasowo zarobkiem zbyt wielkim, aby do téj gałęzi przemysłu nie miały nęcić kapitalistów. I ztąd to pochodzi nienormalny wzrost téjże w latach, zwłaszcza ostatnich, w których ponownie zbliżająca się ogólna kryzys ekonomiczna, równie korzystne umieszczenie kapitału na innych polach zarobkowości nie poślednio utrudniła. Aby wszakże w tych zyskach jak największy brać udział, cukrownictwo niemieckie ska-

---

(1) Obliczenia te podajemy podług organu przybocznego przewodnika partyi narodowo-liberalnéj eksposła Bennigsena „Hannöverscher Courrier" z r. 1882.

zane jest na prowadzenie jak najobszerniejszego interesu eksportowego. Jakoż równocześnie z wzrostem produkcyi cukru w Niemczech widzimy wzrastający nieproporcyonalnie wywóz tegoż za granicę. Wynosiły bowiem, po zamianie rafinady, cukru kandyzowanego i innych cukrów twardych na surowiec w stosunku 90 : 100, melasy w stosunku 666 : 100, syropu w stosunku 182 : 100:

	produkcya cukru				eksport.				% prod.
w r. 1871/72	186422	ton =	13833	tys. pud.	14404	ton =	880	tys. p. tj.	7,7%
„ 1872/73	262551	„	16031	„	18.472	„	1128	„	7%
„ 1873/74	291041	„	17730	„	22847	„	1395	„	7,8%
„ 1874/75	256014	„	15631	„	12013	„	734	„	4,7%
„ 1875/76	358048	„	21863	„	57391	„	3504	„	16%
„ 1876/77	289423	„	17671	„	62195	„	3798	„	21,7%
„ 1877/78	378009	„	23080	„	99012	„	6046	„	26,4%
„ 1878/79	426155	„	26020	„	140697	„	8590	„	32,9%
„ 1879/80	409415	„	24998	„	137062	„	8369	„	33,5%
„ 1880/81	555915	„	33944	„	286318	„	17482	„	51,5%
„ 1881/82	599722	„	34174	„	317582	„	19391	„	52,9%
„ 1882/83	835164	„	50994	„	472551	„	28853	„	56,6% (1)

Wynosił zatém wyrób cukru w pierwszych 6 latach rocznie przecięciowo 273753 ton czyli 16715 tysięcy pudów, a eksport 31220 ton czyli 1906 tys. pudów tj. 11,4% wyrobu, w sześciu zaś następnych latach wynosił wyrób 534063 ton czyli 32609 pudów, a eksport 242203 ton czyli 14788 tys. pudów tj. 45,4%. Kiedy więc wyrób roczny wzrósł przecięciowo w 6 ostatnich latach w porównaniu z pierwszemi na 246%, to suma eksportowa wzrosła w tym samym czasie na 776%. Równolegle z tym wzrastaniem wywozu odbywa się stopniowe obniżanie ilości dowozu. Wynosiła bowiem suma dowozu:

w r. 1871/72	49755	ton czyli	3039	tys. pud.
„ 1872/73	27441	„ „	1676	„ „
„ 1873/74	29710	„ „	1814	„ „
„ 1874/75	28447	„ „	1737	„ „
„ 1875/76	21325	„ „	1284	„ „
„ 1876/77	12935	„ „	790	„ „
„ 1877/78	8989	„ „	549	„ „

(1) Z r. 1883/84 wiemy tylko, iż eksport wynosił 541629 ton = 33071 tys. pud.

w r.	1878/79	8449	ton, czyli	516	tys. pud.
„	1879/80	7671	„ „	468	„ „
„	1880/81	6336	„ „	387	„ „
„	1881/82	5841	„ „	357	„ „

Wynosił zatém przywóz z zagranicy w pierwszych 6 latach 28269 ton, w ostatnich zaś 5 latach 7450 ton, a zatem zmniejszył się o 379%. Dowóz ten mógł do pewnego stopnia dla kasy państwowéj być ekwiwalentem za zbyt wysoką premią eksportową. Coraz dalsza redukcya tegoż do rozmiarów minimalnych czyni ofiary, jakie państwo rokrocznie ponosi dla podtrzymania téj gałęzi przemysłu, kompletnemi. Podług wiarogodnych obliczeń bowiem, wyszłych z łona sejmu, roczny dodatek dla fabrykantów cukru wynosi obecnie 18—25 milionów marek, co w pięcioletnim przeciągu czasu przedstawia wcale pokaźną sumkę około 100 milionów marek, rzuconych za jedno nic akcyonaryuszom na pastwę. Tyle w każdym razie pewna, iż od czasów rozwinięcia przemysłu cukrowego na wysoką skalę, dochód kasy państwowéj z cła i podatków od cukru stale się zmniejsza.

Rzecz jasna, iż wśród takich okoliczności zyski jakie przynoszą poszczególne fabryki cukru, są bardzo znaczne. W r. 1880 jedna z fabryk poznańskich rozdzieliła między akcyonaryuszy 90% dywidendy, a wedle „Volkszeitung" w r. 1882 w wielu towarzystwach akcyjnych zysk czysty wynosił 30—65%. Te świetne rezultaty finansowe nie są jednakże jedynie owocem ofiarności kas państwowych względem téj gałęzi przemysłu, ale i w znacznéj, jeżeli nie przeważnéj części, skutkiem stosunkowéj taniości robotnika. Podczas gdy bowiem np. we Francyi płaca dzienna robotnika w przemyśle cukrowniczym wynosiła w przecięciu 3,12 mki., to w Niemczech tenże robotnik pobierał dziennie tylko 1,70 mki. tak iż produkcya cetnara, metrycznego cukru kosztowała we Francyi mniéj więcéj 4,50 mk., podczas gdy w Niemczech koszta takiejże produkcyi wynosiły tylko 2,50 mki. Do tego obniżenia płacy przyczyniły się przeważnie tłumy robotników i robotnic poznańskich i śląskich, które zwłaszcza w cukrowniach saskich rokrocznie znajdują zajęcie. Robotnik polski odznacza się, jak to przyznają sami Niemcy, posłuszeństwem, pilnością, zmysłem do każdego rodzaju pracy ręcznéj, a mianowicie skromnością wymagań i dla tego zarówno przez plantatorów buraków jak przez fabrykantów cukru w Saksonii wielce jest pożądany. Wysełają oni przeto w Poznańskie i na Śląsk osobnych agentów, którzy, kręcąc się po wsiach, werbują wśród płci obydwóch co najzdolniejsze siły robocze. Ten ubytek robotnika stał się téż mianowicie dla

wielu okolic księstwa, jak między innymi dla powiatów odolanowskiego, ostrzeszowskiego, mogilnickiego, inowrocławskiego i w ogóle całych Kujaw, cierpieniem chronicznėm i zmusza rolników tych stron sprowadzać setkami całe rodziny z powiatów niedotkniętych tą epidemią, jak pleszewski i krobski, a nawet ze Śląska, co niekiedy pociąga za sobą koszta, dochodzące do 200 mk. na rodzinę. Płaca takiego robotnika jest zresztą w fabrykach i plantacyach saskich nadzwyczaj niską. Robotnica pobiera zazwyczaj za dzień 12-godzinny uciążliwėj pracy 1 markę, robotnik 1 — 1,50 m-ki, oprócz wolnego pomieszkania i kosztów podróży. W ogóle stosunki robotników po wielkich fabrykach cukrowych w Saksonii są najlepszym dowodem na to, iż rozkwit jakowéjś gałęzi przemysłu i dobrobyt pracujących w niéj robotników, to częstokroć dwie rzeczy różne i nie mające pomiędzy sobą najlżejszej styczności. W téj mierze znajdujemy w piśmie peryodycznėm „Der Kulturkämpfer“, wydawaném pod redakcyą głośnego publicysty niemieckiego Ottona Glagau'a i odznaczającém się zdrową tendencyą w duchu prawdomówności na prawo i na lewo, bardzo ciekawy artykuł jakiegoś pastora z prowincyi saskiéj, p. t. „Ein Nothschrei über das Unwesen in den Zuckerfabriken“ (głos zgrozy nad haniebnemi stosunkami w fabrykach cukrowych. Kulturk. Nr 92). Obraz nędzy materyalnéj i moralnéj, jaką szanowny autor artykułu znalazł pomiędzy robotnikami w fabrycznych koszarach swéj prowincyi, jest prawdziwie przerażający, a co najsmutniéjsza, nie masz najmniejszego powodu do powątpiewania o tém, iż jest on prawdziwym. Artykuł ten, podyktowany, jak sam autor na czele powiada, bólem serdecznym nad nędzą ludu i sercem przepełnionėm współczuciem dla niedoli stanu robotniczego, jest zatém wielce cennym przyczynkiem do historyi kultury niemieckiéj nowego pokroju i żałujemy wielce, iż nie możemy z niego, jako stojącego tylko w pośrednim związku z tematem naszym, dać choć kilku wyjątków.

A gdybyż przynajmniéj w zamian za tyle ofiar, ponoszonych przez społeczeństwo dla podtrzymania téj jednéj gałęzi przemysłu, któréj byt, tak, jak rzeczy dziś stoją, bądź co bądź, w znacznéj części powiązany jest z losem niemieckiego rolnictwa, przez nierozerwalne węzły wzajemnéj zależności, pozostawała ta pociecha, iż w rzeczy saméj te poświęcenia cukrownictwu niemieckiemu wyszły na stały pożytek. Ale widoki dla niego stają się coraz posępniejszemi i za tę krótką chwilę świetnego rozwoju ciężko mu pewno przyjdzie odpokutować w niedalekiéj przyszłości. Sprawozdania z obrotów handlowych w tym artykule brzmią z głównych targów krajowych cukru niemieckiego, z Magdeburga i Halli, niemal roz-

paczliwie, a dla cen jego w Anglii charakterystyczną jest, przyniesiona przez jeden z najpoważniejszych organów handlowych, *Frankfurter Zeitung*, pod dniem 4-go maja r. b. wiadomość, iż tańsze gatunki tegoż używane bywają przez tamtejszych hodowców bydła do tego, aby, pomięszane z wywarem, służyły inwentarzowi za pokarm. Odpowiednio do tego stanu ogólnego rzeczy opadają téż ceny cukru niemieckiego na głównym rynku jego zbytu, na targu londyńskim od dwóch lat stale, i krach, jaki skutkiem nadmiernéj spekulacyi wisi nad głowami cukrowarów niemieckich, byłby już może nastąpił, gdyby nie dwa ostatnie nader pomyślne lata. Wynosiły bowiem, podług zapisków tejże *Frankf. Ztg.* ceny cukru buraczanego, za cetnar, przy 88%, co najmniéj polaryzacyi *d. franco per bord*:

1-go lipca 1882 r.	22 szyl.	3	p.
1-go paźdz.	„	21 „	9	„
1-go listop.	„	20 „	4½	„
1-go grud.	„	19 „	10½	„
1-go stycz. 1883 r.		19 „	7½	„
1-go lutego	„	19 „	—	„
1-go marca	„	19 „	7½	„
1-go kwiet.	„	21 „	9	„
1-go maja	„	21 „	6	„
1-go czerw.	„	21 „	6	„
1-go lipca	„	20 „	6	„
1-go sierp.	„	20 „	9	„
1-go wrześn.	„	20 „	9	„
1-go paźdz.	„	20 „	—	„
1-go listop.	„	19 „	1½	„
1-go grud.	„	18 „	9	„
1-go stycz. 1884 r.		18 „	3	„
1-go lutego	„	17 „	7½	„
1-go marca	„	17 „	4½	„
1-go kwiet.	„	16 „	3	„
1-go maja	„	14 „	7½	„

Obniżenie ceny wynosiło zatém pomiędzy 1 lipcem 1882 r. a 1 maja 1884 r., a więc w niespełna dwuletnim przeciągu czasu, 7 szyl. 7,5 pensów, czyli 34,2% i obawiać się należy, iż ta dążność zniżkowa posunie się jeszcze daléj, skoro liczne fabryki, o których słyszymy, iż są w budowie, zostaną wykończone i żniwo buraczane będzie obfite. Co się naówczas stanie z tymi przedsiębiercami, którzy się brali do zakładania fabryk wtenczas, gdy jeszcze cukier stał po 22 szy-

lingi, a zmuszeni będą w ruch je wprowadzić, gdy cukier może płacić się będzie po 13 szylingów, przewidzieć trudno, zwłaszcza, skoro premia eksportowa, co prawdopodobne, dozna dalszéj redukcyi. W krachu, jaki, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nastąpić musi, jeżeli rzeczy pójdą daléj tym samym trybem, jakim szły dotychczas, ostoją się, według przypuszczenia kompetentnych, te tylko fabryki, które przebywszy lata pomyślne, uzbierały sobie znaczne fundusze rezerwowe i z nich będą mogły, nie tylko w razie danym, pokryć jakoweś nieprzewidziane straty, ale i przetrzymać swych ekonomicznie słabych konkurentów.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Oswald Korwin Szymanowski, Beiträge zur Geschichte des Adels in Polen. Zürich 1884, str. XII i 103.

Autor wymienionéj w tytule pracy podzielił ją na cztery rozdziały (przyczynki), do których dodał jeszcze kilka dodatków. Rozdział pierwszy omawia historyczne początki szlachty polskiéj, drugi zajmuje się szczegółowo heraldyką, trzeci i czwarty zamierza nam przedstawić dalszą historyą szlachty przez cały ciąg istnienia Rzeczypospolitéj polskiéj. Dodatki obejmują w kilku rozdziałach najrozmaitsze, luźnie ze sobą powiązane pytania, zostające w bliższym lub dalszym związku z omawianym przez autora tematem, jak mianowicie kwestyą powstania nazwisk, zakończonych na -cki i -ski, rzecz o majoratach, rozdział wyjaśniający pytanie, dla czego Polacy i w ogóle Słowianie nie brali udziału w wyprawach krzyżowych, wreszcie kilka uwag o wychowaniu i wykształceniu młodzieży szlacheckiéj, tudzież o źródłach, służących do poznania historyi oświaty w Polsce.

Jak widzimy, zamiarem autora było dać nam w swoich „przyczynkach" obraz dziejowego rozwoju szlachty polskiéj. Temat to pierwszorzędnéj doniosłości, a praca, przedsięwzięta w tym kierunku, budzić musi tém większe zajęcie, ile, że niemieliśmy dotąd żadnego dzieła, któreby kwestyą tę przedstawiło całkowicie i wyczerpująco. Z prawdziwém zaciekawieniem braliśmy tedy książkę do ręki, spodziewając się w niéj znaleść odpowiedź na tyle ciemnych i nie wyjaśnionych dotąd pytań. Niestety, zaraz w przedmowie rozwiewa autor to złudzenie, zastrzegając się, że praca jego dla czytelników polskich nie przynosi nic nowego ani pouczającego. Przeczytawszy ją, musimy téż w zupełności przyznać słuszność temu twier-

dzeniu. P. Szymanowski zamierzył tylko opracować swój temat dla publiczności niemieckiéj, w sposób przystępny i popularny, ażeby sprostować mnóstwo błędnych i nieuzasadnionych wyobrażeń, jakie o szlachcie polskiéj krążą w kołach niemieckich.

I w tym ograniczonym zakresie praca taka mogłaby przynieść nie mały pożytek, byleby tylko przystąpić do niéj z należytém przygotowaniem, byleby ją traktować ze zrozumieniem rzeczy. Autor nie odpowiedział niestety tym warunkom. Postawiwszy sobie za cel spopularyzowanie przedmiotu, zapomniał, że pierwszym do tego wymogiem jest jaknajwszechstronniejsze opanowanie literatury monograficznéj, która się do niego odnosi. W pracy, którą omawiamy, nie widać tego bynajmniéj. Autor usprawiedliwia się wprawdzie we wstępie, podnosząc, że mógł korzystać tylko ze skromnéj swojéj biblioteki, że natomiast wszelkie zbiory publiczne były mu niedostępne. Usprawiedliwienie takie może wystarczyć dla sumienia samego autora, ale nie ma żadnego znaczenia dla przedmiotowéj krytyki jego dzieła. Nie mogąc korzystać ze wszystkich materyałów, które dla pracy są *nieodzownie* potrzebne, lepiéj nie pisać wcale, niż pisać rzecz pełną luk, niedostateczności i błędów. Chcąc popularyzować, trzeba popularyzować wyniki najnowszych badań, a nie te, do jakich umiejętność doszła przed laty kilkudziesięciu. Postęp nauki obala mnóstwo twierdzeń, które dawniéj uchodzić mogły za prawdziwe, rozświeca daną kwestyą z najrozmaitszych punktów widzenia, na które poprzednio nie zwrócono wcale uwagi. Pomijając nowsze badania, stawia się autor mimowoli na stanowisku zacofaném, którego przecież nie warto już popularyzować. *Dum lego antiquos, antiquior fio*—powiada on w pewném miejscu. Zdanie to zastosować można w całéj pełni do jego pracy. Czytając ją, zda się nam, jak gdybyśmy żyli jeszcze w czasach Lelewelów i Maciejowskich—i jak gdyby w tym kierunku nic już prawie od tego czasu u nas nie napisano.

W istocie - bo, oprócz kilku nowszych książek, które znane są p. Szymanowskiemu, opiera się on przeważnie na literaturze dawniejszéj. W rozdziale trzecim, omawiając stanowisko prawno-polityczne szlachty, zużytkowuje, niemal wyłącznie, Lengnicha *Jus publicum Regni Poloniae*, uzupełniając rzecz zaledwie gdzieniegdzie wynikami innych badań, tudzież własnemi, nielicznemi zresztą, zestawieniami z Voluminów legum. Nie chcemy odmawiać znaczenia pracy Lengnicha, ale za główne, wyłączne prawie źródło, nie podobna jéj już przecie poczytywać. A daléj, dzieło Lengnicha uwzględnia przeważnie stosunki tego czasu, w którém powstało, a więc stosunki z pierwszéj połowy wieku XVIII, skutkiem czego, też cierpi

nie mało założenie autora, zmierzające do przedstawienia *całego historycznego rozwoju* szlachty po jéj wytworzeniu się (Przyczynek trzeci nosi tytuł: *Fernere Entwickelung des Adels*). Z tém wszystkiem jednak, rozdział ten, również jak i następujący, zawierający kilka rzeczy, zestawionych samoistnie przez autora, to jeszcze *stosunkowo* najlepsze partye jego dziełka. O wiele niżéj stoją oba rozdziały pierwsze.

Mówiąc o zaczątkach szlachty polskiéj, opiera się on z nowszych monografij jedynie tylko na pracy Smolki: „Mieszko Stary“, zresztą zaś używa przeważnie Maciejowskiego i Lelewela. Nie potrzebujemy dowodzić, że przy całém uznaniu, jakie można mieć dla obu tych ostatnich badaczów, dzieła ich przecież dzisiaj nie mogą już uchodzić za odpowiedni materyał do popularyzacyi. Od czasów, kiedy wystąpili, tyle przybyło nowego materyału źródłowego, że zapatrywania przez nich wyrażone trzeba było z gruntu pozmieniać. Wiadomo, ile nowego światła na kwestyą początku szlachty rzucił spór naukowy między Bobrzyńskim, Smolką i Piekosińskim, którego rezultaty należało koniecznie wyzyskać. Tymczasem autor, prócz zacytowanego powyżéj dzieła Smolki, nie zna nawet żadnéj innéj z prac nowszych; nie zna nawet repliki Smolki przeciw wywodom jego przeciwników, jak nie zna téż i prac Bobrzyńskiego i Piekosińskiego, mimo, że obu tych pisarzów cytuje w rzędzie tych, którzy zajmowali się kwestyą początków szlachty (i to Piekosińskiego pod nazwą *Piekońskiego*). Gdyby autor był się zapoznał z pracą tego ostatniego, byłby może nabrał wyobrażenia, jak należy traktować historyą *początków* heraldyki polskiéj. Dla p. Szymanowskiego jedyném źródłem do rozwiązania tego ciemnego i zawiłego zadania jest —Długosz. W obec tak uderzającego braku wszelkiéj metody historycznéj, z jakim dzisiaj trudno już podobno spotkać się u kogokolwiek, ustaje oczywiście wszelka krytyka.

Już to o źródłach ma autor wcale szczególne pojęcia. Takiém *źródłem nieomylném*, którego wiarogodności nikt zapewne nie poważy się zaprzeczyć (dessen Glaubwürdigkeit kaum von irgend wem in Frage gestellt zu werden Gefahr läuft, str. 40), jest książka Dutkiewicza: „Prawa cywilne etc.“. Autor tłómaczy z niéj dosłownie z całym pietyzmem ustęp: „O stanie szlacheckim, czyli rycerskim“, który na trzech stronnicach ma przedstawić historyczny rozwój szlachty od r. 1347, aż do wprowadzenia—kodeksu Napoleona! Mimowoli pytamy się, zkąd takie wysokie wyobrażenie o wartości naukowéj dzieła Dutkiewicza, który pisząc zresztą o prawie prywatném, dotknąć mógł kwestyi prawno-politycznego stanowiska szlachty ogólnikowo tylko i pobieżnie. Autor daje nam na to całkiem sta-

nowczą odpowiedź (str. 23): *Es ist noch besonders hervorzuheben, dass Dutkiewicz sein Werk mit der, für diese Beitrage nicht unwichtigen Bemerkung schliesst, er habe es der allerhöchsten Prüfungscommission zu liefern versprochen, und glaube seine Aufgabe nach Kräften gelöst zu haben. Da das besagte Werk aber im Drucke erschienen ist, so darf wohl angenommen werden, dass es landesbehördlicherseits auch als maassgebend angesehen wird* (sic). Pierwszy to raz dowiadujemy się z ust p. Szymanowskiego, iż autoryzacya rządowa wycisnąć może na podręczniku szkolnym piętno nieomylności. Poczciwy Dutkiewicz nie marzył zapewne nigdy, że skromny jego katechizm stanie się — ewangelią.

Obok tego nieuzasadnionego wynoszenia rzeczy, które na to nie zasługują, uderza z drugiéj strony dziwna u autora nieznajomość źródeł najważniejszych. Tak np. zdaje się, iż p. Szymanowskiemu nic nie wiadomo o istnieniu wydawnictwa: *Monumenta Poloniae historica.* Mniejsza o to, że cytuje Gallusa pośrednio ze Smolki (Mieszko Stary), Boguchwała, według Lengnicha itp. Na stwierdzenie naszego zdania mamy inny jeszcze jaskrawszy dowód. Na str. 16 wyraża się autor: *Nieznany* archidyakon gnieźnieński, zwykle tylko anonimem zwany—i dodaje do tych słów następującą uwagę: Jak Lelewel w swojéj Polsce wieków średnich, t. I, str. 77, powiada, rocznikarz ten ...żył około r. 1385, a Michałowi Wiszniewskiemu należy zawdzięczyć, iż odkrył jego nazwisko: Jan. Zrobiwszy to ważne spostrzeżenie, do którego nic już więcéj dodać nie umie, sądzi autor, że pouczył Niemców o czémś nowém. Tymczasem niejeden z Niemców, który chociażby tylko przerzucił tytuły poszczególnych rzeczy, wydanych w Monumentach, wié daleko więcéj niż autor, i mógłby go pouczyć, że cytowany kronikarz dawno już przestał być anonimem, i że obecnie znany jest powszechnie pod nazwą Janka Czarnkowskiego. Podobnąż nieznajomość zdradza p. Szymanowski także w obec nowszych badań na polu prawa polskiego. Tak np. całe ustawodawstwo Kazimierzowskie nosi u niego datę r. 1347. Miałże by autor nie znać odnośnych prac Helcla i Hubego? Zdaje się; mówiąc bowiem o opracowaniach ustawodawstwa tego, nie umie przytoczyć nic innego, prócz przestarzałéj pracy Lelewela.

Jedna jeszcze uwaga nasuwa się nam co do metody cytowania źródeł, jakiéj użyto w naszém dziełku. Praca popularyzacyjna, opierająca się na badaniach innych pisarzów, nie ma właściwie obowiązku cytowania źródeł pierwotnych; wystarczy, jeżeli się powoła na opracowanie. Autor mimo to przytacza niejednokrotnie takie źródła. Tam, gdzie odnośne twierdzenie opiera się na własnych zestawieniach, przyznajemy mu w tém najzupełniejszą słuszność; tam

jednak, gdzie polega na innych monografiach, nie widzimy do tego żadnego powodu. Sposób, jakiego zresztą przytém używa, jest z gruntu błędny. Streszczając np. w rozdziale pierwszym Smolkę, przytacza w uwagach zarazem te źródła, na których się opierał ten ostatni, i to widocznie nie zbadawszy ich samoistnie, gdyż umieszcza zawsze dodatek, że cytuje pośrednio ze Smolki (np. str. 11 uw. 1; str. 13 uw. 2 i 3, str. 15 uw. 1 itp.). Jedno z dwojga: albo się opiera na monografii poprzedników, a wtedy cytaty źródłowe, wyrwane z ich dzieł i to tylko na chybił trafił, są zupełnie zbyteczne; albo się opiera na własnych samoistnych badaniach, a wtedy pośrednie cytowanie źródeł, których się nie roztrząsnęło samemu, nie da się żadną miarą usprawiedliwić.

Cóż powiedzieć o wartości naukowéj twierdzeń, zawartych w książce p. Szymanowskiego? W miarę, jak monografia, z któréj przypadkowo korzystał, zawierała rezultaty dobre, przestarzałe lub błędne, tak téż i książka autora zawiera twierdzenia dobre, przestarzałe lub błędne. Brak należytéj znajomości całéj odnośnéj literatury, brak tego, co nazywamy opanowaniem przedmiotu, nie pozwoliły autorowi wydzielić rzeczy lepszych od gorszych, tak, że książka jego robi wrażenie pstréj mięszaniny zapatrywań najprawdziwszych, pomięszanych z najbłędniejszemi. *Dla przykładu* przytaczamy tylko, że pokutuje w niéj jeszcze przestarzała identyfikacya nazwiska kmieci z jobagionami w najpierwotniejszych stosunkach państwa polskiego (str. 6), że daléj spotykamy się tam z rozróżnieniem, uczynionêm niegdyś przez Maciejowskiego między *duces*, jako urzędnikami wojskowymi, a *comites*, jako urzędnikami królewskimi (czy urzędnicy wojskowi nie byli królewskiemi?) i cywilnymi (str. 7), rozróżnieniem, którego błędność wykazały dostatecznie nowsze badania. Przykładów tego rodzaju moglibyśmy naliczyć jeszcze nie mało, ale nie warto niemi zajmować więcéj miejsca.

Od czasu do czasu wypowiada autor także samoistne spostrzeżenia, które nie zawsze należą do najszczęśliwszych. Wspomnieliśmy już poprzednio, że cały jego wywód o początkach heraldyki polskiéj, oparty na Długoszu, nie ma żadnego znaczenia naukowego. Twierdzenie, jakoby prawne stanowisko mieszczan w Polsce, z biegiem czasu, coraz bardziéj się polepszało (str. 65), należałoby właściwie skonstruować wprost przeciwnie. Wiadomo przecież, w jak korzystném położeniu znajdowały się u nas miasta w wieku XIII i XIV; dopiero skutkiem reakcyi szlachty rozpoczyna się ich upadek w ciągu wieku XV i postępuje odtąd szybkim krokiem coraz daléj zarówno w kierunku politycznym, prawnym, społecznym, jak i ekonomicznym, jak to niedawno wykazały szczegółowe badania Kor-

zona. Do faktu nagłego wzniesienia się mieszczaństwa za Stanisława-Augusta nie mogą oczywiście odnosić się słowa p. Szymanowskiego, który mówi o *powolném* zdobywaniu przez miasta prawa reprezentacyi i innych wolności. Opierając się na Lengnichu, który uczynił wcale nieszczęśliwą próbę podziału szlachty polskiéj na *nobiles immediati* i *mediati*, rozróżnia autor między szlachtą „bezpośrednią i pośrednią" (der unmittelbare und mittelbare Adel, str. 42). Podział ten w urzędowéj naszéj terminologii prawnéj nie jest uzasadniony, choćby doń zresztą przywiązywać takie znaczenie, jak Lengnich i naprowadzić może czytelnika niemieckiego na nie mniéj nieuzasadnione analogizowanie z niemiecką *Reichsunmittelbarkeit* i *Reichsmittelbarkeit*. Oczywiście, i te przykłady nie wyczerpują całego szeregu błędów, z któremi się spotkać można w naszéj książce. Koroną ich jest niewątpliwie twierdzenie, wypowiedziane na str. 96 i 98, iż chcąc odróżnić starą szlachtę polską od nowszéj, trzeba przyjąć jako czas normalny: rok 1569. Przyznajemy całą własność tego odkrycia szanownemu autorowi, ale mu go nie zazdrościmy. Twierdzenie to uzasadnia on w ten sposób: Ponieważ unia z r. 1569 jest najważniejszym (?) wypadkiem w życiu państwowém Polski, przeto téż wszystkich tych, którzy byli uprawnieni do podpisania aktu unii, uważać należy za członków starożytnych domów szlacheckich (da jener Vorgang wohl als der wichtigste im Staatsleben angesehen werden kann, und daher auch alle dazu (do podpisania) Berechtigten, als zum alten Adel des polnischen Reiches gehörend, folgerecht angesehen werden können, str. 96). Nie umiemy żadną miarą dopatrzéć się związku logicznego między przyczyną a skutkiem, tak, jak je powiązał ze sobą autor, jak również nie rozumiemy, dla czego właśnie rok 1569, a nie jaki inny czas ma stanowić granicę między szlachtą dawną a nowszą. Podpisy na akcie unii nie dowodzą zresztą same przez się starożytności domu, któż np. zaręczyć może, iż nie jedna z osobistości tamże wymienionych nie była świeżo nobilitowaną? W końcu podając kryteryum do rozróżnienia dwóch rzeczy, trzeba w każdym razie wymyśléć takie, na podstawie którego dałyby się rozstrzygnąć wszystkie poszczególne przypadki. Że nazwiska umieszczone na akcie unii są tylko małą, nieznaczną cząsteczką istniejących podówczas nazwisk szlacheckich, o tém nie wątpi i sam autor. Cóż tedy robić z tą szlachtą, która się tamże nie podpisała? Przyzna autor, że dla niéj trzeba wynaleść inne kryteryum, istotne, nie zaś czysto formalne i przypadkowe, jakie nam podał w swém dziełku. Leży ono w studyum nazwisk i herbów szlacheckich, tak, jak się u nas pojawiały w Polsce w chronologiczném następstwie; i niech nam autor daruje, jeżeli kryteryum to uznamy za

odpowiedniejsze nawet i ze względu na tę szlachtę, która podpisała unią z r. 1569.

Jak widzimy, praca p. Szymanowskiego, podjęta zresztą w najlepszéj chęci, chybiła swojego celu. Popularyzacya tak obszernego zwłaszcza tematu, jak historya szlachty polskiéj, wymaga niewątpliwie daleko więcéj przygotowania i więcéj daru konstrukcyjnego, niż go okazał autor. Trzeba bowiem wyzyskać *wszystkie* rezultaty, do jakich doprowadziła dotychczasowa nauka, trzeba następnie umiéć je połączyć w organiczną całość. Wtedy można wystąpić z pretensyą pouczania innych, wtedy ma się prawo umieścić na tytule, cytowane przez p. Szymanowskiego, słowa Quineta: *On se connaitrait bien mieux soi-même, si l'on prenait la peine d'etudier ses origines.* Ściśle rzecz biorąc, ostrze tych słów dałoby się właściwie zwrócić przeciw samemu autorowi. Mniejsza zresztą o to. Nie chodzi nam o jego osobę, ale o wartość samego dzieła i skutki, jakie pociągnie za sobą: oto zamiast sprostowania błędnych o nas wyobrażeń u Niemców, przyczyni się ono po części do ich rozszerzenia. Nie możemy, jak tylko przyklasnąć myśli autora, wyrażonéj we wstępie i pod koniec dziełka, iż pożądaną byłoby rzeczą, ażeby i inni pisarze zajęli się podobnemi opracowaniami w tym kierunku; dodamy tylko życzenie, że należałoby się wziąć do zadania w inny sposób, niż to uczynił p. Szymanowski.

Dr. Oswald Balzer.

Materyały do zoografii Polski. Skrzeki (Amphibia) przez A. Wałeckiego. Odbitka z Pamiętnika Fizyograficznego. Tom II za rok 1882. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 23, 1882. in 4-to str. 38.—*Materyały do zoografii Polski, Płazy (Reptilia) przez A. Wałeckiego.* Odbitka z Pamiętnika Fizyograficznego. Tom III za rok 1883. Warszawa. Druk J. Bergera, Elektoralna N. 14, 1883 in 4-to str. 77.

Autor obydwu powyższych prac znany jest jako skrzętny i dzielny pracownik na polu fauny zwierząt kręgowych. P. Wałecki wytknął sobie za cel: opisać wszystkie krajowe gatunki skrzeków czyli wodnoziemnych zwierząt (Amphibia) i płazów pospoliciéj gadami zwanych (Reptilia), by przy pomocy tych dziełek można je było oznaczać. W pierwszém dziełku opisuje gatunków 13, z których 8 gatunków należy do rzędu żabowatych, a 5 gatunków do rzędu ogoniastych (salamander). W drugiem dziełku opisuje także gatunków 13 (1 żółwia, 5 jaszczurek i 7 wężów). Opisy są zwięzłe i jasne, a tablice synoptyczne do rodzin i gatunków ułatwiają determino-

wanie. Na końcu obu dziełek podaje autor w krótkości geograficzne rozsiedlenie skrzeków naszych i wskazówki co do zbierania i przechowywania ich w zbiorach; wreszcie daje systematyczny spis takowych i synonimy ważniejsze. Szkoda jednakże, że autor nie podał dyagnoz niektórych gatunków z krajów pogranicznych, które po bliższém zbadaniu możeby się u nas w południowéj części kraju znalazły. Dotychczas bowiem dla braku pracowników u nas na tém polu bardzo wiele do zbadania pozostaje. Za błąd atoli tego autorowi poczytać nie można, ponieważ ściśle się trzymał fauny krajowéj; opisał przeto gatunki dotychczas u nas już znalezione: należy raczéj być mu wdzięcznym, iż zrobił w tym dziale trudny początek;—dziełka przeto autora będą służyć jako punkt wyjścia i oparcia się dla następnych badaczy. Już w téj mierze p. Wałecki na polu zoografii znaczne położył zasługi. Tak podał treściwe lecz wystarczające do oznaczenia opisy ssawców krajowych w pracy swéj pod tytułem: „Treściwy przegląd zwierząt ssących krajowych“ (Wykaz Szkoły Głównéj Warszawskiéj N. 10, r. 1868), a oprócz tego napisał dwie rozprawki: „Przegląd zwierząt ssących krajowych“ (Oddruk z Bibl. Warsz. z m. czerwca 1866 r.) i „Fauna zwierząt ssących Warszawy i jéj stosunek do fauny całego kraju“ (Odbitka z Pamiętnika Fizyograficznego 1881 r.). Przedtem wydał jeszcze dwa dziełka o rybach: „Materyały do fauny ichtyologicznéj Polski“ (Oddruk z Bibl. Warsz. z m. listopada i grudnia 1863) i „Przegląd ryb krajowych“ Warszawa 1864. Drugie dziełko jest doskonałe do oznaczenia ryb krajowych, należałoby je tylko uzupełnić rodziną Gobiusów i kilku innemi późniéj odkrytemi gatunkami. Obecnie p. Wałecki, wydając te prace, zapełnił lukę w faunie zwierząt kręgowych, gdyż ptaki znalazły już gorliwego badacza w osobie p. Taczanowskiego, którego „Ptaki krajowe“ wydane przez Akademią Umiejętności w Krakowie są dziełem nie tylko bardzo przydatném do oznaczania gatunków, ale także bogatą kopalnią dla ornitologa.

Przy téj sposobności niech nam będzie wolno wyrazić życzenie, by autor postarał się o wydanie swoich bardzo cennych dla fauny dziełek, a które nawet nie wszystkie znajdują się w handlu księgarskim. Mianowicie należałoby trzy o ssawcach krajowych wyżéj wspomniane prace w jedną całość ująć i wydać pod jednym w jedném dziełku napisem. Obok dziełka prof. Wrześniowskiego: „Zwierzęta ssące i zwierzyna“ Warszawa 1879, byłoby to drugie polskie dziełko dobre do oznaczenia ssawców Polski. Również „Przegląd ryb krajowych“ (1864) wartoby uzupełnić i w powtórnéj edycyi wydać.

W ten sposób mielibyśmy dzieła w języku polskim do fauny krajowych kręgowców (Vertebrata) prawie zupełnie wystarczające.

Początek byłby zrobiony i pierwsze trudności przełamane. Autor przeto położyłby wielką zasługę, przychylając się do powyższych życzeń. Znajomość przedmiotu, treściwe i jasne przedstawienie rzeczy, czysty, piękny i jędrny język autora nakazują przyznać, iż nikt lepiéj od niego zadania spełnić nie potrafi.

Mając wtedy faunę kręgowych zwierząt obrobioną, wielu badaczy wstępując w ślady pp. Wałeckiego i Taczanowskiego rzuciłoby się na pole fauny zwierząt bezkręgowych, które potrzebują również zdolnych a licznych pracowników. Oby więc prace powyższe były początkiem do wydania całéj fauny krajowéj.

Michał Wierzbowski.

Kronika nekrologiczna z ubiegłego miesiąca.

† Dnia 10 lipca r. b. zakończył życie w Krakowie **Włodzimierz Milowicz**, rodem z Wołynia, prawy obywatel, czynny publicysta, człowiek zacny.

† Dnia 5 lipca zmarł w Gostyniu (w W. ks. Poznańskiém) były redaktor „Dziennika poznańskiego“ a następnie „Gazety Toruńskiéj“ **Ludwik Jagielski.** W dziale literatury pięknéj zaznaczył swoję działalność jako tłómacz poematu Izajasza Tegnera: „Frytyofowa Saga.“

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIE.

Dnia 1-go lipca 1884 r. wyszedł z pod prasy zeszyt **LV-ty** (7-my tomu V-go) **Słownika geograficznego polskiego** i obejmuje opisy miejscowości od **Luliszki** do **Łabiszynek.** Z większych artykułów zawiera **Lutomiersk, Lwówek, Łabiszyn,** głównie zaś obszerny opis **Lwowa,** jedynego dziś miasta polskiego rozwijającego się wszechstronnie i korzystającego ze wszystkich praw społecznéj kultury. Zeszyt **LVI-ty** wyjdzie d. 1 sierpnia r. b.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Lipca 1884 r.

1. **Apteczka domowa**, przez D-ra Prof. *J. N. Nussbauma*. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1884 (8-o, str. 91 i IV).
2. *Miron*. **Poezye.** Warszawa, 1884 (8-o str. 160).
3. *S. D. Rylke.* **Pierwyj merydian i wsieobszczeje wremia**. Petersburg, 1884 (8-o, str. 53).
4. *Czesław*. **Arabeski**. Warszawa (1884), nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, (8-o, str. 172).
5. **Antoniego Malczewskiego „Marya“.** Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył *Piotr Parylak*. Lwów, 1884, (8-o, str. 135).
6. **Początki rodziny.** Stany społeczne, poprzedzające ustrój patryarchalny. Przez *Giraud-Teulon'a*. Przełożył z francuzkiego *T. Wr.* Warszawa, 1884 (8-o, str. 183).
7. *Jan Bloch.* **Finanse Rosyi w XIX w. na tle ogólnych dziejów państwa**. Część historyczna. Tom I od 1851 do 1853 (str. XVIII, XXV, i 250.) Tom II od 1853 do 1882 (str. XXIII i 299). Tom III: Finanse Królestwa Polskiego; Finanse Rosyi w XIX wieku, część statystyczna (str. LX i 254). Warszawa 1883, 1884 (wielkie 4-to).
8. *Jan Bloch.* **Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosy i** Tom I: Budowa i eksploatacya dróg żelaznych (kart 4, str. XXXIX i 59). Tom II: Rolnictwo (str. IX, 163; trzy tablice, pięć map). Tom III: O inwentarzu (str. VII i 150). Tom IV: Handel zewnętrzny (str. X, 227; siedm tabl. druk. i sześć tabl. kolor.). Tom V: Finanse (str. VI i 178). Warszawa, 1878—1880 (wielkie 4-to).

Дозволено Цензурою, Варшава. 18 Іюля 1884 г.